NA PRZEŁOMIE CZASÓW

KS. PIOTR NIEZGODA
GENERALNY DZIEKAN WOJSK POLSKICH

NA PRZEŁOMIE CZASÓW

PRZEMÓWIENIA OKOLICZNOŚCIOWE.

TOM I.

MIEJSCE-PIASTOWE.
NAKŁADEM I DRUKIEM TOW. ŚWIĘTEGO MICHAŁA ARCHANIOŁA.
1926.

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

Nihil obstat

Dr. J. Herget

censor librorum

Nr. 2129.

IMPRIMATUR

Varsaviae d. 14 aprilis 1926 a.

† *Dr. Stanislaus Gall*

Episcopus castrensis E. P.

L. S.

Curiae Castrensis Cancellarius.

Ks. Dr. Tadeusz Jachimowski.

Z drukarni Tow. Św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowem.

SPIS.

		Str.
1.	Przemowa do ludu polskiego na Kalwarji Pacławskiej na uroczystość „Matki Bożej-Anielskiej“	1
2.	Prymicje X. Jana Jaracza w Nienaszowie	14
3.	Instalacja X. Leona Kruszyny na probostwo w Kobylanach	24
4.	25-letni jubileusz kapłański X. Leona Kwiatkowskiego w Błażowej	35
5.	40-letni jubileusz pracy nauczycielskiej Jana Wasunga, kierownika szkoły ludowej w Błażowej	47
6.	Pogrzeb ś. p. X. Józefa Burgilewicza, prob. w Nienaszowie	54
7.	Pogrzeb ś. p. Józefa Ruszla, kandydata sędziowskiego w Jedliczu	61
8.	Poświęcenie kościoła, wybudowanego z dobrowolnych składek parafjan w Błażowej	68
9.	Poświęcenie dzwonów w Pantalowicach	77
10.	Pogrzeb poległych pod Niżankowicami w walkach polsko-ruskich dziewięciu gimnazjalistów z Przemyśla i jednej legjonistki	86
11.	Nowy rok 1919 — przemówienie do żołnierzy	91
12.	Pierwsza Konstytucja trzeciego maja w Polsce odrodzonej	95
13.	Objęcie morza przez Polskę i rocznica przejścia gen. Hallera przez front austrjacki	103
14.	Poświęcenie chorągwi 11. p. p. w Tarnowskich Górach	109
15.	Poświęcenie chorągwi 20. p. p. „Ziemi Krakowskiej“ w Krakowie	114
16.	Poświęcenie chorągwi 5. p. saperów w Krakowie	117
17.	Poświęcenie chorągwi 1. p. saperów kolejowych w Krakowie na Wawelu	121
18.	Święto poległych i zmarłych na wojnie żołnierzy	124
19.	Otwarcie domu „Żołnierza Polskiego“ w Krakowie	128
20.	Wypadki 6. listopada 1923 — w Krakowie	131
21.	Poświęcenie grobowca poległych w czasie rozruchów listopadowych żołnierzy	133
22.	Poświęcenie pomnika rokitniańskich ułanów	137
23.	Koncert symfoniczny na rzecz Tow. Pol. Żałobnego Krzyża w teatrze im. Słowackiego w Krakowie	140
24.	Nabożeństwo doroczne za poległych żołnierzy 8. p. ułanów im. Księcia Józefa Poniatowskiego	144
25.	Nabożeństwo doroczne oddziałów sanitarnych	147
26.	Święto doroczne 73. p. p. w Katowicach	150
27.	Przysięga ułanów pułkownika „Beliny“	153
28.	Rocznica Powstania styczniowego w kościele na Zwierzyńcu w Krakowie	155
29.	Uroczystość „Nieznanego Żołnierza“	162
30.	Zakończenie roku	166

PRZEDMOWA.

Bez najmniejszej pretensji, nie tylko do doskonałości, ale nawet do jakiejś szczególniejszej wartości, wypuszczam w świat ten zbiór przemów okolicznościowych. Dałem im nazwę: — „Na przełomie czasów", gdyż były wygłaszane w czasie, kiedyśmy zamykali zwolna drzwi za przykrą przeszłością, a otwierali wejście do nowego życia w odrodzonej Ojczyźnie.

Nie pragnę niczego więcej, jak tego, aby czasem któryś z braci-kapłanów rzucił okiem na te przemówienia, a jeśli w nich znajdzie chociażby jedno zdanie, które w jego duszy oddźwięk wywoła, niech je przeszczepi na poddane jego kapłańskiemu urzędowi dusze. Oby ten zbożny posiew prawdy nigdy nie ustawał!

Kraków 16 marca 1926.

Przemowa

do polskiego ludu na Kalwarji Pacławskiej na „Matkę Bożą Anielską".

Wśród pięknych gór podkarpackich, jakby wśród fal morskich wystrzela jedna nieco ponad swe siostrzyce. Cudna ona i piękna w swej wiośnianej, zielonej szacie, prawdziwie królowa innych służebnych wzgórz, które ją jako swą panią cudnym otaczają wieńcem. A na jej szczycie wznosi się świątynia prastara, co wieżycą swą strzela ku niebu prościutko, jakby chciała przebić obłoki i przedostać się z prośbami ludu aż przed tron Najwyższego. A w świątnicy, w ołtarzu obraz N. Marji Panny, łaskami słynący. Tak! bo ona tu na tem pięknem miejscu, gdzie natura w szczególniejszy sposób głosi chwałę Panu i dziwnem tajemniczem szeptem do duszy przemawia, obrała sobie tron miłosierdzia Swego i łaskawości Swojej. Ona tu

Stojąca...
Na złotym sierpie miesiąca...
Z gwiazdami u nóg, z gwiazdami nad głową,
Niepokalana — Przeczysta — Królowa!

Cisza tu i spokój panuje w dzień zwykły. Lud, zajęty pracą na czarny, powszedni chleb, nie śpieszy na górę. Las tylko i bór okoliczny trącany podmuchem wiatru szumi tajemniczo, jakby odmawiał swój pacierz na cześć Królowej nieba, Pani wszystkiego, Tej, co ponad Aniołami! Ptak tylko zdziwiony wspaniałą świątnicą przyleci po drodze i dzióbem uderzy w jej okna, jakby i on chciał cześć oddać Tej, która Stwórcę jego w żywocie nosiła. Tylko

w świątnicy lampka słabym płomykiem płonie. Wśród cieniów nocy, jak robaczek świętojański czuwa i świeci przed tronem Marji, jakby płonął za te miljony serc, co się po pracy do słodkiego ułożyły spoczynku. Tylko zakonnik w czarnym habicie klęczy nieraz długo w nocy przed Marji obrazem i błaga o łaskę, o miłosierdzie dla siebie i dla innych. Lecz niech przyjdzie dzień uroczysty, dzień poświęcony czci Marji Panny, to jakby kto czarodziejską różczką poruszył tłum ludu. Coś dziwnego dzieje się z nim! Opuszsza swe chaty słomiane, opuszcza swe drogie istoty, opuszsza swe chore i niemocne i idzie na Kalwarję, na górę świętą do tronu Marji, miłosiernej Pani!

Spójrz z góry! Dokąd się tylko zwrócisz, zewsząd płynie fala barwna, a wszystko jak rzeki do morza, do wspólnego zlewu, do Kalwarji! Tam lud mazurski, ogorzały od słonecznego skwaru w białych sukmanach, to znowu lud ruski w swych barwnych szatach; tam żebrak o kuli, w łachmanach, a ówdzie piękna karoca bogatego pana! Rozbrzmiały pola, rozbrzmiały łąki, lasy, gaje! Słysz! różnymi głosy te same powtarza lud słowa: „Ave! ave! ave Marja! zdrowaś! zdrowaś! zdrowaś Marja! Zda ci się, że cała góra, cały świat i cała natura zlała się w jedno serce, w jedno uczucie, w jedną myśl, w jedną melodję, w jedną pieśń czci Królowej nieba! Pani wszystkiego! Tej, co ponad Aniołami!

Pójdź przed obraz N. Marji Panny! Patrz! Tam lud polski i ruski zapomniawszy o niechęciach, które go dzielą, zbratany nadziemskiem uczuciem wyciąga ręce ku górze i woła: „Królowo! Pani! Matko! Matuchno Boża! módl się za nami!“ Patrz! Tam pomieszana siermięga chłopska i sukmana mieszczańska i jedwabna suknia magnata! Tam widzisz starca, dziewicę i dziecię! Tam się leją łzy, tam się mięszają westchnienia, tam płynie z serc szeroką falą ból, tam gorzeją serca jak kadzielnice złociste, pełne zapachu modłów i uwilebienia! A z góry od obrazu, od postaci Przenajświętszej Pani płynie cichą falą

ukojenie, dziwny pokój, radość. I uspokajają się rozkrzyczane serca, a na twarzach widzisz miasto bólu świętą rezygnację, miasto smutku radość. Osychają oczy przed chwilą łzą zalane, a bije z nich miasto łez, święty ogień i żar!

Już późno w noc. Zgasła lampa dnia, — słońce. Gwiazdy pokryły widnokrąg. Wszędzie cicho, bo i natura cała spoczywa! A na górze jasno! Z okien świątyni bije blask świec płonących przed tronem Marji, a na górze gwarno! Wpośród ciszy nocnej płyną ku niebu pienia nabożne! Aniołowie boży, biali, zstąpili na ziemię i zbierają te pienia i niosą w niebieskich czarach ku górze. Zda ci się, że cała świątynia, to Arka Noego, która się wzniosła ponad burzliwe fale potopu grzechu i brudu i płynie bezpiecznie ku światłości wiekuistej, ku Ojczyźnie trwałej, ku szczęściu, ku prawdzie, ku Bogu! I znów się lud rozszedł do domów i znów cicho i spokojnie po dawnemu. Tylko Ona, ta co te tłumy ku sobie wiedzie, Ona, ta, co polskiemi sercami od wieków rządzi, zostaje tu na swym tronie i z tego wzgórza patrzy na lud pędzący życie w znoju, trudzie, walce, rozterkach! A gdy zobaczy biedę, niedolę, cierpienie, ból, szle stąd promienie swej łaski i błogosławieństwa swego i pod słomianą strzechę rolnika i w dom rzemieślnika i do komnaty bogacza!

I już od lat setek ta sama się powtarza historja! Jak z systematyczną pewnością można powiedzieć, że po lecie przyjdzie jesień i zima, tak z całą pewnością można powiedzieć, że gdy przyjdzie dzień uroczysty N. Marji Panny, to Kalwarja będzie gościć u siebie tysiące pielgrzymów.

I pytam się teraz poco ten lud od wieków tu chodzi? czego tu ten lud od tak dawna rok rocznie szuka? Pytam się was tu obecnych; czego wy tutaj szukacie?! „Co was tu do N. Marji Panny sprowadziło?!“ Czy może piękność miejsca? czy może wygody, rozrywki i zabawy? Nie! Tego tu nie znajdziecie! Nie poto tu przyszliście! Tu was przywiodła nędza tego życia ziemskiego! Upracowa-

liście się, umęczyli! Ciernie, co leżą na drodze, pokaleczyły wam nogi — i przyszliście do Matki, wy Jej dzieci, by się tu poskarżyć, by Jej swe dusze otworzyć, przyśliście do niej po lekarstwo. Tu chcecie ugruntować waszą wiarę, tu chcecie wzmocnić waszą nadzieję, tu zaczerpnąć miłości, która jest wszystkiem w życiu!

O! nie zawiedziecie się na Marji! Ona wam da, czego żądać będziecie! Zawsze tutaj nasi przodkowie szukali tego samego, co i my obecnie i znajdywali, więc i my nie odejdziemy z gołemi rękami. Pragnę w dzisiejszej nauce właśnie tu u tego tronu Marji wzmocnić waszą wiarę, nadzieję i miłość, a Marja będzie mi w tem pomocna! O! Marjo módl się za nami! — *Z. M.*

I.

U Marji tronu utwierdzał po wsze czasy naród polski swą wiarę, a ile razy ta święta pochodnia przygasała, chodził tutaj na miejsca święte i u ołtarza Marji od świec gorzejących przed jej tronem gasnącą zapalał. — Cofnijmy się przeszłością w pomrokę dziejową i przypomnijmy sobie ziemę naszą w przedhistorycznej epoce. Ciemno tu było i dziko, bo lasy i jary nieprzejrzane pokrywały kraj. Ale ciemniej i straszniej było w duszach, bo bałwochwalstwo, kult stworzenia, miasto Stwórcy, wybudowały sobie siedlisko w sercach ludzkich. Zmiłował się Pan nad nędzą poczciwego z natury słowiańskiego plemienia i zesłał mu męże wielkie, Apostoły boże. Ci głosili prawdę bożą, wesołą nowinę — siali boże ziarno. A lud otwierał swe serca i gotował duszę, że ziarno nie padało na grunt opoczysty. Po płowych głowach słowiańskiego szczepu polała się woda zbawienna, chrztu świętego; nad polską ziemią, która długo leżała w cieniach nocy i błędu, ukazało się słońce prawdy, wpośród borów i kniej nieprzebytych ukazał się kościołek z krzyżykiem na szczycie. Przyjęła polska ziemia wiarę świętą ochotnie i bez przymusu, bo nie czytamy nigdzie o prześladowa-

niach i męczeństwie, a zaraz u kolebki nowej ery, u początku nowych dziejów Polska oddała się w opiekę N. Marji Panny. Pochodnię wiary, ogień święty, znicz narodowy poruczyła Polska w straż i opiekę Królowej nieba. Zaraz na wstępie dziejów słyszymy śpiew dziwny, śpiew, co płynął z duszy całego ludu: Boga Rodzica Dziewica,

Bogiem sławiona Marja,
U Twego Syna, Gospodyna,
Matko zwolena Marja!
Zyszczy nam, spust winam!
Kyrie elejson!

I ta pieśń, którą odśpiewał naród jeszcze w czasie niewolnictwa swego, szła razem z nim przez resztę dziejów tak, jak opiekunka, piastunka, jak Anioł stróż! Wiara święta i nabożeństwo do Najświętszej Marji Panny, ciągną się jak nić złota równolegle przez dzieje Polski. Pieśń ku czci Najświętszej Panienki była osią, koło której życie się obracało, była bodźcem do czynu, do pracy. Rolnik przy pługu śpiewał na cześć Marji, rzemieślnik w warsztacie nucił godzinki do N. M. Panny, senator, co miał radzić nad dobrem ojczyzny, śpiewał do Niej: „Sprawuj senatorskie rady“ — żołnierz, który szedł krew przelewać za naród, za krzyż, za wiarę, śpiewał: „rycerstwem polskiem, buławą, Ty sama władaj i sławą... a w chwili bitwy, do taktu i marszu, powtarzał zgłoskami! Zdro-waś-Ma-ry-jo! Śpiewała na cześć Marji mniszka pobożna, śpiewał kapłan, śpiewał naród cały. Ale nie zawsze było tak jasno i świątecznie w tej ojczyźnie naszej. Przychodziły czasem burze i nawałnice straszliwe, przychodziły z gromami i piorunami i chciały zgasić tę świętą gromnicę, wiarę świętą i rzucić naród cały w objęcia fałszu, błędu, herezji. Tak było w wieku XVI-stym, gdy cały zachód tonął w krwi z powodu kwestyj religijnych, tak było w wieku XVIII, gdy naród tonął, bo się rozpoczęła walka filozofów, tak w naszym wieku XIX, gdy wolnomyślność, liberalizm zaczął się zapomocą pism i gazet i literatury nadobnej,

przelewać w szpik i kości społeczeństwa. I zaczęło się w takich chwilach chmurzyć i ściemniać. I było tak, jak w czasie burzy wśród gór wysokich, wpośród niebotycznych Tatr. Burza! Dziwne wtenczas można zobaczyć zjawisko, jeżeli się człowiek znajdzie przypadkiem na szczycie góry. Na dole chmura czarna zakrywa swym płaszczem ludzkie sadyby, jary i wąwozy, tam zygzakiem przelatują pioruny, tam na dole grzmot i huk tysiąckrotnem odbity echem, a tu na górze jasno i pogodnie. Słońce świeci, jak gdyby nie uważało na to, co się w dole dzieje. Tak było i w historji polskiego kościoła. Na dole wiała zawierucha wściekła, burzyło się wszystko i kotłowało okropnie. Lecz na szczytach było jasno! Na Jasnej Górze w Częstochowie, na Kalwarji Pacławskiej i Zebrzydowskiej, u tronu Marji było jasno i pogodnie. Tu świeciło słońce łaski, i tu królowała Ona, Polski Królowa! I naród opuszczał swe niziny, na których walka się toczyła i szedł na górę, rzucał się do stóp Marji i z jękiem wołał: „Marjo! Matko nasza! Królowo! ulituj się ludu Twego! wskaż drogę, wskaż prawdę! A w tych chwilach stawała Marja na czele ludu swojego, osłaniała go swym słonecznym płaszczem, rozpraszała burzę i sprowadzała miłą pogodę.

O! ile razy tu na tem miejscu, gdzie dziś stoimy, korzył się lud przed obrazem Marji i błagał o litość, o przywrócenie spokoju duszy, o wiarę! I że dziś nie kłaniamy się rozumowi miasto Bogu, to mamy zawdzięczać Jej, tej Przemożnej Pani, nam tutaj królującej.

A dziś? Czy nam również jak w owych przykrych, w onych smutnych czasach trzeba się tulić do Marji Panny i tu przed Jej tronem o łaskę wiary dla nas, dla naszego narodu Ją błagać? Czy nasza dziś zagrożona wiara?! Nie! chwała Bogu! Tego powiedzieć nie można! U nas nikt się jawnie nie zapiera krzyża, nikt się nie zapiera Chrystusa! Ale! ale jakaż ta wiara nasza? U wielu zabobonna. Ileż to zabobonów nie tylko u prostego ludu, lecz także u tych, którzy mają pretensje do inteligencji?! Drudzy wierzą, ale

po swojemu. Przyjmują tylko to, co im do przekonania przemawia, co się im podoba, co oni swoim rozumem za godne wierzenia uznają... Inni wierzą, ale tylko dlatego, bo im to przyjemność sprawia, bo im daje sposobność do fałszywej dewocji. A trzeba powiedzieć, że wielka część naszego społeczeństwa aczkolwiek wprost i otwarcie wiary nie odrzuca, to jednak w nic nie wierzy. Nie mówi o tem nikomu, lub przynajmniej nie głosi tego publicznie, bo się nawet nad tą swoją ślepotą duchową nie zastanawia, ale jest zupełnym niedowiarkiem! Znak krzyża św., z którym wstąpił na drogę życia zatarł zupełnie w brudach moralnych. A jakżeż mało tej wiary prawdziwej, tej, na której człowiek oprzeć powinien dom swego życia? Ktoby dziś oddał życie za wiarę? Wierzenie zostawiono niewiastom, tłumowi, pospólstwu! A dziś nawet tłum i pospólstwo pomału z siebie, tak jak to wielu nazywa, *kajdany* zrzuca. I cóż nam się stanie, jeśli tak powoli wśród życia drogi zgubimy ten święty klejnot, tę gorejącą pochodnię?! Odpowiedź krótka! Zginiemy! Zbłąkamy się i przepadniemy docześnie i wiecznie! Więc nam tu przed tronem Marji, tak jak niegdyś czynili ojcowie nasi korzyć się i błagać o dar żywej wiary.

Jeśli jest tutaj kto, co przez życia drogę zgubił ten święty talizman dany mu jako pieniądz na drogę życia, to dziś tu, u stóp Marji proś jak żebrak o zwrot twojej zguby i mów to co mówi poeta:

Przeciwko burzom i wichrom żywota,
Co gaszą w ludziach święte ognie ducha,
Przeciwko zwątpieniu, które myślą miota
Jak wiotką brzozą śnieżna zawierucha,
Przeciw szyderstwu, co tchnieniem lodowem
Przenika dusze w mroźnej atmosferze
Bronię się jednem uczuciem i słowem:
Wierzę!

Wierzę w te światła co ręką matczyną
W dni mych zaraniu w sercu zapalone,
W pomroku życia wciąż błyszczą, nie giną,
Błyszczą i grzeją a wciąż w ową stronę
Kierują myśli, gdzie w lazurach świeci
Miljon gwiazd wiecznych, a ich mleczna droga
Wiedzie do Ojca, wszystkich ziemskich dzieci:
do Boga!

Wierzę, że wieki przeminą jak mary
I pokolenia całe w proch się zwieją,
Sto razy świat się przeobrazi stary
I tyleż razy zwyczajną koleją,
Mądrość zawiedzie — i śmierć hojną dłonią
Miljony mogił porozwiera wszędzie,
Światy się znużą wieczystą pogonią,
A on wciąż będzie!

W mrokach błądzimy czując strach i żałość
Co krok, to rany i zawody świeże,
Lecz, że w błękitach czeka doskonałość,
Wierzę!

Tak! Królowo i Pani moja! Słysz wyznanie moje i przyjmij je dobrotliwem sercem i zaświadcz przed Panem Zastępów, że Twój sługa wierzy. Marjo! Matko! spójrz z wysokości Tronu Swego na tę naszą biedną ziemię, na te biedne syny nasze! spójrz i na tych, którzy tu dziś nie stanęli i którzy tu nigdy nie przyjdą, bo zatracili wiarę i nie ufają Tobie! Ci biedni żebracy, jak widzisz Marjo! tarzają się w brudach życia, a miljony ich ginie docześnie i wiecznie! Marjo! my, co u Tronu Twego stoimy, błagamy za nimi! — Za wszystkimi niedowiarkami, za wszystkimi, co utracili skarb żywota, zgasili pochodnię życia, wiarę świętą, błagam Cię o Panie! Za ludem naszym, do którego dziś fałszywe przychodzą proroki! błagam Cię o Panie! Za masą roboczą, która się po większej części bałamucić pozwala! błagam Cię za oświe-

coną klasą społeczeństwa naszego! Nie daj, aby naród, któremu Ty królujesz, w niewierze zginąć miał. Uproś nam wiarę żywą! byśmy stąd darmo nie wrócili! Pani! my wierzymy!

II.

U Marji, na Jej miejscach cudownych szukał naród nasz opieki w chwilach ciężkich i trudnych, tu garnął się w chwilach najcięższych swego tysiącletniego bytu politycznego, bo Marja była dlań zawsze kotwicą nadziei!

Podczas ostatniej, grozą przejmującej wojny rosyjsko-japońskiej, zdarzył się następujący, bardzo rzewny wypadek: Było to już po walce. — Na polu zostały tylko stosy trupów ludzkich, całe wały pokrwawionych, granatami podartych ludzkich ciał. Tu, gdzie przed chwilą ryczały działa, świstały kule, sypał się ogień, że zdawało się, iż piekło swe wrota otwarło, teraz cicha pustka. Czuć tylko, że tu gdzieś w pobliżu unosi się Anioł śmierci, zimny i obojętny na ludzki ból i łzy. Tylko ptak spłoszony przyleci i usiędzie na zostawionem przez nieprzyjaciela dziale. Zbliża się noc ciemna. Ona wszystko, co się tutaj działo, zasłoni swym ciemnym płaszczem przed oczyma zdumionego świata! Czyż między tymi, co podczas bitwy padli, niema nikogo żywego?! Patrz! tam u stóp wzgórza z pośród wału trupów brocząc w własnej krwi, podnosi się młodzieniec prawie dziecko, bo dopiero lat szesnaście liczy.

Lecz o własnej sile podnieść się nie może! Już o własnych siłach dalej nie pójdzie, bo mu kula nieprzyjacielska obydwie oberwała nogi! Na twarzy jego maluje się ból. — Tak! tu przyjdzie zasnąć na wieki... tu przyjdzie utopić się w własnej krwi! A myśl jego leci daleko... mija lotem błyskawicy dalekie stepy sybirskie i staje tam u wrót słomianej strzechy... tam na polskiej ziemi, gdzie mieszkają ludzie, co go rozumią, co kochają. Tam siostry! tam młodsze rodzeństwo! O gdyby ich tak jeszcze przed śmier-

cią zobaczyć! Lżej byłoby sercu. A tak tu samotny, tak opuszczony! I zawitała na twarzy młodego dobosza nadzieja. Któż go pocieszy?! O! jest kto go pocieszy! Otwiera tornister i wydobywa z niego książeczkę. Na niej napisano: „Zdrowaś Marjo“ Tak; Ona nie opuści! Matka ziemska daleko, ale ta niebieska blisko! Młodzieniec, dziecię polskie, gdy szedł w świat daleki, wziął sobie kiążeczkę do nabożeństwa, jako jedyną towarzyszkę doli i niedoli! I teraz, gdy czuje obok siebie zimny podmuch śmierci, ona mu jedyną pociechą, ona mu gromnicę zastąpi! Słońce zachodzące krwawo oświeca bladą twarz i niebieskie oczy polskiego żołnierza, a usta jego blade szepcą: „Królowo Anielska! Królowo Patrjarchów módl się za nami!“ I wysłuchała go Królowa! Przyszedł patrol japoński, a widząc młodzieńca nieszczęśliwego obwiązał mu rany i do leczenia odesłał. Szczęśliwy! on znowu zobaczy swe polskie doliny, on choć kaleką, zobaczy jeszcze starą swoją matkę!

Czemu ja tę historję opowiadam? Bo ona mi dziwnie przypomina historję naszego narodu polskiego! Tak, jak ono chłopię polskie idąc w świat daleki na srogi bój bierze ze sobą jako kotwicę nadziei i deskę ratunku książeczkę z nabożeństwem do N. Marji Panny, tak samo nasz naród cały już na początku swego istnienia mając iść naprzód w dziejową pomrokę, bierze sobie jako opiekunkę, jako Anioła Stróża swej doli, N. Marję Pannę. W chwilach ciężkich, kiedy naród cały zdawał się konać pod ciosami nieprzyjaciela, jak on młody żołnierz na szerokich polach mandżurskich, w tych chwilach wyciągał z głębi duszy swej, z zanadrza swego, nabożeństwo do N. Marji Panny i kiedy mu się zdawało, że już skonać musi, to chciał konać z Imieniem Marji na ustach. Szedł wtenczas naród tłumnie na Kalwarję, szedł na Jasną Górę i tarzał się w prochu u tronu Marji i prosił i błagał o pociechę, o ratunek! O! gdyby te mury mogły wydać z siebie echem te jęki i płacze i bóle, które tu naród nasz z duszy swojej wylał, to serca nasze pękłyby ze

współczucia. I nie zawodził się lud. — Gdy nawała krzyżacka groziła złamaniem Polski, to lud siermiężny szedł do boju z kosą w ręku, a z Imieniem Panienki na ustach i zwyciężał! Gdy mężowie nadstawiali piersi przeciwko Turkom pod Chocimem, to niewiasty matrony polskie prosiły Królowej nieba o ratunek i nie zawiodły się! Gdy Szwed potopem groził, to na lud zbolały spłynęła łaska z Jasnej Góry. Marja była zawsze dla nas jedyną nadzieją!

A dziś?! O i dziś dla nas ciężkie czasy. Słyszymy codziennie, jak tysiące ludu naszego ginie czy to na polu walki, czy to na bruku miejskim, czy w halach fabrycznych! Słyszymy, jak ten biedny lud cierpi! Słychać jak z duszonej piersi chrapliwy jęk wydaje, jakby już konać chciał. Gdzie pociecha? gdzie ratunek? gdzie ucieczka? gdzie kotwica? gdzie deska ratunku?! Tu — gdzie zawsze, tu — gdzie zwykle, tu — u stóp Marji! O! błagajmy! Błagajmy! Marjo! zmiłuj się nad nami! Nędza nas gniecie! niebezpieczeństwo nam grozi! chcą nam zabrać naszą mowę, chcą wydrzeć z piersi nasze serca, chcą nam zabrać wiarę! Królowo ratuj! Królowo wstaw się! — A oprócz tych ogólnych spraw i bolów mamy prośby bliższe, osobiste, tajemne, które tylko w cztery oczy Tobie, o Królowo! powierzyć można! Spójrz Marjo na serce moje! Ileż tam ran głębokich! Ludzie zdradzili, najdrożsi opuścili, świat się wyśmiał! Marjo! kto uleczy?! kto pocieszy?!

„Biedny, kto Ciebie nie zna od powicia
I nigdy Twego nie słyszał Imienia,
Lecz ten biedniejszy, kto w rozpuście życia
Stał się niegodnym Twojego spojrzenia".

Och! może i tu kto taki biedny?! Więc bież do Niej i chwytaj się Jej szaty, proś, błagaj! a choćbyś upadł, w nędzy leżał, Ona pocieszy, bo Ona Nadzieja nasza!

III.

Na Kalwarji, u stóp Niepokalanej rozgrzewał lud polski swe serca miłością bożą i miłością wzajemną, społeczną.

Dziwną bo jest ta dusza nasza! Czasem rozpala się ona żarem dziwnym, tak, że gotowa się na wszystko ważyć, wszystko uczynić! Ale wnet chłodnie ona, jak to rozpalone żelazo i wtenczas wpada człowiek w odrętwienie, w niesmak. Życie mu nie smakuje, wszystko mu zawadza, wszystko dokucza! Aby móc osobiście żyć szczęśliwie i być zadowolonym z życia, to trzeba koniecznie jakiejś dźwigni, jakiejś podniety. Tą podnietą, to miłość boża, miłość nie ta ziemska, co zmysły zapala i drażni, ale ta miłość, co płynie z Krzyża, a której mistrzynią jest N. Marja Panna! Lecz człowiek nie idzie przez to życie sam! Wespół z nim, tą samą drogą kroczy cały szereg innych, jemu równych istot! By z nimi iść w harmonji i zgodzie, potrzeba miłości bliźniego! O! biada narodowi, biada społeczeństwu, jeśli w nim powstają waśnie i niezgody, jeśli w nim powstają waśnie, niesnaski i niepokoje. A u nas tyle było tych różnic, tyle nieporozumień między panem a chłopem, między prostakiem a bogaczem! I gdzież naród wyrównywał swe rachunki? Gdzie czerpał tą miłość, która życie słodzi? Tu! u tronu Marji! Tu schodził się żebrak i bogacz i wspólnie do Marji ręce wyciągali, tu przychodził pan i poddany i u stóp Marji czuli się równymi i w objęcia sobie padali i urazy i winy sobie przebaczali! Tu przychodził każdy zniechęcony, zmęczony życiem, jakby na wyspę wśród morza i nabierał miłości i cierpliwości, by móc dalej płynąć po burzliwej tego życia fali!

A dziś ileż niesnasek i nieporozumień? O! gdyby tak wszystkie syny i córki polskiej ziemi mogli tu stanąć równocześnie u tronu Marji i paść sobie w objęcia i przebaczyć urazy i zapomnieć krzywd, — zakasać rękawy i wziąść się do pracy — a możeby lepiej było? O! gdyby tak przyszli tu do Tronu Marji ci wszyscy, którzy przez rozpustę życia stali się niegodnymi Jej, tej Pani wejrzenia? Nie byłoby tyle zawodów, tyle złamanych żywotów ludzkich! Ale oni tu nie przyjdą! — Lecz Ty o Pani

przemożna tu jesteś przepotężna! Twe serce przebite mieczami miłości bolesnej! Szlij strumienie miłości stąd na ten lud biedny! przelewaj z serca do serca tak, jak matka przelewa swą miłość w serca dziecięce! Kojarz, jednocz dusze ludzkie! — Niech Twe dzieci jak bracia żyją — niech będą po wsze czasy Twoimi, a Ty tu króluj! o króluj! o Pani! — Amen!

31 lipca 1905.

Prymicje X. Jana Jaracza

w Nienaszowie 4. VII. 1902.

Dwadzieścia pięć lat minęło dnia 6 go czerwca bieżącego roku, jak do kościoła tutejszego przyniesiono dziecię małe do chrztu, — dziecię chłopskie, dziecię z ludu, z tego ludu rolniczego, co to krwawą pracą z ziemi chleb powszedni dobywa. Przyniesiono je i spytano w imieniu Kościoła: „Janie wyrzekasz się ducha złego? i wszelkich spraw jego?“ I odpowiedzieli rodzice chrzestni w Jego imieniu: „wyrzekam się“. I polał kapłan wodą zbawienia głowę dziecięcia i wymówił słowa sakramentalne: „Janie! ja Cię chrzczę w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego“. A w tej samej chwili w duszy dziecięcia stało się tak jasno, jak kiedy z pośród czarnych chmur słonko swe jasne oko pokaże! Łaska boska strumieniem polała się w duszę dzieciny, jakby w czarę jakąś duchowną. Wiara, nadzieja i miłość, trzy cnoty boskie, jak trzy promienie rozjaśniły tę ciemną dotychczas siedzibę Ducha świętego. A kiedy się to na ziemi działo, w niebie Bóg dobry obmyślał dla dziecięcia przeznaczenie jego — przewidział jego życie całe i wyrzekł: „dziecinie tej dam oprócz tego, co otrzymuje każdy człowiek przy chrzcie świętym, szczególny grosz — dam w serce powołanie na godność niezmierną, na godność kapłana mojego. — Ono mi będzie kapłanem, ono mi będzie naczyniem co poniesie Imię Moje przed narody“. Tak powiedział Pan i wionął w serce dziecięcia grosz powołania do kapłańskiego stanu. A dziecię wzięło grosz Pański i wyniesiono je z kościoła. Kiedy przyszło do używania rozumu, po-

czuło, że Mu coś w duszy ciąży, poczuło, że Mu tam coś gra, poczuło w sercu jakiś śpiew anielski, święty i uczuło niepokój — poczuło, że na dnie duszy znajduje się coś ukrytego, co jemu i boleść sprawia, ale i dziwną czasem przejmuje radością. I zaczął szukać i szperać po komórkach swej duszy i tam na samym spodzie znalazł głos, który mu mówił: „Janie! Ty masz być bożym sługą. Ty masz się sposobić do stanu świętego — Janie! ten świat zmysłowy, to nie dla ciebie, ty masz żyć duszą, duszą tylko, a kiedy nie zmarnujesz tego grosza, co ci go Pan dał, to dojdziesz w tem życiu do ołtarza, w niebie do stolicy sędziowskiej". A kiedy chłopię odkryło to, co go w sercu męczyło, to uczuło lęk w duszy swej. I jako niegdyś Jeremjasz prorok, kiedy usłyszał głos bożej wokacji, odrzekł nieśmiało: „a — a — a Panie Boże, oto nieumiem mówić, bom ja jest dziecina", tak i chłopię ono, czując głos wokacji mówiło: „Panie! dziecina jestem i jakżeż ja zdołam być naczyniem wybranem?" Ale Pan powiedział Jeremjaszowi: „Nie mów — jestem dziecina, bo na wszystko, na co cię poślę, pójdziesz i wszystko, cokolwiek ci rozkażę, mówić będziesz". — I wyciągnął Pan rękę swą i dotknął się ust moich i rzekł Pan do mnie: „Otom cię dziś postanowił nad narodami i królestwy, abyś wyrywał i kaził i wytracał i rozwalał i budował i sądził" Jer. I. Tak powiedział i pacholęciu Pan: — „idź, a ja cię uczynię wszystkiem!" I usłuchało pacholę — kornie wzięło grosz boskiego powołania w swe dłonie i poniosło go przed obraz Marji i złożyło je u Jej świętych stóp i rzekło: „Marjo! Matko! jam słaba dziecina — Pan mnie woła do Swej służby, Ty mnie prowadź; ja się Twojej osobliwszej straży i pieczy polecam". A Marja uściskiem macierzyńskim objęła wybrańca Swego i ujęła go za drżącą rękę i prowadziła. — Prowadziła drogą dziwną. — Raz szli drogą piękną i równą — to znów zaczynały się skały i przepaście smutków i zmartwień i bólów — to znów chodzili na piękne łąki kwieciem różnorodnem porosłe —

(to były chwile szczęścia) — czasem się zaciemniało — wchodzili w lasy i bory czarne, że lęk i strach brał pacholę — a wtenczas Matka sciskała za drżącą dłoń i mówiła: „Nie bój się Jasiu!“ Aż doszli na szczyt góry, góry tak wysokiej, że z niej widać świat cały i pokazała mu ołtarz i oddała mu Syna swego i kielich krwi Jego i rzekła: „Janie tu koniec drogi — tu kres twój ziemski — już cię nic więcej na ziemi nie czeka — jesteś kapłanem — jesteś ofiarnikiem Pana — pilnuj tego świętego miejsca, strzeż go przed wrogami, a kiedy przyjdzie koniec życia, Pan ci odda zapłatę sowitą“. I oto widzicie tego kapłana. Tu przed oczyma waszemi staje przed Panem, ręce wyciąga i sprawia sprawę świętą, Najświętszą spełnia ofiarę. — To on, któregoście tu między sobą dzieciną małą i pacholęciem widzieli — On wasz brat, on wasz krewny, dziś staje przed ołtarzem Pana. — On został kapłanem — ale czem równocześnie? — On stał się *a)* mężem bożym ale zarazem i *b)* mężem ofiary. O tem do Was dziś mówić będę. — Marjo Panno uproś łaskę potrzebną my Cię prosimy. — *Z. M.*

I.

Kapłan jest mężem bożym — „homo Dei“.

Pan Bóg stworzył świat nie poto, aby ten świat dzieło Jego rąk, trwał i istniał bez celu, bez przeznaczenia. On ma spełnić zadanie swoje, on ma czcić Pana. Pan i Twórca wszechrzeczy pragnie i chce, by Mu świat spłacał podatek, by Mu daninę niósł, daninę czci, daninę serc. Cesarz i król ustanawia urzędników, aby zbierali od podwładnych podatek i składali przed jego tronem. Bóg podobnie potrzebuje urzędników i celników, coby na ziemi będąc, zbierali od dusz daninę z serc płynącą. I wysłał Pan kapłany i rzekł im: „wy będziecie na cle, wy będziecie mytnikami moimi, wy będziecie od ludzi zbierać dań i podatek“. Tak bracia moi! Kapłan jest przedewszystkiem i na pierwszem miejscu „homo Dei“, „czło-

wiek boży", sługa i zarobnik boży, co ma na każdy dzień odbierać od ludzi cześć Bogu należną i składać ją Jemu samemu. A poczwórna danina należy się Bogu od stworzenia. Stworzenie każde, a przedewszystkiem człowiek, co jest jego królem i panem, ma obowiązek Pana chwalić, Jemu dziękować, Jego przepraszać i Jego o nowe łaski i dary prosić. On Pan, a my słudzy i liche niewolniki Jego. Zato Go czcić i wielbić mamy, bo Go czci i wielbi i lichy kamień i słaba roślina i nieme zwierzę. My mamy obowiązek dziękowania Panu. Wszystko co mamy, z Jego mamy ręki, wszystkie dobra, które posiadamy, Jego są własnością! Masz życie, masz zdrowie, masz cześć u ludzi, masz honor, masz majątek, masz dostatek, masz chleb powszedni — masz rodziców, masz braci, masz siostry, masz przyjaciół, co ci serce swe w ofierze dają, masz ten świat cudny bożą ręką dla ciebie stworzony. I komuż to masz zawdzięczać? Panu i Stwórcy swemu — Bogu! Masz więc obowiązek nieść dzięki na każdy dzień Panu za dary i łaski. Masz też człowiecze obowiązek przepraszania. Jesteś słabą i marną istotą, co nie jeden raz, ale siedemdziesiąt siedm razy na każdy dzień obraża Pana i Stwórcę swego. Na każdy dzień popadasz w złości i słabości, na każdy dzień stajesz się przestępcą boskiego prawa. Gdyby nie boska moc i dobroć i miłosierdzie, tysiąc razy stałbyś się winnym śmierci, śmierci wiecznej. Masz więc obowiązek przepraszania i korzenia się przed Panem Twoim. A wreszcie masz obowiązek prośby. „Petite et accipietis" proście a będzie wam dano. Pan temu daje, kto Go prosi, kto nie prosi nie otrzyma. — Taki to poczwórny podatek winien człowiek Bogu. Kapłan jako boży mąż, celnik boży, w imieniu ludzi zanosi codziennie Panu tę poczwórną daninę. Staje na każdy dzień przed ołtarzem Pana i składa ofiarę niepokalaną, ofiarę bezkrwawą, ofiarę nowego zakonu. I płynie przez jego ręce cześć ku Bogu. Kiedy P. Bóg widział, że ludzki ród popadł w złość i zapomniał o Nim, o Stwórcy swoim,

rzekł straszne słowo: „poenitet me“ „żal mi“. — „Czego?“ „żem uczynił człowieka“. Dlatego wyniszczę ludzi ze ziemi, nie chcę, aby to plemię zamieszkiwało świat. I spuścił klęskę straszliwą — nie dającą się opisać. Wody zalały świat cały i tylko Noe, mąż sprawiedliwy, uratował siebie i swoją rodzinę od ogólnej zagłady. Kiedy dziś Pan Bóg patrzy po świecie całym i widzi co się dzieje, to musi koniecznie wymówić to samo słowo: „poenitet me fecisse hominem“ — „żal mi, żem uczynił człowieka“. Wyniszczę go z oblicza ziemi, bom się zawiódł na świecie, bo nie mam czci należnej, bo na świecie kwitnie kult szatana raczej, niż cześć prawdziwego Boga. A Bóg jednak nie wyniszczył świata. — Czemu? Bo kapłani nowego zakonu zanoszą Mu na każdy dzień daninę w ofierze mszy św. A ta ofiara tak Mu miła, że czeka i nie karze, ale się lituje. Że więc kapłan jest na ziemi tym, co odnosi podatek Bogu od ludzi należny w ofierze mszy św., przeto słusznie zwie się mężem bożym.

b) Kapłan jest mężem bożym, bo ma powierzony klucz od ludzkich dusz. Wielka jest potęga królów i mocarzów tego świata. Na ich skinienie biegną sług tysiące, na ich rozkaz stają miljony zbrojnego ludu i biją każdego, ktoby chciał Ojczyźnie krzywdę wyrządzić. Od ich woli i rozkazu zależy szczęście miljonów, ich byt doczesny. I świat otacza ich czcią i przed nimi zgina nawet kolana i kornie odkryte głowy ku ziemi skłania. A jednak cóż znaczy ta ich moc i potęga? Władza nad całym światem jest niczem, — jeżeli się nie ma władzy nad duszami, — bo ci sami, którzy się dziś władcy i panu swemu do stóp ścielą, jutro broń w jego utopią sercu. Stąd też taki wielki mąż i mądry, jakim był nasz wieszcz Adam Mickiewicz, prosi Pana nie o moc i potęgę doczesną, ale prosi o rząd nad duszami. Daj mi Panie rząd dusz, — daj mi, abym dusze ujął i wiódł wedle mojej woli, — to szczyt władzy na ziemi. A kapłanowi Pan dał rządy dusz. On jest podobny do sternika, który kieruje łodzią i wiedzie ją przez burz-

liwe fale żywota. Stoi na przedzie i uważa, czy gdzie nie grozi niebezpieczeństwo, — czy tam z pod fali nie sterczy skała — i tak jedzie i wiedzie za sobą tysiące, tysiące dusz. — On jest klucznikiem, który w każdej porze może otwierać drzwi do ludzkich serc. I wchodzi tam raz jako nauczyciel i oświeca ciemności i wątpliwości, — to znów jako lekarz. — Kiedy widzi, że serce poranione, że ran wiele je pokrywa, to On wchodzi tam z balsamem cudownym. O ileż ludzi chorych na duszy odzyskało zdrowie pod wpływem lekarstwa, jakie kapłan polecił?! Wchodzi też do serca jako sędzia. — Tam, przed jego trybunałem stają z jednej strony nędze i grzechy ludzkie, a z drugiej strony cnoty i zasługi. A On rozsądza i grzechy odpuszcza i do cnót zachęca. I przed Nim otwarte serca i w rękach Jego rząd dusz. — Że więc kapłan ma rząd nad duszami, które są obrazem Pana Boga, przeto słusznie i sprawiedliwie zwie się mężem bożym.

c) W kazaniu na górze powiedział P. Jezus do Apostołów, a więc i do tych wszystkich, którzy kiedyś później urząd apostolski spełniać mieli, te pamiętne słowa: „Wy jesteście światłość świata; nie może się miasto na górze osadzone zakryć, oni zapalają świece i nie kładą je pod korzec, ale na świeczniku, aby świeciła wszystkim, którzy są w domu“ Mat. 5, 14, 15.

Tak jest! — Kapłan jest jako głosiciel prawdy bożej, pochodnią, od której blask bije na dom cały, to jest na cały świat. W świecie całym, mimo uczoności, mimo coraz nowszych odkryć, coraz więcej zamieszania. Co głowa, to rozum. Co chwila inne nauki i inne zasady. I ludność biedna leci na oślep i sama nie wie czego się jąć, czego się uczepić. Jedni tej, drudzy innej czepiają się chorągwi, a wszędzie źle i wszędzie niebezpiecznie. I któż jest tą pochodnią świetlistą, rozświetlającą widnokrąg cały? Kapłan, głoszący słowo boże, naukę prawdziwą, kapłan, który w swej prawicy dzierży chorągiew prawdy. Kto się tej pochodni trzymać będzie, ten nie

zabłądzi w ciemności, ten dojdzie do szczęścia, spokoju, ten trafi do nieba po śmierci. Że więc kapłan jest pochodnią, która sieje światło prawdziwe na cały świat, przeto się słusznie zwie mężem bożym — przeto Go słusznie nazywam robotnikiem bożym, wykonawcą zleceń bożych.

II.

Kapłan jest też i mężem ofiary. Pan Jezus żegnając się ze światem, a więc i z Apostołami daje im ostatnie swe nauki i napomnienia i przepowiednie na przyszłość. I cóż im obiecuje? Może Was świat zaszczytami i bogactwy obdarzy? może przed Wami świat kłaniać się będzie, — powie Chrystus? — Może im obieca rozkosz i używanie? Nie! Tak mówi Chrystus Pan: „tom Wam powiedział, abyście się nie gorszyli — wyłączą Was z bożnic, ale idzie godzina, że wszelki, który Was zabija mniemać będzie, że czyni posługę Bogu". — Jan 16 — I znowu: „Jeśli Was świat nienawidzi, wiedzcie, iż mnie pierwej niż Was nienawidził; — byście byli z świata, światby co jego było miłował, lecz iżeście nie są z świata, alem Ja Was wybrał z świata, przeto Was świat nienawidzi. — Wspomnijcie na mowę moją, którą Ja wam mówił: nie jest sługa większy nad Pana swego. — Jeśli Mnie prześladowali i Was prześladować będą". J. 15. Oto testament, który Pan i Mistrz zostawił kapłanom. Stąd też jasno wynika, że kapłan mąż boży, jest też zarazem i mężem ofiary ciągłej i ciągłej boleści. Powiecie. — Co tam? Najlepiej księdzu, ma wszystkiego poddostatkiem, życie wygodne prowadzi. — O! mój Boże! Zaglądnij no człowiecze do serc kapłańskich, a zobaczysz co się tam dzieje, zobaczysz ile tam bólu i cierpienia. Nie wierzysz? Ja ci pokażę. Mówiłem ci w pierwszej części, że kapłan jest celnikiem bożym i ma Panu ściągać daninę czci, dzięków, przeprosin i błagania. I kapłan biedny siedzi na tej rogatce bożej, przy kościółku, przy którym go Bóg naznaczył i patrzy. Dużo też ludzi odda Panu

to co jest Pańskiego? I widzi. — Szerzy się po świecie djabelski kult ciała i zmysłów, a tak mało tych, coby Panu cześć oddali. I ściska się serce kapłana bólem, bo się sam o siebie lęka i pyta, czy ja też godnie spełniam zadanie moje? czy ja dość pracuję nad wykorzenieniem grzechów? I to jest boleść, co rozpiera duszę kapłana. Kapłan jest sternikiem, co przewozi dusze z ziemi do nieba. O Boże! a jakiż to ból, kiedy się sternik obejrzy na łódź swoją, a w łodzi próżno?! Ten i ów powołany do wsiadania, nie wsiadł — wielu z takich, którzy już wsiedli, napowrót z tej łodzi wypadli. I widzi biedny kapłan, sternik boży, że żadnego plonu nie zawiezie Panu — i nie będzie mógł powiedzieć przed Panem: — „oto oni, korona moja i zapłata moja!“ I tak płynie tylko sam, lub z małą tylko garstką, a koło jego łodzi tylu się topi i w odmętach przepada, a choć im dłoń podaje, by się ratowali, to oni ratunkiem gardzą. I biedny kapłan musi czuć boleść i żałość — a jaka ona jest, to wy pojąć nie zdołacie. Jest wreszcie kapłan słupem i pochodnią, na oświecenie świata.

Cokolwiek mówi i uczy, to nie mówi od siebie, ale mówi w Imieniu Boga, którego naukę nieomylną głosi. I znowu nowa przyczyna do boleści i smutku. Stoi on słup świetlisty i błyszczy, jak błyszczy okienko oświetlonej chaty samotnej wśród ciemnego lasu, stoi i wabi ku sobie, wabi ku prawdzie, a wszyscy przechodzacy mijają i nie zwracają uwagi. — Kupują fałszywą naukę u lichych przekupniów, co ich fałszywym oszukują blaskiem, a mijają tych, którzy prawdę głoszą i owszem nienawidzą ich. Dusza kapłana, jest jak ta czara ofiarna — kielich ofiarny. Ciągle ku niebu wznosi się z niego ofiara, ale ofiara to z miry, z bólu. Na każdy dzień wespół z kielichem napełnionym krwią Zbawiciela dźwiga i własne serce ku niebu, kielich bólu pełny. A świat tego wszystkiego nie zrozumie, nie odczuje, nie pojmie — i nikt się tej boleści wewnętrznej nie ulituje i nikt nie pożałuje. I żyje kapłan

między ludźmi, ale nie jest z tego świata. — Owszem od strony świata wieją ku niemu ustawiczne burze i zawieje, a On przeciwko nim stoi sam, jak to drzewo samotne w polu, narażone na wszystkie burze i ulewy. Rzadko kiedy usiądzie na niem ptaszek, coby mu zaśpiewał i rozerwał samotność i zadumę. I kiedy się to wszystko zważy, kiedy się zważy, jak praca jego syzyfowa prawie, to się powiedzieć musi: „tak! kapłan jest mężem boleści, ustawiczną ciągłą ofiarą".

Słyszysz kapłanie młody co Cię czeka w życiu?

Ty to już czujesz, że cię czeka to, co my już przeżywamy, a to, co już przeżył i przeszedł pierwszy nasz Pan i Mistrz. Patrz w dal, patrz w przyszłość! — Dotychczas szedłeś różaną drogą. — Była nieraz droga równa, a może czasami i kwiecista. — Teraz przed Tobą niema innej drogi, tylko taka wąska, taka ciernista, taka straszna, taka czerwona od krwi poprzedników Twoich, Męczenników świętych. Od ołtarza do nieba strasznie ciernista, strasznie bolesna droga! Ty musisz być mężem boleści. Więc lękasz się zapewne i strachasz — i boisz się, żeś już wypowiedział te pełne znaczenia słowa: „introibo ad altare Dei", „wnijdę do ołtarza Boga" i może się cofnąć chcesz? Nie bój się! Patrz tam naprzód! — Przed Tobą idzie Chrystus w cierniowej koronie i z krzyżem na barkach i mówi: „kto chce być uczniem moim, niech weźmie krzyż swój na każdy dzień i naśladuje mnie". — Widzisz? On na Ciebie woła! krzyż Ci podaje, — a kiedy On Twój Pan z krzyżem na ramionach, to Ty, uczeń Jego bałbyś się wejść na drogę krzyża? Patrz przed siebie kapłanie! Na tej samej drodze widzisz Najśw. Panienkę. Idzie Ona, a nie idzie po liljach. — Ciernie Jej nogi kaleczą — i drogę Ci uświęca i do Ciebie Swą dłoń wyciąga i mówi: „Pójdź za mną Synu!" — Więc się nie lękaj! A spytasz może, czy niema jakiegoś leku, byś sobie mógł ulżyć ciężaru i bólu? I owszem! Jest! Jaki? Kochaj, a będzie Ci lekko cierpieć. Widzisz? Zbawca Twój na krzyżu cier-

piał, a jeszcze wołał: „O Ojcze! nie pamiętaj im!“ Kochaj, a nie będziesz czuł bólu! Kogo masz kochać? Boga nadewszystko — a potem bliźniego. Jakto? Mam miłować ten świat, który mię nienawidzi? Tak! Więc choć świat mną wzgardzi i odrzuci mnie od siebie, mamże go miłować? Kochaj! Więc, choć mi w twarz plwać będą, mamże jeszcze kochać? Kochaj! Więc, gdy mi serce w kawały rwać będą, mamże jeszcze kochać? Kochaj! Więc, gdybym nawet w piekło iść miał przez świat, mamże go jeszcze kochać? Kochaj! „Chcę być przeklęstwem za lud“ — mówi św. Paweł. A kochaj najbardziej swoich! — Kochaj tę ziemię ojczystą, kochaj te nasze biedy i nędze i te nasze potrzeby i kłopoty. — Ukochaj ten lud siermiężny, co najwięcej od Ciebie żąda, kochaj braci Twoich, współkapłanów, ukochaj ołtarz, a lekko Ci będzie nawet z krzyżem i nawet w koronie cierniowej! A pierwszy akt tej miłości okaż dzisiaj! Ty dziś wszechmocny! Ty Oblubieniec boży! — Dziś Tobie Aniołowie zdumieni się przypatrują. — Jeżeli więc kochasz, to poleć tych co miłujesz Panu, z którym poufale rozmawiać będziesz. — Proś za rodzicami, którzy dziś są prawie wniebowzięci. — Proś za nami kapłanami. — Nam już ręce ustają od pracy i znoju, proś by nam sił dodawał. Proś za parafją! — Patrz oni taką radością przejęci, że Cię widzą u ołtarza! — Proś za nimi! — Proś za biedną ojczystą ziemią, proś za kościołem świętym, uciśnionym! — Proś!! — Wstąp do ołtarza Pańskiego. Amen.

Kazanie

na instalację Proboszcza.

„Żywych zwołuję, łamię pioruny,
opłakuję umarłych".

Schiller.

Najmilsi! Wy znacie dobrze głos dzwonu, co umieszczony na wieży kościoła, codziennie do Was przemawia. Niestrudzony on i niewyczerpany nigdy! Ledwo się niebiosa poranną zarumienią zorzą, ledwo blady świt cienie nocy rozprószy, już on, ten stróż Wasz i boży opiekun, dźwięcznym głosem do Was przemawia. — A dziwnie słodka i śpiewna mowa jego! Płynie niby fala gładka ponad strzechami, wchodzi pod słomiane dachy Wasze, przenika głąb duszy, uderza o serca i wywołuje z ich głębin pieśń na cześć i chwałę Przedwiecznemu Panu! Miesza się z wiatrem, co huczy ponad polami pszenicznemi, łączy się z szumem drzew, zielonym pokrytych liściem, kołysze się na falach chwiejących się łąk kwietnych! Dzwon kościelny, to Wasz stróż i przyjaciel. — Dziwne, a zarazem ważne spełnia on wobec Was zadanie! On woła Was do kościoła parafjalnego. W jego metalicznym dźwięku słyszysz słowa: „Pójdź człowiecze do świątyni. Tu się ucisz, wejdź w głąb swej duszy, wyłów tam perłę uczucia i poślij ją jako modlitwę przed tron Najwyższego. — A ona Cię ukoi, ona Ci da chwilę wytchnienia, ona Cię pocieszy, ona nakarmi Twą duszę". Gdy nad siołami Waszemi zbierze się chmura czarna, a ciężarna błyskawicami i Wy się lękacie, by piorun nie spadł i nie uderzył w domostwo Wasze, w dobytek Wasz,

to z wieżycy białej odzywa się srebrny dzwon. — Głos jego płynie ku ciemnym niebiosom, jakby je błagał i prosił: „Niebiosa bądźcie łaskawsze! Nie niszczcie dobytku żebraków! To chleb nasz, to żywność nasza! Panie powstrzymaj pioruny!“

Kiedy zimny biały anioł śmierci przeleci nad chatami Waszemi i wyrwie z pośród Was ofiarę, by ją ponieść przed tron Najwyższego Sędziego, to znów dzwon Wasz odzywa się skargą żałosną. — Kwili on i płacze, jak sierota nad mogiłą matki. — A mowa jego taka tkliwa. Zda się, że serce jego to nie martwa istota, zda się, że to istota żywa, co czuje dobrze, że straciła drogą osobę. — W tym płaczu dzwonu martwego usłyszysz głos czuły, co płynie przed Sprawiedliwego Sędziego i woła: „Panie miłosierdzia, litości Panie dla tej biednej grzesznej duszy, która tam przed Twoim Majestatem rachunek składa! Panie litości! Litości o Panie!“

Najmilsi! Głos dzwonu, to głos martwy i zimny. On mówi, lecz nie czuje! Lecz Bóg Wam dał moi drodzy parafjanie inny dzwon, dzwon, co ma serce żywe, serce czujące, prawdziwie tkliwe! Czy Wy go znacie? Dzwonem tym, to pasterz parafji, a serce co o ten dzwon uderza, to serce Waszego proboszcza. — Tak jest! Z woli bożej i rozkazu Najwyższego, Wasz pasterz ma dla Was pełnić te same funkcje, które spełnia martwy dzwon. On ma zwoływać żywych na łamanie chleba, dla dusz potrzebnego! On ma wołać na Was owieczki swoje: „Pójdźcie! usiądźcie przy stole Pańskim, a ja Wam będę łamał chleb nauki i łaski! Pójdźcie i usiądźcie, a ja nakarmię dusze Wasze!“

Gdy nad głowami Waszemi zawiśnie chmura gniewu Bożego, to on ma się rozdźwięczeć i głosem swoim bić pod zagniewane niebiosa i wołać: „Panie! Litości! Panie! miłosierdzia dla biednego grzesznego ludu!“

Gdy znowu anioł śmierci pocznie swe straszliwe żniwo szerzyć na łanach życia Waszego i ścinać pogłowie

Waszych żywotów, to on ma obowiązek roztkliwić się, niby dzwon cmentarny i ma wespół z wieśniaczką żałobną słać ku górze tkliwe płacze żałobne i mówić: „Panie! Panie! to dusza mojej pieczy powierzona, staje przed tronem Twoim! Panie! bądź jej miłościw! Miserere! Zlituj się! Nie karz!“

Jednem słowem, pasterz parafji, proboszcz, ma być dla powierzonej swej pieczy owczarni dzwonem, co żywych zwołuje na pokarm duchowy, łamie pioruny gniewu Bożego, opłakuje umarłych i pociechę im niesie! Te trzy najważniejsze i najwznioślejsze zarazem obowiązki ja Wam w dzisiejszej nauce przedstawię, a zarazem wyłuszczę obowiązki, jakie Wy względem tego głosu macie. — Dopomóż do zbożnej pracy o N. Marjo Panno! my Ciebie gorąco prosimy! — *Z. M.*

I.

„Vivos voco“, — „zwołuję żywych! “Zwoływanie żywych na karm duchowną, to pierwszy obowiązek pasterza w parafji.

Nie masz prawie większego nieszczęścia i większej klęski, jak, gdy głód zapanuje w jakiejś krainie. — Anioł śmierci rozpoczyna swą pracę nieczułą, swe żniwo bolesne. — Trupy ludzkie walają się blade po polach i rowach przydrożnych, po łąkach i łanach, pozbawionych zboża, po ulicach i rynsztokach miast. — Serca ludzkie twardnieją wonczas dziwnie i nie pozwalają sobie ni na jedno serdeczniejsze, cieplejsze drgnienie! Matka, sama głodna, obojętnem i suchem okiem patrzy na swe dziecię, co w kurczowych bólach wije się na barłogu i z tęsknotą przyzywa śmierci, jak wybawicielki! W takich strasznych chwilach ustaje do tego stopnia wszelkie szlachetniejsze uczucie w duszach, że często ludzie przemieniają się w dzikie żarłoczne bestje. — Historja opowiada o matkach, które swoje własne dzieci w przystępie szalonego głodu zjadały. — Jednem słowem, głód ciała, to klęska straszliwa,

to ból nad bóle, a śmierć głodowa, to jedna z najstraszniejszych śmierci! — Stąd też w naszej pieśni polskiej, a takiej serdecznej, jak są nasze suplikacje, śpiewamy nabożnie: „Od powietrza, i głodu.....! zachowaj nas Panie!“

Lecz człowiek, to nie samo ciało martwe, — człowiek to istota złożona z ciała i duszy. — Ciało samo z siebie niema życia w sobie — duch jest, który je ożywia! A duch, chociaż jest istotą bezcielesną, jednak podobnie jak ciało potrzebuje do życia swego pokarmu, pożywienia, strawy!

Strasznym jest głód ciała, bo szarpie wnętrzności i gryzie je niemiłosiernie! Lecz o ile duch wyższym jest od ciała, o tyle głód duszy przewyższa męką swoją głód cielesny! Podobnie jak głód ciała skręca niemiłosiernie wnętrzności, tak głód duszy dociera aż do samego środka ludzkiej istoty, wpija się w nią i ssie z niej życie. — Kiedy taki czas głodu i pragnienia duszy na człowieka przyjdzie, to człowiek opuszcza głowę, smuci się i martwi, więdnieje, jak kwiat podcięty i umiera. — Stąd też jak ciało, tak samo i dusza musi mieć pokarm i strawę. — Bóg dobry, który pamięta doskonale o naszych potrzebach, przygotował pokarmów dostatek wielki i to tak dla ciała, jak i dla duszy. — Pokarm dla ciała, ten chleb doczesny, Wy go dobrze znacie, bo przecież codziennie trudzisz się, znoisz Ty ludu wieśniaczy, pracą nad przygotowaniem chleba. — Lecz któryż to jest pokarm dla duszy? Jak wygląda ta dziwna niebieska manna, która ma karmić Wasze dusze? — Tym chlebem, moi drodzy słuchacze, to oświata prawdziwa boża, która człowiekowi odsłania prawdę i zaspokaja głód rozumu, co nienasycony okruchami ziemskiej wiedzy ciągle żąda więcej i więcej, ciągle swem pytaniem: „Dlaczego“ — domaga się strawy zdrowej. — Tym chlebem, — to łaska boża, boża miłość, która przejmuje naszą wolę, przenika ją niby promienie słońca, które się w przestworzu rozpływają i zapełnia

pragnienie miłości, które się w człowieku ciągle odzywa, gasi głód szczęścia! Taki to, moi drodzy słuchacze — chleb duchowy przygotował dla nas Pan! Nauka boża, to chleb, a łaska boża, to woda kryniczna. — Gdy dusza się takim pokrzepi pokarmem, to już nie ustanie na drodze ku niebu!

Nad przysposobieniem chleba cielesnego, Ty sam ludu dobry codziennie pracujesz, a Bóg błogosławi trudowi twojemu i masz strawy dostatek. — Ale czy masz Ty ludu boży klucz do tego spichrza, w którym Pan zamknął chleb dla Twojej biednej duszy? Nie! Klucza tego nie daje Pan każdemu. — Wypróbowany stróż ma strzec tego cennego pokarmu. Gdyby każdy miał klucze od onego spichlerza, to wielu nieroztropnie marnowałoby ów cenny pokarm, wielu rozrzucałoby zbyt wielkie kruszyny onego chleba, któreby się świętokradzko kalały w błocie tego świata. — Klucz do tych skarbów dał Pan w rękę kapłanowi. — On ma codziennie spichlerz ten boży otwierać, jemu wolno chleb ów duchowy między głodne, a spragnione rzesze dzielić. — On ma tłumaczyć ludowi naukę bożą, pokazywać mu prawdę błyszczącą, niby słońce jasne i w ten sposób zaspokajać rozum. On ma strzec źródeł łaski, sakramentów świętych i podnosić do ust każdej spragnionej duszy czarę, bożej łaski pełną. — Lecz samo noszenie klucza od spiżarni bożej nie wystarcza dla gorliwego kapłana, on musi być dzwonem, którego głos daleko się rozchodzi i zwołuje wiernych do onego pokarmu! Jak dzwonek z wieży białej często się odzywa i myśli wiernych ku górze podnosi, tak często ma się odzywać głos pasterza w parafji i zwoływać wiernych, by szli po pokarm i napój dla swej duszy potrzebny.

A w dzisiejszych czasach musi być ten głos jeszcze czystszy, jeszcze dźwięczniejszy, jeszcze donioślejszy!! Czemu?! Bo słyszymy, jak i inni, którzy się mienią przodownikami ludu, a są często tylko wilkami w owczej skórze, nawołują lud do swoich świątyń, ku swoim cią-

gną ołtarzom, ku ołtarzom, na których miasto bóstwa, panuje samowolnie pycha i nienawiść!

Dziś głos tego dzwonu musi być donioślejszy, bo widzimy jak wiele dusz odwraca się od pokarmu zdrowego, zatykają sobie uszy na głos dzwonu bożego, a karmią się młótem, które stosowne dla wieprzów, a nie dla dusz, krwią Baranka odkupionych!

Ludu! Ten kapłan, któremu Pan polecił rozdawać pomiędzy Was chleb żywy, chleb duchowy, mannę bożą, on będzie dla Was takim dzwonem! Serce jego czułe i uważne! Ono zna i rozumie doskonale, co to jest cierpienie głodu duchowego, on wie i rozumie dobrze, jak kurczy się w śmiertelnych boleściach dusza, gdy ją pragnienie piecze i pali! To też z czułością będzie na każdy dzień nawoływał Was do Stołów Pańskich, na chleba łamanie! Czy ale, Ty ludu tutejszej parafji pójdziesz za tym głosem? Czy nie będziesz zamykał uszu na głos tego dzwonu bożego?!

Dziś się nad tem zastanów!!

II.

„Fulgura frango!“ — „łamię pioruny!“ Straszną jest chwila, gdy się burzy natura. — Gdy nad głowami naszemi niebo pokryje się czarną zasłoną chmur, gdy błyskawica pocznie, niby groźny poseł zniszczenia przelatywać niedoścignionym biegiem z jednego końca widnokręgu na drugi, gdy gromy zaczną warczeć, niby złe psy, co chcą kły wbić w ciało człowieka, — to strach przejmuje wszystko stworzenie. — Nie tylko człowiek, ale i niemy zwierz kryje się i chroni pod dach. — Gdy na górze Synaj podczas nadawania przykazań przez Boga ludowi żydowskiemu rozpętała się burza, to lud drżał ze strachu i mówił do Mojżesza: „Niech Pan do nas nie mówi, bo pomrzemy ze strachu“. Cóż lud wtenczas czyni, gdy wśród skwarnego żniwa zbierze się nad wioską czarna, burzą ciężarna chmura? Porusza dzwon na białej wieży i jego głosem oddala chmury.

Najmilsi! Stokroć straszniejszą niż burza w przyrodzie, jest burza, która się nad duszami naszemi czasem rozpęta — burza gniewu Bożego! Kiedy lud przekroczy granicę w złości, kiedy grzech, niby zalew wód wezbranych, wystąpi z koryta serc ludzkich, to wtedy Pan Bóg sam ściąga gniewnie swe miłosierne oblicze, zasłania twarz swoją świetlistą, twarz litości i przebaczenia, chmurą groźnego gniewu. — Nad ludem wisi wtenczas chmura gniewu. Pioruny sprawiedliwości Bożej, trzymane długo potężną prawicą Boga, teraz uwolnione uderzają w szczęście ludzkie i niszczą je w momencie. — Historja święta podaje nam bardzo wiele przykładów, jak strasznym bywał gniew sprawiedliwego Boga. — Rozgniewał się Pan i wydalił człowieka z raju, z księcia uczyniwszy go żebrakiem! Przebrała się cierpliwość Boża, a na ziemię spadły wody potopu, w których wyginęło wszystko ciało żyjące! Rozmnożył się zbytecznie nierząd w Sodomie i Gomorze, a ogień siarczysty spadł z nieba i wyniszczył grzeszne miasta i spalił aż do fundamentu. — Nie chciał lud żydowski chodzić drogami Pańskiemi za czasów Eljasza proroka, to przez trzy lata nie spuścił Bóg ni kropli deszczu na spragnioną ziemię tak, że z głodu mnóstwo ludu i zwierząt ginęło! Zaczęli żydzi czcić fałszywe bożki pogańskie, miasto oddawać cześć jednemu prawdziwemu Panu, to spuścił Pan nieprzyjaciół na karki żydowskie i zaprzedał lud w hańbiącą, ciężką niewolę!

Lecz pocóż szukać przykładów w dawnych dziejach, kiedy my oczyma naszemi na to tak często patrzyliśmy, jak strasznie Bóg karze, czy to pojedyncze osoby, czy to całe gminy, parafje, miasta, a nawet narody, jeśli liczba grzechów i miara ich się przebierze! Mór, głód, wojny krwawe, nienawiści społeczne, to anioły mściciele, to posłańcy Bożego gniewu!

Cóż robią wtenczas biedni ludzie, gdy się nad ich duszami zbierze chmura gniewu Bożego? To samo, co czyni lud wieśniaczy podczas burzy! Zwracają się do

dzwonów i ich głosem starają się rozpędzić chmurę Bożego gniewu! I cóż to są za dzwony?! To mężowie sprawiedliwości, pomazańcy Pańscy, prorocy i ofiarnicy! Noe w czasie potopu, Eljasz w czasie głodu u żydów, Jeremjasz, Daniel podczas niewoli, byli takimi dzwonami, które głos słały ku niebu i rozpraszały chmury gniewu!

Najmilsi! A nad Waszemi głowami czy nigdy nie zawisła chmura gniewu Bożego?! Czy Wy możecie śmiało powiedziec, że w życiu Waszem nigdy na karanie Pańskie nie zasłużycie?! Tego powiedzieć nie możecie! I Wyście słabi i Wyście grzeszni! Widzę, że i nad Waszą parafją zawiśnie nieraz prawica zagniewanego Boga! Jakiż wtedy głos podniesie się ku niebu, by złagodzić gniew Boży? Któż będzie dla Was tym głosem dzwonu, który ma rozprószyć chmury gniewu Bożego?! Czy Wy sami będziecie do Boga o ratunek wołać?! Nie! On! Wasz pasterz! Wtenczas, gdy gromy na głowy Wasze sypać się będą, On podniesie głos błagalny do Pana: „Panie! Panie! litości! miłosierdzia!“ Gdy niebo się zarumieni od gniewu Bożego, On wyjdzie z kielichem Krwi Niepokalanego Baranka pełnym i zażegna nadciągającą burzę!

Najmilsi! Wasz proboszcz, Wasz pasterz ma być dla Was tym dzwonem, co łamie głosem swoim pioruny gniewu Bożego!! Czy nim będzie?! Będzie! Bo on wie, co mówił święty Paweł: „Pragnę być przeklęctwem za bracią!“ I on wolałby wziąc na barki swoje wszystkie przewinienia Wasze, by Jego Bóg karał, a Was oszczędzał.

III.

„Mortuos plango — opłakuję umarłych“. Dzwon towarzyszy człowiekowi nie tylko w czasie jego ziemskiej pielgrzymki! On idzie z nim jeszcze poza grób! Kiedy śmierć zimną swą dłoń położy człowiekowi na oczy i zamknie je na wieczny sen, to dzwon w tej chwili swym żałosnym dźwiękiem daje znać całemu światu, że jedna dusza do wieczności się przeniosła! Niosą zimnego trupa

na cmentarz, by oddać ziemi, to co z ziemi powstało! Za białą trumną idą znajomi i krewni z łzą w oku i z łkaniem w piersiach! Płacze matka swego dziecka, kwili sierota po stracie swej matki, szumi wiatr jesienny i szeleszcze po opadłych liściach, tłuką się grudy ziemi o wieko trumny, śpiewają „Anioł Pański“ pobożni! A ponad tymi wszystkimi głosami, góruje srebrny głos dzwonu, co zdaje się najbardziej boleć, najgłośniej szlochać!

Zapomną krewni, zapomną znajomi o nieboszczyku, którego majątkiem tak skwapliwie się podzielili, już łzy dawno obeschły, już nikt nie płacze! Tylko dzwon podczas dnia trzy razy się odzywa i mówi pacierz za tych wszystkich, którym grał przy skonaniu, których płaczliwie na cmentarz odprowadzał! On napozór zimny i martwy, a serce jego czulsze, niż serce ludzkie, — miłość jego sięga, aż poza grób!

Najmilsi! Takim dzwonem jest dla waszej parafji proboszcz! On Wam nie tylko w tem życiu ma towarzyszyć! On ma Wam być pomocnym w najstraszniejszej chwili, chwili konania! Kiedy ciało Twoje martwe zacznie się rozkładać, a dusza przed Sędzią Sprawiedliwym stanie, to głos jego i tam jeszcze pójdzie! On wespół z każdym z Was musi odpowiadać, wespół z każdym z Was musi być na sądzie! Głos jego przebije bramy czyścowe! On i tam dojdzie, doleci uszu Twoich i pociechą a ochłodą Ci będzie! On codziennie, jak ów dzwon wieżowy będzie podczas ofiary bezkrwawej opłakiwał dusze zmarłych, a zarazem i pomoc im niósł będzie!

Streszczam się. — Tem, czem jest dla Was mili parafjanie dzwon, którego głos codziennie rozbrzmiewa ponad Waszemi siołami, tem w przenośnem znaczeniu jest proboszcz, pasterz dla dusz Waszych. — On Was ma zwoływać codziennie do stołu Pańskiego, On ma rozpędzać chmury gniewu bożego, On ma pamiętać o duszach Waszych nawet po śmierci!

Proboszczu! Ojcze duchowny! Ty mistyczny dzwonie, który sam Pan umieścił, byś zwoływał żywych, łamał pioruny, opłakiwał umarłych! Czy Ty kapłanie rozumiesz zadanie swoje? Czy zrozumiawszy je dobrze, nie lękasz się wziąć na barki swoje tak trudnego zadania?! Czy głos Twój będzie tak donośny, by Cię wszyscy słyszeli?! Czy serce Twoje będzie zawsze gotowe do wywoływania dźwięków zbawiennych?! Nie lękasz że się tej wielkiej odpowiedzialności przed Bogiem i światem?! Nie! Nie potrzebujesz się lękać! Ja wiem, że serce Twoje, póki życia nie przestanie bić dla tej owczarni małej, Twej powierzonej pieczy! Nie prędzej przestaniesz zwoływać wiernych na pokarm duchowy, nie prędzej przestaniesz zasłaniać swą modlitwą lud od gniewu bożego, nie prędzej przestaniesz opłakiwać zmarłe dzieci Twoje, aż Ci pęknie serce i głosu, ni dźwięku żadnego nie będziesz mógł wydać! Tyś na to przysiągł! Tyś przyobiecał Chrystusowi Panu, że Mu doprowadzisz tę owczarnię na gody wieczyste! Biada Ci, gdybyś którą z tych owieczek po drodze uronił!

Lecz Najmilsi! Nie myślcie, że w tej pracy nad szczęściem Waszem tylko sam pasterz ma być czynnym! Wy musicie nadstawiać ucha na głos tego dzwonu bożego! Ile razy pasterz Wasz będzie Was zwoływał do stołów Pańskich, Wy śpieszyć musicie! Skoro On podniesie głos swój do góry i ręce do Pana, by błagać miłosierdzia i Wy musicie wespół z nim serca swe podnosić! Gdy On będzie modlił się za duszami Waszych zmarłych braci i Wasze modły muszą się wespół z jego prośbami łączyć! Wy musicie mieć słuch natężony na głos tego bożego dzwonu! Ktoby Go tutaj na ziemi słuchać nie chciał, ten Go usłyszy kiedyś na bożym sądzie! Tylko, że głos Jego nie będzie tak miękki i słodki, jak niebiańska muzyka, ale straszny, potężny, jak głos trąby archanielskiej, która całe pokolenia zmarłych do życia wskrzesi! Wy musicie tego głosu słuchać!

Dziś właśnie odbywają się zaślubiny między Waszemi duszami, a sercem pasterza Waszego! Cóż Mu poniesiecie w dani? Kiedy On Wam oddał serce i Wy Mu je nawzajem ofiarujcie!

Panie Jezu! Patrz na ten związek serc, jaki się tutaj odbywa! Błogosław tym świętym zaślubinom! Panno Najświętsza czuwaj nad tym związkiem, by obręcz ślubna nigdy nie pofolgowała Amen!

25 letni jubileusz kapłański

X. Kwiatkowskiego w Błażowej.

Lud żydowski żył przez lat wiele w twardej egipskiej niewoli. Ciężką była dola jego. Musiał pracować ciężko dla panów swoich, a ci płacili mu biczem i lichą strawą, która zaledwie dla zwierząt się nadawała. A ilu z nich ginęło pod kijami surowych panów?! I jęczał lud i błagał Pana, by się nad nim ulitował i wywiódł go z ziemi niewoli, do ziemi własnej, w której mieszkali ojcowie jego. A modlitwa łzami i jękiem przeplatana przebiła obłoki i trafiła do uszu Pana Zastępów, który mieszka w niebiesiech przesłonięty obłokiem. I wysłuchał Pan głośną prośbę ludu. Wybrał z pośród niego męża, któremu było imię Mojżesz i rzekł mu: „Widziałem utrapienie ludu mego w Egipcie i szłyszałem krzyk jego dla surowości tych, którzy są przełożeni nad robotami, a widząc jego boleść zstąpiłem, abym go wyzwolił z rąk Egipcjanów i wywiódł z ziemi onej do ziemi dobrej i przestronnej, do ziemi, która opływa mlekiem i miodem“...

I stanął Mojżesz na czele ludu i poszedł do króla egipskiego z prośbą, by wypuścił lud. A Pan był z Nim i wspierał zadanie Jego. Bo gdy faraon nie chciał ludu wypuścić, padły na Egipcjan takie klęski, że sami prosili, by czemprędzej lud żydowski ich ziemię opuścił, bo inaczej wszyscy pomrą. I prowadził Mojżesz lud po pustyni wielkiej, aż go doprowadził do granic ziemi obiecanej. A był Mojżesz dla ludu wszystkiem — i nauczycielem — i sędzią i pośrednikiem przed Panem. — I zbudował Panu przybytek, w którym się Mu lud kłaniał,

a w chwilach ciężkich, gdy gniew boży nad ludem zaciążył, wstawiał się za ludem i wypraszał przebaczenie. A lud słuchał, czcił i kochał wodza swego!

Ludu chrześcijański! I ty żyjesz w niewoli! Ziemia, po której chodzisz, to nie dziedzictwo twoje! — majątek, który masz, to nie wieczna własność twoja — to wszystko tymczasowe, to wszystko wypożyczone. Dręczy cię tyran, podobnie jak dręczył lud żydowski, a tym tyranem jest twa własna zła natura, która ci każe dla swej przyjemności pracować, to świat, który ci każe sobie służyć, sobie hołdy składać, to czart, któryby cię chciał mieć ciągle w swej niewoli. Ziemia obiecana, ziemia ojców naszych, ziemia mlekiem i miodem płynąca, to tam, gdzie króluje Bóg i Panna Najświętsza i święci Patronowie nasi i zmarli ojcowie i matki i bracia i siostry i krewni. Krótko, ziemia obiecana, to niebo. A któż nas słabych, co drogi nie znamy, do ziemi tej pięknej doprowadzi? Kto nas wiódł będzie po tej puszczy przeraźliwej, wśród spiekoty i upału? Kto nam dostarczy pożywienia i napoju? — Kto nam będzie sędzią, kto będzie pośrednikiem między nami grzesznymi, a sprawiedliwym Bogiem?

Tak wołasz ludu wybrany, tak się pytasz i o to błagasz Pana, by ci dał wodza, przewodnika po tej puszczy rozległej, któryby cię wiódł pewną drogą do ziemi obiecanej! O! wysłuchał Pan prośby twej i błagania twego! Dał ci Bóg przodownika, jak rzadko komu! Istny Mojżesz, który cię przez puszczę życia ku niebu bezpieczną wiedzie drogą! Patrz! na twarzy Jego rozlany pokój boży — z oczu bije ogień święty. — On i dziś staje przed ołtarzem Pana, by prosić i błagać za tobą ludu boży! To proboszcz wasz kochany a dzisiejszy jubilat. Dwadzieścia pięć lat mija jak wymówił przy święceniach kapłańskich: „Pan jest cząstką dziedzictwa mego“, a nie odstąpił od tej zasady ani na włos jeden. Bóg zrządził, że Mu tu, a nie gdzieindziej pracować wypadło, bo z bardzo małym wyjątkiem wszystkie te 25 lat między wami spędził!

O! naprawdę szczęśliwy ludu! szczęśliwa parafjo błażowska, że ci Bóg takiego dał przewodnika! On Cię wiedzie — jak Mojżesz i — powiem śmiało — nie czynił Mojżesz na puszczy więcej ludowi żydowskiemu nad to, co czyni Wam mili parafjanie proboszcz Wasz. Chciejcie mnie tylko uważnie posłuchać! Poprośmy o łaskę potrzebną do dzisiejszej nauki N. Marję Pannę pozdrawiając Ją nabożnie *Z. M.*

a) Czego Mojżesz dostarczał ludowi? Wszystkiego, co potrzebne było do utrzymania przy życiu tak licznego tłumu na pustyni, wszystkiego, co było potrzebnem, aby lud nie stracił wiary w Opatrzność, w Boga, który go prowadził. Czytamy w piśmie św. w księdze „Wyjścia" że już piętnastego dnia po wyjściu z Egiptu zaczęli żydzi szemrać i narzekać na swe położenie, bo nie mieli żywności. „I szemrało wszystko zgromadzenie synów Izraelowych przeciw Mojżeszowi i Aaronowi na puszczy i mówili synowie Izraelscy do nich: obyśmy byli pomarli od ręki Pańskiej w ziemi egipskiej — gdyśmy siedzieli nad garncy mięsa i jedliśmy chleb w sytości — czemuście nas wywiedli na tę puszczę, abyście wszystko mnóstwo głodem morzyli?" I modlił się Mojżesz do Pana a Pan rzekł do Mojżesza: „Oto ja Wam spuszczę chleb z nieba — niechaj wychodzi lud a zbiera, co by dosyć było — na każdy dzień". Exod. 16, 2—4.

Znów drugim razem, kiedy się lud obozem rozłożył w Raphidim, gdzie nie było wody ku piciu skarżył się lud i mówił do Mojżesza: „Daj nam wody, abyśmy pili... czemuś nas wywiódł z Egiptu, abyś pomorzył nas i dzieci nasze i bydło nasze pragnieniem?" I wołał Mojżesz do Pana, a Pan Mu odpowiedział: „Idź przed ludem, a weźmi z sobą starszych izraelowych i laskę, którąś uderzył w rzekę, weźmi w rękę twoją a idź. Oto ja stanę tam przed tobą na skale Horeb — i uderzysz w skałę i wypłynie z niej woda, aby pił lud". Ex. 17, 3—6.

Najmilsi! I wam trzeba w tej ciężkiej drodze żywota pokarmu i napoju. Dusze wasze czują głód i pragnienie. I nie zaspokoją tego głodu i pragnienia ni dostatki, ni majątki, ni zabawy, ni uciechy zwodnicze. Serce pragnie czegoś szlachetniejszego, czegoś lepszego — serce rodem z nieba — niebieskiego też potrzebuje pokarmu, wody cudem ze skały wyprowadzonej. A czy Bóg daje Wam pokarm taki cudowny i napój na żywot wieczny ożeźwiający? Tak! Macie mannę anielską, macie źródło wody żywej, macie Ciało i Krew Baranka Niepokalanego. I pytam Was. Kto wam łamie ten chleb anielski, boski? — Kto stoi przy onej cudownej krynicy i czerpiąc dłonią pełną, pragnienia wasze gasi? Kto wyprasza na każdy dzień tego chleba anielskiego, kto mannę bożą na ziemię sprowadza? Kto? On! paszterz dusz waszych! — On! przewodnik wasz na drodze ku niebieskiej Ojczyźnie! On, jako szafarz dobry staje na każdy dzień u Pańskiego stołu i łamie chleb boży i podaje wam do pożywania. Już 25 lat mija, jak na każdy dzień ten sam obowiązek spełnia. Gdy widzi, że ktoś u was chorzeje, zanosi do domów waszych, do chat i lepianek waszych ów pokarm dziwny, a cudny, ów napój życiodajny. I karmi i poi i posila na onej drodze ciężkiej! — I nic go tak nie boli, jak, gdy widzi, że dusze Jego powierzone pieczy, od onego stołu ze wstrętem się odwracają i pokarmu bożego z rąk Jego przyjmować nie chcą.

b) Było prawo u wszystkich ludów, że najstarszy w rodzinie składał w jej imieniu Bogu ofiarę. Otóż i Mojżesz jako wódz ludu, wpierw nim został Aaron na arcykapłana wybrany i pomazany, składał w imieniu ludu swego ofiarę Panu. Więc stawał Mojżesz jako wódz ludu swego przed Panem i palił Mu ofiarę, czcząc, dziękując, przepraszając, błagając. O! zaiste wzniosły to urząd ofjarnika! Ma on obowiązek pośredniczenia między ludem, a Bogiem. On poseł od ludu do Pana i nawzajem od Pana do ludu!

Każdy kapłan nowego zakonu a w szczególniejszy sposób proboszcz, ma za swym ludem błagać i prosić i przepraszać przez ofiarę mszy św. On, jako ten stary kapłan Salemu, Melchizedech, ofiaruje Panu ofiarę czystą, ofiarę niepokalaną, niezmazaną, Baranka bez zmazy! — Jezusa Chrystusa!

I znów wasz proboszcz od lat wielu spełnia ten święty i wzniosły obowiązek! Od lat wielu staje codziennie u ołtarza Pańskiego — garstka ludu go otacza, jakby reprezentanci kościoła całego — inni zajęci pracą na chleb powszedni — a On staje przy ołtarzu i podnosi w górę świętą hostję i kielich Krwi Przenajświętszej! A Bóg spogląda łaskawem swem okiem i błogosławi. — Błogosławi polom waszym i chatom waszym i dobytkom waszym i dzieciom waszym, i mężom waszym, i niewiastom waszym i panienkom waszym i młodzieńcom waszym i starcom waszym! Ileż to już łask bożych spłynęło na waszą parafję z tych mszy świętych, które On pośrednik między niebem a wami dla was odprawił? Ileż to nieszczęść — ile klęsk, ile chorób, ile zarazy, ile pożarów oddaliły od was te święte ofiary bezkrwawe?! I to drugi obowiązek, który wasz czcigodny proboszcz z taką świętą gorliwością sprawia. — To Jego codzienne: „Introibo“ — „Wnijdę do ołtarza Pańskiego“ — by w imieniu ludu Boga należycie uczcić, by Go godnie przebłagać, by Go prosić i by Mu dziękować — to takie święte, takie wzniosłe, że, gdyby kapłan nad ludem postawiony nic innego nad mszę świętą ludowi nie dawał i tak byłby jego największym dobrodziejem, byłby jego Aniołem. Za te msze święte zacny jubilacie cześć Ci! dzięki Ci lud składa! —

c) Przez Mojżesza dał Bóg ludowi przykazania. Jemu to kazał Pan w pamiętnem miejscu pod górą Sinai przygotować lud na przyjęcie mowy bożej. Kiedy Pan mówił do ludu wśród trzęsienia się góry, wśród burzy i piorunów, lud cały stał na dole, trzęsąc się ze strachu i przerażenia, a Mojżesz wstąpił na górę — kiedy lud odstąpił

od góry, to Pan kazał Mojżeszowi wstąpić na szczyt góry. Tam rozmawiał Mojżesz dni czterdzieści z Panem Bogiem, a w rozmowie tej wytłumaczył Mu Pan wszystkie żądania i życzenia, jakie ma względem ludu swego. I wrócił Mojżesz i tłumaczył ludowi prawo boże, a lud słuchał i korzył się i chodził ścieżkami pańskiemi. Szczęśliwy lud żydowski! Wiedział dobrze czego Bóg od niego żąda, jaką drogą iść ma, by dojść do ziemi obiecanej — do nieba!

Najmilsi! i nam tego koniecznie potrzeba! Nikt nie dojdzie do Boga, do nieba, do szczęścia wiekuistego, tylko ten, kto chodzi ścieżkami pańskiemi t. j. kto zachowuje boskie przykazania, kto na każdy dzień, na każdą godzinę wypełnia wolę bożą! I to jest mądrość największa i to nauka najwznioślejsza, bo największą korzyść dająca! Któż Wam najmilsi parafjanie tutejsi! wskazuje którędy iść macie? Kto Wam w bożem imieniu ogłasza prawdy i przykazania boże? Kto staje między Wami jako pasterz dobry i wskazuje — tędy — a nie którędy indziej prowadzi droga do celu? On, pasterz Wasz, proboszcz Wasz sędziwy. On stoi jak Mojżesz na górze Synai. — Raz napomina łagodnemi słowy, jak ojciec dzieci, gdy widzi że z niewiadomości, a nie ze złości grzeszycie! Gdy widzi, że w złym uporze stoicie, występuje przed Was jako miecz obosieczny i karze i napomina według tego, co każe Apostoł: „karz, łajaj, napominaj!“ Czasem wnijdzie do owczarni pasterz niepowołany, najemnik, wilk, który chce szkodę w owczarni wyrządzić, owiec wiele napsuć — przychodzi z nauką zgubną, niebezpieczną i na manowce wiedzie! On, jako pasterz dobry występuje, odkrywa maskę, pod którą się kryje i czyni uważnymi przed takimi niebezpiecznymi nauczycielami! A z jaką lubością, z jaką gorliwością spełnia nasz zacny proboszcz ten obowiązek nauczania, to Wy sami jesteście świadkami! Nie wystarcza Mu, że w kościele głosi prawdy boże. — On wyszukuje tych, którzy do kościoła przyjść nie mogą, lub nie chcą i głosi im naukę bożą przy kaplicach przydrożnych, pod

drzewami ogrodów Waszych, w chatach i domach Waszych! O! gdy przyjdzie czas sądu bożego, żaden z Was nie będzie mógł powiedzieć: — „nie słyszałem — nie wiem".

d) Mojżesz sądził lud! Ile razy wybuchły między ludem spory i zatargi jakie, On był sędzią i rozjemcą! Kiedy przyszedł pewnego razu na puszczę Jetro, teść Jego — widział, jak przed namiotem Mojżesza stało wiele ludu. Pyta się tedy Jetro Mojżesza: „Cóż to jest, co czynisz z tym ludem? czemu sam siedzisz, a wszystek lud czeka od poranku aż do wieczora?" Któremu odpowiedział Mojżesz: „przyszedł lud do mnie pytać się wyroku bożego". Ex. 18—14. 45.

Takim sędzią jest dla was proboszcz Wasz! Ileż to razy i Wy, moi drodzy parafjanie, czekacie tutaj całymi dniami przy konfesjonale. — Pytam się, czego czekacie? — czego szukacie tam, w tym trybunale dziwnym? Odpowiem słowy Mojżesza: „przyszedł lud do mnie, pytać się wyroku bożego". Przychodzicie z sprawami dusz Waszych. — Idziesz z duszą przygnębioną, — kamieniem ciężkim leży ci na duszy grzech — idziesz po wyrok, chcesz się dowiedzieć, co ci Pan na to odpowie — i czekasz wyroku z ust kapłana! Masz tajemnicę, tajemnicę wielką! Lękasz się przed kimkolwiek zdradzić sprawę swoją — idziesz do konfesjonału i tam bezpiecznie otwierasz duszę i czekasz wyroku od Pana! O! ileż to pociechy, ileż radości spływa na dusze, na biedne ludzkie serca w tym świętym sakramencie? Ileż pociechy, ileż radości Wy sami już tutaj dostąpiliście? Powiedzcie, czy Wasz proboszcz nie dość pilnie spełniał ten święty urząd dla pożytku dusz Waszych?! Ileż to razy całymi dniami siedzi w świętym trybunale pokuty i każdemu, kto do Niego po radę, lekarstwo, pociechę przychodzi, takowej nie żałuje. O! ileż dusz zacny kapłanie sprowadziłeś swymi radami, napomnieniami, prośbami z drogi złej, na drogę cnoty, na drogę prawdy? Ileż cnotliwych na tej drodze utrzymałeś? Patrz

na owieczki swoje — na dusze niewinne, czyste, dobre, święte! Że one takie, to nie co innego, tylko Twój trud, Twa praca — Twa zasługa!

e) Zdarzyło się na puszczy, że lud narzekał na Pana i na Mojżesza sługę Jego. I począł sobie lud tęsknić w drodze i w pracy i mówiąc przeciw Bogu i Mojżeszowi rzekł: „czemuś nas wywiódł z Egiptu, abyśmy pomarli na pustyni? nie masz chleba, nie masz wody, dusza nasza już się brzydzi tym bardzo lekkim pokarmem". Przetoż Pan przypuścił na lud węże ogniste. Num. 21, 4—6. I ginęło bardzo wielu z ludu za ukąszeniem jadowitych gadzin i jęczał lud pod ciężką prawicą Pana! I cóż czyni Mojżesz w tej pladze Pańskiej? Przychodzi do Niego lud i prosi Go i błaga o pomoc, o ratunek. A Mojżesz? „I modlił się Mojżesz za ludem swym i rzekł Pan do Niego: Uczyń węża miedzianego a wystaw go na znak — który ukąszony wejrzy nań żyw będzie". Num. 21. 7—8. I dziś Bóg różnemi karami nawiedza lud swój! I któż odważy się spytać, za co? Któż będzie badał wyroki boże? Wglądnijmy w dusze nasze, wpatrzmy się w serca nasze, a przekonamy się, że nie karze Bóg bez przyczyny! I któż się za wami wstawi? Któż w takich ciężkich chwilach stanie przed Panem, wyciągnie błagalną dłoń i powie: „Panie! miłosierdzia! Panie! zmiłowania dla ludu Twego?! Pasterz! proboszcz! Moi drodzy! wtenczas, kiedy Wy sami o sobie nie myślicie, w chwili, kiedy może urągacie bożej sprawiedliwości — On się za Wami modli! I widzę, jak na modły Jego odwracają od Was swe potworne głowy czarne chmury, co grad niosły na pola Wasze — i widzę, jak przed modlitwą Jego cofa się Anioł śmierci, białym osłonięty całunem, co niósł mór na wioski Wasze i chaty Wasze i widzę, jak przed modlitwą Jego ucieka szatan, który się wybrał do wiosek Waszych, by poróżnić braci i sąsiadów! O! bo modlitwa dobrego, świętego, gorliwego pasterza wiele może u Boga!

f) Dokonał też Mojżesz z rozkazu Boga dzieła największego! Nie mieli żydzi na puszczy przybytku, w którymby ofiarowali Panu! Nie było też gdzie złożyć arki przymierza, nie było gdzie składać rannej i wieczornej modlitwy. Rozkazał tedy Pan, aby Mojżesz wybudował namiot, t. j. przybytek święty, ażeby w nim lud cały cześć Mu i pokłon oddawał. I przystąpił Mojżesz do budowy dzieła przez Boga zleconego. A gdy skończył: „Okrył obłok przybytek świadectwa i chwała Pańska napełniła Go“ Ex. 40,—32. I my potrzebujemy świątnic, w którychbyśmy Bogu cześć oddawali. — Stąd to ziemia nasza tylu pokryta domami bożymi! Parafja Wasza przed laty niewielu, jak wszystkim wiadomo, miała dom boży niewielki, nieodpowiadający potrzebom tak wielkiej parafji. I żądał Pan, by Mu zbudować przybytek godniejszy, przybytek, w którymby chwała Jego okazać się mogła! I stanął wasz pasterz, jak ongi Mojżesz gotowy do pracy. A praca to była trudna i żmudna. Zbierać grosz do grosza, by z drobnych składek nazbierać tysiące, toć przecież nie żart! A on ufny w pomoc Boga i opiekę świętego Józefa, oddał się całem sercem dziełu swojemu! Ile nocy nie przespał modląc się do Boga i rozmyślając nad środkami do budowy potrzebnymi, ile razy przemierzył krokami swymi całą parafję w poszukiwaniu za groszem na chwałę bożą, to wy wiecie, boście na to patrzali, ale jeszcze lepiej wie o tem Bóg, który liczył kroki Jego i który patrzał na pracę Jego. I błogosławił Pan dziełu! Wprawdzie pobieliła szronem praca Waszego pasterza, ale dzieło zaczęte stoi wspaniałe na podziw świata, a świątynia swemi dwoma wieżami, jakby ramionami wyciągniętemi ku niebu, ściąga błogosławieństwo na głowę fundatora i całą owczarnię Jego! Jako więc widzicie, słusznie porównałem proboszcza waszego z Mojżeszem wiodącym lud przez puszczę, do ziemi obiecanej. To wszystko, co dawał Mojżesz ludowi swemu, to daje Wam pasterz wasz w Waszej pielgrzymce ku niebu. Więc daje Wam

i pokarm i napój cudowny, mannę niebieską, Ciało i Krew Pańską, pod postaciami chleba i wina, więc składa za Was Bogu codziennie ofiarę czystą, niepokalaną, więc sądzi sprawę sumień Waszych, więc zastawia się za Wami wtenczas, gdy klęski i kary boże słusznie Was dotykają, więc na wzór Mojżesza zbudował przybytek Panu wspaniały, w którym na każdy dzień cześć Bogu oddajecie!

Toteż, moi drodzy, chociaż do nieba droga wąska i ścieżka ciernista wiedzie, Wy tej ciężkości nie czujecie, bo duszpasterz Wasz, sam za Was trudy dźwiga i ponosi, sam na wzór mistrza Chrystusa Pana bierze dusze Wasze na ramiona swoje, na ręce swoje i do owczarni, do nieba je wiedzie!

g) Lud żydowski, aczkolwiek to był lud twardego karku i serc nieobrzezanych, kochał swego wodza, swego do Boga pośrednika. Czcili Go żydzi jako Ojca swego, a we wszystkich sprawach ważniejszych z ufnością wielką do Niego się uciekali! I słusznie! boć za serce, za miłość, sercem, miłością, odpłacić trzeba!

Najmilsi parafjanie błażowscy! A teraz pytanie do Was. Spojrzyjcie ku ołtarzowi! Patrzcie! Ten mąż boży, kapłan według serca bożego, z woli bożej proboszcz Wasz, już od 25 lat wiedzie Was do niebieskiej Ojczyzny! Tu, u Was stargał siły swoje, tu u Was między Wami siwy włos pokrył głowę Jego. Powiedźcie, czyście Wy godnie odpłacili Mu za trud i pracę?! Powiedźcie, czy miłujecie tego, który Wam nie połowę, ale całą oddał duszę?! Czy stosunek Wasz do proboszcza, to istotnie stosunek dzieci do ojca?!

Tak! śmiało mogę powiedzieć, że Wy parafjanie tutejsi proboszcza Waszego jak ojca kochacie. Bóg mi dał tę wielką łaskę, że i ja tutaj odrobinę pracy duchownej włożyłem i śmiało mogę poświadczyć, że rzadko gdzie można spotkać taki zażyły i serdeczny stosunek między proboszczem a parafjanami, jak tu w Błażowej.

Wprawdzie i tu się różni znajdą. Nie brakło Ci Czcigodny Jubilacie i cierni w tej parafji, ale to wyjątki, ale to nie pochodziło z złej woli, ze złego serca, lecz często z nieświadomości. Jeśliś, zaś kiedyś musiał skarżyć się na lud Twój, jeśli kiedy łza żalu zabłysła w oku Twem, zacny kapłanie, to ten lud dziś Ciebie przeprasza! Daruj mu jego winy! Lud ten, to jak to dziecię, które nieraz nie wie co czyni i szkodzi, a smuci tego, kogo kocha! Tyś ojcem! a ojciec musi mieć wyrozumienie! Więc gdy lud błaga o przebaczenie, nie chciej zatykać uszu na głos wołania jego!

Lecz jedna troska ściska serce moje, gdy patrzę na dzisiejszego Jubilata. Spędził najpiękniejszą część życia, stargał siły swoje w pracy nad zbawieniem dusz! Wprawdzie jeszcze Mu Bóg siły na lat wiele użyczy, ale przyznać trzeba, że tych sił z wiekiem ubywać będzie! A pracy nie ubywa — owszem, z każdym rokiem coraz jej więcej! To też wiem, że nasz czcigodny Jubilat może sobie powiedzieć: „Panie! spracowałem się bardzo w winnicy Twojej! Panie! daj mi odpocząć, ujmij ciężaru z ramion moich!“

Kapłanie zacny! mężu boży! W Imieniu ludu tego proszę Cię, nie opuszczaj go! wiedź go dalej, bo już wypróbowane przewodnictwo Twoje! Patrz! — Ku Tobie wyciągają ręce starcy, którzy już nad grobem stoją i błagają: Ojcze! pasterzu nasz! prosimy Cię, bądź nam przewodnikiem do końca! Ty przymknij oczy nasze na sen wieczny! bezpieczni będziemy, gdy Ty staniesz przy łożu boleści naszych!

Do Ciebie wyciągają ręce matki i niosą Ci skarby swoje — dziatki swoje i proszą i błagają: „Ojcze! błogosław pokoleniu naszemu!

Do Ciebie wyciągają ręce niewinne dziatki i sercem gorącem, a łzą szczerą błagają: „Pasterzu nasz! wiedź nas w życie! My słabe i małe! My się lękamy! Ty nam drogę wskazuj!“

Do Ciebie zwraca się młodzież i prosi: „Proboszczu nasz! Bądź nam dalej pasterzem, bo Ty jeden zdołasz nas na dobrej utrzymać drodze! Więc wysłuchaj głosu ludu Twego!“

Kiedy św. Marcin, patron tutejszego kościoła leżał na śmiertelnej pościeli i spodziewał się, że lada chwila koniec życia nadejdzie, tak się modlił: „Panie! Strudziłem się i chętnie pójdę na spoczynek, ale jeśli jeszcze ludowi Twemu potrzebny jestem, to nie wzdrygam się przed pracą“. Odpowiedz i Ty zacny jubilacie ludowi i Bogu te słowa: „non recuso laborem!“ „nie wymawiam się od pracy!“

A chociaż to będzie praca trudna i żmudna, to miłość ludu Twego osłodzi Ci ciężar dnia i upalenia!

O Boże! błogosław pracy Jego! o Panie! przyjmij chętnie ofiarę z rąk Jego, jako przyjmowałeś ofiarę Abla i Melchizedecha! o Panie! błogosław ludowi, który On wiedzie! wspieraj w tej ciężkiej, a żmudnej pielgrzymce i doprowadź do wiecznego Syonu! Amen.

2 lipca 1904 r.

40 letni jubileusz,

Kierownika szkoły w Błażowej,

JANA WASUNGA.

Zwyczajna historja! Przed sądowymi kratkami stoi pacholę. Drobny, wychudły, z jasnemi oczyma, w których łzy wielkie i srebrne wzbierały — blady, jak nędza, a tak jeszcze mały, że mógł rozpłakać się i mówić: Matko! — gdyby miał matkę i mógł stroić psoty, — a tak drżący, jak ptak wyjęty z gniazda i już mrący. Sala sądowa wielka, pusta i zimna i chłodna i bezlitośna i łez ludzkich głodna, tak czychająca na ludzką niedolę i nędzę, że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu, zdawał się cierpieć i drżeć na swym Krzyżu!

Przy winowajcy nie było nikogo! I któżby bronił dziecię, nędzarza? Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy leciały jakąś pełną iskier drogą, chyba tylko promyczek ten jasny, co mu przez okno upadał na głowę, jakby Bóg gładził jego włosy płowe...

Rozpoczęły się badania sądowe. Pyta się sędzia: gdzie rodzice? Odpowiedź: nie mam! bo to dziecię sierota. Drugie pytanie sędziego: czy w wiosce jest szkoła? Odpowiedź krótka: Nie! Sędzia człowiek dobry zapewne ojciec, który kochał własne dzieci, patrzał z współczuciem na drżącą dziecinę, na ręce nagie, wychudłe i sine, na pierś zapadłą i nędzne łachmany, na blask tych oczu zmącony i szklany, gdzie przecież mogły odbić się niebiosy — na drobną główkę, gdzie myśl ludzka śpiąca, nie znała świtu innego prócz słońca i innych wrażeń ożywczych prócz rosy. I przeląkł się sędzia! Zdało mu się, że ta sala sądo-

wa, to tron, na którym zasiada całe przyszłe pokolenie i żąda rachunku za te miljony dusz, które może nie z swojej winy marnieją, jak te przedwczesnym mrozem zwarzone kwiaty majowe! I zdało mu się, że słyszy głos jakiś, który wydawał wyrok nad głową chłopczyny:

„Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien, czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy wpierw, nim każdej chaty,
Bronią od złego słoneczne anioły
Braterstwa, prawdy, swobody... oświaty,
Co wpierw więzienia stawiacie — niż szkoły.
Niechże Was Chrystus sądzi!"

Sędzia powstał z swego sędziowskiego trybunału i zbliżył się do pacholęcia, które blade czekało na wyrok sądowy, położył mu swą rękę na głowie i rzekł łagodnie: „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę!" *(Marja Konopnicka).*

Sens tej historyjki jasny i oczywisty, leży jak na dłoni. Tam gdzie niema oświaty, gdzie masy ludu leżą jak te kamienie twarde i nieociosane, tam muszą być zbrodnie i nędza moralna! Przeciwnie, gdzie lud ma oświatę prawdziwą, tam nie potrzeba ni więzień, ni sądów, bo tam niema zbrodni! Chcecie na to dowodu? Niestety mamy aż nadto straszne dowody w naszej własnej, niezbyt odległej historji. Żyją jeszcze pomiędzy nami ludzie, którzy pamiętają rok 1846, kiedy to lud polski, podżegany przez niewidzialną, czarną, zbrodniczą rękę, mordował swych własnych współbraci, z zaciekłością godną lepszej sprawy! (rabacja w Galicji). Brak oświaty prawdziwej. Lud cały utrzymywano w ciemności i nieświadomości. Po wioskach miasto szkół, widziałeś wonczas browary wytwarzające wódkę, karczmę z napojami gorącymi, a nauczycielem był żyd, zdolny do wszystkiego! Nic dziwnego, że mimo, iż dusze były te same co dzisiaj i Bóg nad niemi ten sam, mimo to wszystko zbrodnie się mnożyły! A popatrzmy

i dziś po naszej ziemi! Tam, gdzie jest szkoła, gdzie oświata, tam lud inaczej wygląda, a gdzie podawnemu, w miejsce szkoły dom szynkowny, tam obyczaje dzikie i dusze szorstkie i ostre, jak te pokrzywy, lub osty dzikie! Rozumiał zacność i wielką wartość oświaty wielki duch ludzkości poeta niemiecki Jan Göthe. Kiedy patrzał na lud swój i na ludy inne, kalające się w brudach, rozmiłowane w zbrodniach, to wołał: „więcej światła! więcej światła!“ Wiedział on dobrze, że promienie prawdziwej oświaty rozprószą w duszach ciemności zbrodni i grzechu! O! naprawdę! gdyby nasi ojcowie byli szli za tem wezwaniem wymienionego męża, toby dziś poetka Konopnicka nie robiła takiego wyrzutu, jak to uczyniła w powyższym wierszu, gdzie mówi: „Niechże Was Chrystus sądzi!“

Która oświata prawdziwa i która plon zdrowy przynosi? Któż z was, drodzy słuchacze, nie widział zapalonej lampy? Każdy to przyzna, że jeżeli lampa ma zdrową i dobrą oliwę, dobry materjał palny, to świeci jasno i pięknie. Niech jednak oliwa lub jakikolwiek materjał palny będzie zły, lichy, podły, to i światło lampy będzie liche, kopcące, niezdrowe! Oświatę porównują do lampy, bo ona w rzeczywistości ma być tem dla ludzkości całej, czem jest lampa dla człowieka wśród cieniów nocy. Ona ma rozświecić umysł i wskazać mu drogę, którędy iść należy aby dojść do celu ostatecznego, do ojczyzny pewnej. To też tak jak w lampie, tak samo i w oświecie prawdziwej musi być materjał palny zdrowy, co kopciu z siebie nie wydziela!

Tylko ta oświata, której latarnię zapalił Bóg, jest dobrą i zdrową; każda inna prowadzi na manowce i bezdroża! Chcecie dowodu na to? Chodźmy za granicę naszej biednej polskiej ziemicy. Jest w Europie kraj pod wszelkim względem od Pana Boga uposażony. Imię jego Francja! Od wieków szedł on na przedzie całej ludzkości i niósł przed nią kaganiec oświaty. Inne narody tuliły się do

Francuzów. Jak niektóre gwiazdy, które świecą nie własnem światłem, ale światłem pożyczanem od słońca, tak i te narody świeciły światłem wchłoniętem w siebie od Francji. I nasz naród przez wiele lat szedł za jej rydwanem, jako jej wierny służalec, szczęśliwy, że może chodzić opromieniony jej światłem. I było to tak długo, dopóki to światło było zdrowem, płynęło z dobrego źródła — Boga. Kiedy jednak ludzie źli zaczęli na tę lampę dmuchać i zaczęli ją zaciemniać, kiedy zaczęli bezbożne siać nauki i oświatę na własnym gruntować rozumie, wtedy sam naród francuski popadł w zamęt i chaos. I widzieliśmy jak ten mądry i utalentowany naród rzucał się na swych własnych współbraci i byliśmy świadkami jak się własną krwią broczył. A dziś patrzymy na to, jak wyrzuca z pomiędzy siebie najlepszych synów swoich dlatego tylko, że się ważą wyznawać wiarę w Boga prawdziwego, za to, że śmią trwać przy zasadach katolickich i trzymać się krzyża Chrystusowego. A czyni to ten sam naród, który sobie jak zasadę postawił równość, wolność i braterstwo! Do jakich to konsekwencyj prowadzi oświata na fałszywym gruncie, na fałszywych oparta zasadach! Prawdziwa oświata musi się opierać na Bogu i na objawieniu Jego. — Inaczej zejdzie z drogi sama i na manowce sprowadzi tych, którzy za jej światłem pójdą. Zamiast być dla ludzkości słońcem, które wszystko ogrzewa i światłem swojem ozłaca, stanie się takim błędnym ognikiem, który się z bagna rodzi, nad bagnem się unosi — przechodnia mami i wabi, a gdy on się ku niemu zbliży, umyka i znika.

Jak trudną jest rzeczą oświecać innych?! jak trudno wychowywać dusze! Rolniku! ty dobrze wiesz, ile to czasu i zachodów potrzeba, aby wychować dobre ziarno na roli, piękne drzewo w sadzie! A jak trudno uprawić odpowiednio ziemię, jak trudno doczekać się zejścia roślinki? Kiedy się już przyjęła i zeszła, jakżeż trzeba na nią uważać? jak trzeba konary drzewka naginać, aby się

nie pokrzywiły i nie skoszlawiły?! Nieraz trzeba i przyciąć i obciąć „wilki“ a wszystko w odpowiedniej porze, w odpowiedniej chwili! Minie sporo czasu, zanim rolnik wyjdzie z sierpem na dojrzały łan zboża, aby je zżąć i do gumna zwieść! Lata całe mijają, nim ogrodnik skosztuje owocu ze szczepu, który własną ręką zasadził! Trudną jest sprawą wyszlifować djament i przerobić go na brylant, który rzuca blaskiem na wszystkie strony. Trzeba drugiego djamentu nie mniej twardego, któryby mógł zetrzeć kanty i brylant wyszlifować. Tak długą, tak żmudną, tak trudną i ciężką jest sprawa wychowania, wypielęgnowania tej przedelikatnej roślinki bożej, duszy dziecięcia! O! długo musi czekać wychowawca nim ziarnko rzucone w rolę serca dziecięcego przebije skorupę twardą uprzedzeń i złej woli i kiełkować zacznie. Ileż to trudu i pracy musi sobie zadać ten prawdziwy ogrodnik boży, aby serce dziecięce, tak jak młoda gałąź nie zgięła się, nie złamała?! Ileż to razy musi użyć bolesnej operacji i wyciąć „wilka“ błędy, krnąbrność, upór, które się niespostrzeżenie na tej młodej, bujnej a jeszcze zbyt słabej latorośli rozwinęły?! Naprawdę łatwiej oszlifować twardy djament i przemienić go w brylant, który rzuca naokół snopy światła, aniżeli tak oszlifować duszę ludzką, aby siała naokół blaski cnót i czynów dobrych! — Różne są instytucje, które mają za zadanie szerzyć oświatę i nieść ją w szerokie warstwy ludu! Ale żadna z tych instytucyj nie jest tak człowiekowi drogą, żadna nie jest tak miłą i żadna też zarazem tak trudną, jak ta instytucja, która się zajmuje wykształceniem duszy dziecięcia w pierwszych chwilach jej samowiedzy! — Szkoła ludowa, to matka droga, która bierze człowieka za rękę w tej chwili, kiedy umysł o własnych siłach pierwsze kroki stawiać zaczyna i uważa, żeby się ten umysł nie potknął, żeby nie upadł. I najmilsze uczucie wiąże człowieka z tymi ludźmi, którzy tę pracę zbożną na nas wykonywali. — Oto uwagi ogólne o oświacie i szkole. — Powiedziałem je, aby mieć tło, na

którem chcę naszkicować obrazek z waszego zakątka, z waszej wioski, waszej parafji. — Ot tutaj przed ołtarzem Pana Zastępów korzy się mąż, któremu siwizna już pòrószyła szronem głowę. — Korzy się i dziękuje Panu Bogu za to, że Mu dozwolił szczęśliwie skończyć 40-sty rok pracy w służbie dla społeczeństwa naszego, a w pierwszym rzędzie dla tutejszej wioski, tutejszej gminy, tutejszej parafji, bo całe lat 40-ci tu między Wami i dla Was pracował, całe pokolenie ludzi wychował! — A praca Jego odpowiadała tym wszystkim własnościom, które prawdziwa oświata nieść ma! Oświata przez Niego niesiona to karm zdrowa i sytna! Pochodnia, którą On przez 40 lat niósł przed wami, to pochodnia światła prawdziwego, zdrowego! Oparty na zasadach chrześcijańskich, na zasadach prawdy przedwiecznej, budował gmach nie na piasku, ale na skale, o którą mogą uderzać burze i wichry, wcale jej nie szkodząc. Zasady Chrystusowe całe życie mężnie nosił i nigdy się ich nie wstydził. Ile razy trzeba było zaznaczyć, że jest katolikiem, chętnie to czynił. On nie tylko uczył, ale wychowywał dusze jak ogrodnik swe delikatne sadzonki, on je szlifował, tak jak brylant najcudniejszy. — A wychowywał nie tylko dziatki małe, ale także i starszych i to nie tylko słowem, ale też i przykładem. On nie tylko pedagog i wychowawca waszej dziatwy małej, ale On i dla starszych wzór dobrego ojca, wzór obywatela, który się nie wacha składać wszystkiego na ołtarzu publicznego dobra! Dziś, kiedy nadeszła jesień jego życia, przyszedł do ołtarza Pańskiego, jak rolnik ze snopem na Matkę Boską zielną, ze snopem zasług, z wiązanką tych dusz, które dla Boga, dla ojczystej ziemi wychował! A snop to niemały, a wiązanka to wielka! — O! bądź pewny Mężu zacny, że Pan przyjmie z rąk Twoich chętnie ten wieniec, który mu utkałeś z mozołem wielkim i trudem niemałym. Już tu w tem życiu będzie on Ci zapłatą i chwałą przed ludźmi, tak, że możesz powtarzać za Pawłem Apostołem: „Korona moja, wy jesteście“ a kie-

dyś po długich jeszcze latach gdy staniesz przed sądem sprawiedliwego Sędziego, to On Ci Twą własną pracą przygotowaną koronę włoży na skroń ku wiecznej chwale! Lecz nietylko od Boga należy Ci się zapłata! Należy Ci się ona i od ludzi! Przyjm ją od nas dzisiaj! Pozwól, że Ci podziękuję za pracę Twą i trud w Imieniu Kościoła świętego, tej wspólnej Matki Naszej. Ona dziś uciśniona cieszy się, że ma jeszcze synów, którzy się Jej nie wstydzą. Przyjm dzięki, od Ojczyzny całej, naszej biednej ziemi polskiej! Tak długo nie było w niej światła, tyle tu było zbrodni i występków! — Dziś Bogu dzięki, można śmielej patrzeć w oczy całemu światu i nie bać się już nawet sądów bożych, a wszystko dzięki Twej i Tobie podobnych pracowników! Ona, Ta biedna, uciśniona nie ma wielkich skarbów, więc Ci godnie zapłacić nie może, lecz od matki ubogiej więcej znaczy szczery pocałunek, gorące do serca przyciśnienie, niż od bogatej świetne podarunki!

Przyjm dzięki od Twych przyjaciół i współpracowników za przykład dobry i serce szczere, któregoś im nigdy nie skąpił, ale każdego nawet najmłodszego z nich braterską otaczał przyjaźnią!

Przyjm dzięki od całej parafji — i od gminy tutejszej za trud i pracę zbożną — Pamięć Twa będzie zawsze aureolą otoczona, żyła w tej parafji!

A teraz podzięka dla Ciebie najmilsza i najserdeczniejsza! To dzięki od tej małej dziatwy i od tych wszystkich uczniów Twoich! Oni wszyscy z wdzięcznością wielką patrzą na Twą postać i szczerze proszą Boga o łaskę i błogosławieństwo dla Ciebie, zacny Dyrektorze! A Pan, który słucha drgnień naszych serdecznych, sprawi, że jeszcze będziesz długo między nami dla dobra naszego!

Boże błogosław Mu. Amen.

Dnia 13 września 1905.

Pogrzeb ks. Józefa Burgilewicza,

byłego proboszcza w Nienaszowie.

Przed laty czterdziestu był kościół ten świadkiem rzewnej, serdecznej, wesołej uroczystości. Młodzieniec, syn tego miasteczka, stanął u stopni ołtarza Pana Zastępów — a z ust Jego popłynęła pieśń radosna, pieśń chwały: „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“ — Podniósł w rękach swoich niepokalaną żertwę Panu Przedwiecznemu, a wraz z ofiarą niepokalaną wzniósł też i serce swe ku górze i dał je w ofierze Bogu i ludowi, dla którego pracować było Jego zadaniem i szczęściem wyśnionem. I w on dzień pamiętny kościół ten przepełniał lud zgromadzony. Ciekawie spoglądał na nowego ofiarnika, młodego kapłana, patrzał na Jego rozjaśnione oblicze i brał Go w swe posiadanie, w swą własność i kładł Mu niwy serc swoich pod nogi i zapraszał ku sobie i mówił: „to Twój zagon — piel go, kop, nawoź, zasiewaj, by plon mógł wydać obfity“.

Radosnem, załzawionem okiem patrzała na młodego lewitę rodzina szczęśliwa, że jeden z jej członków stał się jej Aniołem ziemskim.

I wtenczas jarzył się ołtarz od blasku świateł, a światło to podnosiło wesele i nastrój dnia. I wonczas biły dzwony sercami swojemi miarowo i równo i głosiły światu całemu, że nowy ofiarnik, nowy pracownik, nowy robotnik w winnicy Pańskiej rozpoczął pracę. I wesele płynęło w on dzień ponad miastem, ponad niwami i polami. — Ludu, niby snopów z pola, pieśń radosna — cudny widok, szczęsne dusze!

Dziś po latach czterdziestu znowu kościół napełniony ludem, znów pełno kapłanów, znów wiele światła smugami przesłania Ołtarz Pański. I dziś płynie pieśń potężna i dzwon na wieży się odzywa. — Ależ jakie to wszystko inne dziś, jakież to wszystko różne, od onego dnia z przed 40-stu laty?! Na twarzach zebranego ludu maluje się smutek i żal, który zadumą pokrył czoła i bólem napełnił serca! Bije blask świec od ołtarza Pańskiego, a światło ich jakieś takie gromniczne, żółte, co nie blaski, ale cienie zda się kłaść na otoczenie. — I pieśń płynie — pieśń z głębi duszy się rwąca, ale pieśń ponura i smętna: „de profundis“ — „Jezu w Ogrojcu mdlejący“, pieśń trwogi jakiejś pełna i ufności zarazem w miłosierdzie boże. I dzwon bije na wieży, idzie znów falą ponad miasteczko, ponad sioła przyległe, ale głos jego jakiś inny niż w oną niedzielę przed czterdziestu laty. To nie radością bije serce dzwonu, ale smutkiem i żegnaniem bolesnem!

Czemu to dziś tak inaczej jak wonczas? Bo ten, który przed laty czterdziestu pierwszy raz spełniał bezkrwawą ofiarę w tym kościele i u tego ołtarza, przestał żyć. On leży tu w zimnej trumnie czarnej! Usta, które wonczas śpiewały: „Gloria inexelsis Deo et in terra pax hominibus bonae voluntatis“, zsiniały, ścięły się — już nie przemówią! Ręce, które podnosiły Baranka niepokalanego, żertwę za lud — zesztywniały, zda się z trudu i umęczenia — serce, co ongi biło radośnie i serdecznie i gorzało miłością a zdobne było ideałami i rwało się do orlego lotu upadło i zastygło trafione strzałą Anioła śmierci, niby ten ptak trafiony kulką strzelca! I stąd to dziś taki smutny nastrój — i stąd to dzisiejsza żałobna pieśń i stąd dzisiejsza zaduma nasza i stąd to smutek nasz serdeczny. Ubył z grona naszego jeden pracownik, ubył z pośród nas brat i druh i mąż o dobrem sercu — ubył z pośród nas i stanął przed bożym sądem, by zdać sprawę z czynów swoich!

Ks. Józef Burgilewicz — pochodzi z miasteczka Radymna, ze starej mieszczańskiej rodziny. Ukończywszy szkółkę miejscową, z woli rodziców poszedł dalej do szkoły, aby czerpać ze skarbnicy wiedzy. Po skończeniu gimnazjum poświęcił się na służbę bożą. Wstąpił do seminarjum duchownego w Przemyślu i po czteroletnim tamże pobycie został wyświęcony na kapłana. Od tej chwili zaczęło się Mu dopiero właściwe życie, życie pełne trudu i cierpienia. Ludzie fałszywie pojmują życie i stanowisko kapłana. Przypatrują się Mu z tej zewnętrznej, materjalnej strony, a nie wchodzą w głąb, w istotę rzeczy. A jednak młodzieniec, który się służbie ołtarza poświęca, to w chwili kiedy przyjmuje święcenia kapłańskie musi zbić trumnę i włożyć w nią wszystkie swoje światowe pragnienia, ideały ziemskie — dla niego świat przestał być światem, on musi sobie wytworzyć, wyrobić w duszy świat zupełnie inny — nowy świat ducha!

Świętej pamięci X. Józef na początku swej drogi kapłańskiej wytworzył sobie taki świat ducha, postawił sobie zasadę, której do końca życia wiernym pozostał: „dla Boga i Jego ludu!“ Z takim ideałem w sercu przyłożył rękę do pługa i głowę poddał w jarzmo i poszedł między lud, aby wespół z nim żywot wieść — z nim się cieszyć w chwilach radości, z nim się smucić daleko częściej w chwilach smutku — wespół z nim płakać i wespół z nim cierpieć!

Pierwszą placówką Jego pracy i trudu była parafja Dembowiecka! Do dnia dzisiejszego opowiadają sobie ludzie o księdzu Józefie i o Jego istotnie heroicznej pracy i poświęceniu. W roku 1873 straszna cholera nawiedziła nasz kraj. — Cała ziemia nasza polska zabieliła się od trumien — pokryła się cała tysiącami mogił — wezbrała łzami i żalem za dziećmi swojemi, które gasły kończąc żywot w boleściach i nędzy. Strach blady padł na dusze ludzkie. Każdy czekał już obojętnie, kiedy przyjdzie nieubłagany Anioł śmierci, by wydrzeć ofjary upatrzone.

Trzeba było wiele siły woli i hartu ducha, aby w tej ciężkiej chwili nieść biednym i zrozpaczonym, oniemiałym wprost z bolu nędzarzom pociechę, zdrową radę i pomoc. Z jaką gorącością ducha i z jakiem poświęceniem czynił to ś. p. x. Józef, o tem wiele od ludzi słyszałem. Tygodniami całymi nie ściągał z siebie odzienia, kilka chwil snu na wozie wystarczyło, kawałek chleba suchego stanowił obiad i pożywienie całe. Kilka tygodni nawet Mszy św. nie odprawiał. Tam, gdzie zaglądnął Anioł śmierci, był i On wszędzie, tam, gdzie zajrzała czarna zaraza i On zaglądał z pociechą religijną, z radą i lekarstwem. Istny Anioł pociechy dla biednej parafji! To też z łkaniem i żalem żegnali Go parafjanie dembowieccy, kiedy po sześcioletnim pobycie odchodził na probostwo do Harklowy.

Harklowa, to drugi etap Jego ziemskiej podróży. Wioska niewielka, parafja uboga bardzo, lud w owym czasie ciemny, skłonny do różnych nałogów. Z bojaźnią i drżeniem jął się pracy nad ludem harklowskim ś. p. x. Józef. Ale czego miłość nie potrafi? Miłością można góry przenosić, miłością można cuda działać! Wnet też przywiązał się lud do swego młodego pasterza całą siłą poczciwego a prostego serca. I wytworzył się między Nim a parafjanami ojcowski stosunek. On uczył swe owce w prostych, a uczciwych słowach cnót, potrzebnych ludowi naszemu — oszczędności i trzeźwości. Nigdy z gniewem, zawsze łagodnie, na wzór mistrza Chrystusa przemawiał, a ta Jego dobroć, łagodność i dobry przykład, jednały Mu serca. Kiedy po kilku latach opuszczał swoją malutką owczarnię, mógł z dumą po niej spojrzeć, bo ją widział zupełnie odnowioną na duchu, widział, że na sercach tych, które długo ugorem leżały, założył piękną rolę, obfitą w plon przeliczny.

A trzecia stacja w życiu x. Józefa, to parafja Nienaszów. Parafja Nienaszów może najwięcej skorzystała z życia i dobrego serca swego drogiego pasterza. Już doświadczony i poważny mąż, umiał zawsze i wszędzie

wystąpić z dobrą radą, a gdzie trzeba było pomocy, nigdy jej nie odmówił.

I tu trzeba było zakasać rękawy do pracy nad ludzkiemi sercami. Mazurski lud twardy, podobny do twardej gleby. Trzeba się dobrze napocić, aby tą twardą glebę uprawić i użyźnić! Trzeba dużo potu i trudu wlać w zagony mazurskich serc, aby się z tej roli chleba doczekać. Nie niecierpliwił się ś. p. x. Józef i nigdy nie wyrzekał. Swemu pomocnikowi młodemu, gdy się niecierpliwił, że praca tak mały owoc wydaje, zwykle mawiał: „Dla ludu warto szczerze pracować, w ludzie cała nadzieja nasza". I pracował też jak rolnik boży, a niwa pod wpływem Jego pracy przemieniała się zwolna, ale statecznie i ciągle. Tajały lody serc, topniały dusze. A nie żałował Mu też Bóg i krzyżyków! Kogo Bóg miłuje, temu krzyżyki daje. Przyszła choroba, choroba ciężka i męczyła Go lata całe! Były chwile, że się sam poruszyć nie mógł — były chwile, że cierpienia wzbierały nad miarę. Nie narzekał — z bożą zgadzał się wolą! Nigdy nikt nie słyszał skargi z ust Jego! Za grzechy to Panie! za pokutę — mawiał sobie — i cierpiał!

Nie chciał być nieczynnym. — Kiedy zobaczył, że już nie może spełniać obowiązków swoich pasterskich z taką gorliwością jak to pojmował, bo Mu sił nie stało, usunął się w zacisze, wrócił do swego domu rodzinnego! Trzeba było widzieć, jaki jęk panował w parafji, kie ś. p. x. Józef opuszczał ją na zawsze? Tak! to dzieci łzą serdeczną dziękowały swemu Ojcu za trud i pracę, jakie położył koło ich wychowania!

Wrócił ś. p. x. Józef po 40-letniej pielgrzymce do swego rodzinnego miasteczka. Stanął przed ołtarzem, przed którym pierwszą sprawował ofiarę. — Wrócił jednak jak żołnierz po walce — strudzony, zmęczony pracą, znużony walką z życiem. Stanął przed Panem Jezusem, którego tutaj na tym ołtarzu poraz pierwszy piastował i rzekł Mu: „Panie! namozoliłem się! — Panie! zmęczony jestem bardzo i utrudzony wielce! Czterdzieści lat praco-

wałem Panie! na roli Twojej — rwałem chwasty i zielska z dusz ludzkich krwią Twoją zlanych — siałem kwiaty cnót, aż mi ręce opadły od pracy i serce słabo bije! Panie! daj mi spocząć tu na mojej ziemi rodzinnej, daj przygotować się na ostatni obrachunek z Tobą!"

Chciał odpocząć po pracy ś. p. Józef ale snać tyle już nazbierał w życiu swojem uczciwem zasług, tyle nazbierał już krzyżyków, że Mu to wystarczy na koronę niebieską. To też dobry a miłosierny Jezus, któremu jedynie ś. p. x. Józef ufał z dziecinną prostotą, wysłuchał Jego prośby i wołania o spoczynek po trudzie i pracy! Tak! — rzekł Jezus na prośbę Jego — „dam Ci spoczynek, ale dam Ci u siebie, dam Ci spocząć w chwale wiekuistej, gdzie już niema ni trudu, ni pracy, ni męki ni bolu, gdzie wieczna wiosna, wieczny maj, wieczne szczęście, wieczna radość!

Spracowałeś się, pójdź odpocznij!"

Powołał Go Chrystus do siebie w dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny Marji, jakby Mu chciał dać zapewnienie, że Go Korona niebieska nie minie. W dniu, kiedy w niebie radość i wesele panuje, kiedy niebo samo świętuje na cześć Najśw. Pani i Królowej, przestąpił ś. p. x. Józef bramę wieczności i stanął przed sędzią sprawiedliwym!

I spytał Go Sędzia Przedwieczny: „Kapłanie! czy spełniłeś urząd swój, jaki Ci na ziemi powierzyłem? powiedz co robiłeś i co zarobiłeś? Zdaj liczbę z włodarstwa swego!"

I cóż odpowiedział ś. p. x. Józef na ono pytanie Chrystusa sędziego? Odpowiedział krótko: „Panie! kochałem i cierpiałem przez życie całe! Kochałem Ciebie i kochałem lud Twój, oto pasmo żywota mojego!"

I odrzekł Pan: „Dobrze! sługo dobry i wierny pójdź na wesele! pójdź na gody wieczyste, pójdź na nabożeństwo, które się dziś w niebie na cześć Niepokalanej Pani odprawia, boś się nacierpiał, bo Ci serca dość miłość

naszarpała! Pójdź! spocznij!“ Bóg przyjął go do chwały swojej — dusza już u Pana w niebie a ciało tu spoczywa. — Mamy je pochować w ziemi! Tak! ziemi oddamy to ciało drogiego naszego współbrata, kapłana. Ukochałeś tę ziemię polską, — ziemię na której lud Twój mieszka — Ukochałeś ją i kochałeś przez całe życie — więc spocznij na jej łonie, niby na łonie rodzonej matki! Tu Ci dobrze będzie! Tu Cię już nie dosięgnie cierpienie, ni ból — ni podłość tego świata! Tu Ci do snu wiekuistego śpiewać będą nasze ptaki i pacierz nad Twoją mogiłą szeptać będą nasze drzewa — tu nad Tobą zapłacze nasza biała brzoza — a chociaż miną wieki i wieki, to Cię ta matka dobra nie wyrzuci — stąd pójdziesz kiedyś na sąd ostateczny i powiesz tam: „Panie! polskiej ziemi dziecię, polskiej ziemi syn, polskiej ziemi kapłan, przyjm mnie do Siebie!“

Ale i my, cośmy jeszcze tu na ziemi pozostali, nie zapomnimy o Tobie i o duszy Twojej! Ty zostaniesz z nami — zostaniesz duchem, zostaniesz pamięcią dobrą. — Twój duch za życia był dla zmartwionych pociechą, dla zbłąkanych i wątpiących drogowskazem — więc i teraz będzie między nami — będzie nam duchem opiekuńczym!

Kapłanie! gdy staniesz już u tronu bożego, to módl się za bracią Twoją biedną, która jeszcze ma dokończyć pielgrzymki swojej i módl się za kościołem świętym i za ludem naszym i za Ojczyzną naszą. Amen.

18 sierpnia 1909.

Mowa na pogrzebie

ś. p. sędziego Józefa Ruszla.

Życie ludzkie zgadza się całkowicie z życiem natury. Weźmy pod uwagę choćby jeden dział istot organicznych, kwiaty i przypatrzmy się ich życiu. Ledwie cieplejsze zaświeciło słońce, już z łona ziemi - matki wygląda biały pierwiosnek. Nie lęka się, że naokoło śnieg leży i zimnym mrozi go oddechem. Przetrwał zaledwie dni kilka i wtedy, kiedy inne kwiaty żyć zaczynają, on więdnie i ginie. Kiedy on zginął, miejsce jego zajmuje skromny lecz pełen zapachu fiołek. Skromny, ale zdradzający się swą wonią, żyje czas krótki, przekwita, więdnie i ginie. A stokrótka stara zaczęła swój żywot razem z pierwiosnkiem, przeżyła go, żyła wespół z fiołkiem, lecz gdy on omdlał i zginął, stokrótka coraz więcej się mnożyła i rozrastała. Minęło lato, przeszła jesień, zbliża się zima, już całunem białym ziemię ukrywa, a jeszcze z pod tej białej szaty wygląda stokrótka. I dopiero, kiedy nieubłagana macocha - zima zaczęła na nią dmuchać lodem i mrozem, biedna stokrótka skłania swą białą od starości głowę i ginie. Popatrzmy teraz na ogród, który Bóg zasadził. On Sam jest tam ogrodnikiem a kwiaty w nim to ludzkie dusze. Widać tam białe pierwiosnki, białe, jak śnieg biały. I pytasz się ogrognika niebieskiego skąd one się tu wzięły. To są te dusze — rzecze, — które przyszedłszy na świat, nie zaznawszy wcale jego rozkoszy, obmyte rosą łaski, pomarły. One białe, bo się nie miały czem splamić, ale bezwonne, bo nie miały czasu nabrać w siebie woni zasług.

Idziesz dalej i widzisz wśród tego cudownego ogrodu wonne fiołki. Młode to i piękne, piękne skromnością swoją,

a tak miło pachnie. Kto są ci, niebieski ogrodniku? — pytasz. To są ci — rzecze, — którzy się doczekali wiosny życia swego. Kiedy już nazbierali woni zasług, przeniosłem ich z ziemi do mego niebieskiego ogrojca. Widać też dalej i stokrótki tu i ówdzie rozsiane, a są to ci, którzy przetrwali wszystkie burze lata i jesieni życia, aż ich zwarzyła dopiero starość, zima.

Oto w tych dniach, kiedy na ziemi kończy się czas kwitnienia fiołków, w niebieskim ogrodzie przybył jeden piękny, wonny i grzeje się w świetle bożej chwały. Tu przed nami leży ziemska powłoka ciało ś. p. Józefa, a duch Jego, jako fiołek woni pełen, kwitnie już w ogrodzie niebieskiego ogrodnika.

Kiedy duch wypuszczony z twórczej dłoni Wszechmocnego schodzi na ziemski padół, jest wolny i swobodny jak ptaszek w powietrzu. Jeszcze go żadna nić z ziemią nie wiąże. Wskutek jakiegoś wrodzonego lęku przed nową swą siedzibą, zwraca się raczej ku swej pierwotnej Ojczyźnie. Dla niego opuścić skorupę ciała ludzkiego, w którym go Bóg zamknął, nie jest wcale przykrą rzeczą. Umrzeć w dziecięcem wieku, to nawet szczęście. Z czasem kiedy człowiek przyszedł do używania zmysłów, zaczyna się dla niego praca tkacza. Duch wiąże się jakby nićmi z ziemią, ze swojem ciałem, przypatruje mu się i rozmiłowuje w niem, w jego organach, zmysłach, a tak zawiązuje nitkę pierwszą. Potem wiąże się z otoczeniem. Na kanwie życia ukazuje się nitka druga, złota nić miłości ku matce, która do pacierza ręce układa, ku ojcu, który piękne opowiada bajki, ku siostrom i braciom, krewnym i przyjaciołom. Praca idzie dalej. Duch nie spoczywa, ale wciąż dzierzga, wciąż wyciąga coraz nowe nitki. Więc je nawiązuje z otaczającą go naturą, uczy się witać po imieniu te kwiaty, co mu rosną na łąkach ojczystych i po mogiłach a grobach, uczy się czytać w tych znakach tajemnych co mu się jawią na niebie w rozlotnych kształtach obłoków, lub w mglistych posta-

ciach gór na widnokręgu, uczy się czytać w księdze natury napisanej palcem bożym, uczy się z tej księgi modlić Panu. Duch już przywiązany do ziemi. Z czasem te nitki tężeją, wzmacniają się, coraz więcej złota pokrywa tę przędzę. Miłość ku Ojczyźnie swojej, miłość ku wszystkiemu co piękne, co szlachetne, co wzniosłe, miłość ku temu wszystkiemu, to dalsze nitki tej cudnej złotej tkaniny młodzieńczego życia. Kiedy ta tkanina w najcudniejsze już ułożyła się wzory, kiedy nici wzmocniały, rozerwać ją, potargać, podrzeć, to rzecz bardzo bolesna. Wtedy nici pękając, przemieniają się w ostre sztylety i ranią serca tych, którzy na tę tkaczą pracę patrzyli, którzy z tkaczem byli choćby najsłabszem włóknem związani. I któżby był tak okrutnym, żeby się odważył poszarpać tę świętą pracę, zlaną trudem i potem człowieka? To bezlitośna śmierć, która w swej pracy nigdy nie ustaje, ale ustawicznie swą kosą tnie pasma ludzkiej przędzy. Przecięła ona pasmo tkaniny ś. p. Józefa, a przecięła wtedy, kiedy to pasmo najcudniejsze utkane wzory, jaśniało kolorami tęczy, przecięła wtedy, kiedy nici stosunków ziemskich były najsilniejsze.

Kiedy ginie na polu bitwy wódz, co hufce w bój prowadził, kiedy schodzi z tej ziemi genjusz, który duchem swoim pchnął bryłę świata na nowe tory, to historja otwiera księgę ich żywota, z tej księgi czyta i pomnik im buduje. To co robią wielcy dla wielkich, to w mniejszym zakresie zróbmy my dzisiaj dla ś. p. Józefa. Niech mi więc wolno będzie otworzyć księgę Jego żywota i z czynów pomnik Mu zbudować.

Otwieram księgę, ale tam kilka dopiero kart zapisanych. Czytam pierwszą kartę. Oto pacholę z pod słomianej strzechy parte chęcią wiedzy opuszcza ją, żegna ojca, matkę, braci, a idzie ku wspaniałemu gmachowi wiedzy i puka tam i stuka i pyta o mądrość. To pierwsza karta w życiu ś. p. Józefa. Karta piękna jak piękny ten, od Boga wybrańcom dany popęd do nauki. Przykro jest

dziecku wyrzekać się pieszczot matki, przykro opuszczać na długo swoich ukochanych. Wtedy kiedy rówieśnicy tulą się do łona rodziny i grzeją przy sercu matki, dziecię pragnące nauki musi się wyrzec tej rozkoszy. Zamiast do serca matki tuli się do zimnej książki, ona mu wtedy musi stanąć za świat cały. W niej szuka skarbów, pereł, szczęścia, wszystkiego! Ludzie, którzy nigdy nie szukali wiedzy, nie znają jaki to wielki trud. To, zaiste, trud rodzenia. Jeśli komu, to dziecku ludu praca szukania wiedzy ciężko przychodzi, bo niejedno z nich musi walczyć z brakiem środków doczesnych. W sercu się pali święty ogień wiedzy, a w żołądku odzywa się głos: „jeść mi się chce".

Przykra jest dola młodzieńca z ludu szukającego wiedzy, bo on musi się uczyć żyć na świecie. Dzieci z innych sfer wynoszą już z domu sposób zachowania się, sposób życia — dziecię ludu idzie w świat bez tego co ludzie zowią „znalezieniem się". Ono niesie tylko suchy kawałek chleba, wykrzywione buty, połatane odzienie i miłość ku Bogu i ku nauce.

Rzeźbiarz, który wybiera kamień na posąg, nie zważa tyle na to czy kamień jest gładki — on jest od tego, żeby go wygładzić — on raczej baczy na to, czy kamień jest twardy, by go ząb czasu nie prędko ukruszył. Młodzieniec z ludu ma właśnie tę własność twardego kamienia. Nie ma poloru, lecz ma zato hart, jest twardy. Takim twardym kamieniem był właśnie ś. p. Józef. To też, kiedy nauka, która w naszym wypadku zastępuje miejsce rzeźbiarza, wzięła w ręce ten twardy kamień, wykuła z niego po ośmioletniej pracy posąg o przecudnym kształcie, a o harcie niezłomnym. Skończył gimnazjum, ujął w rękę dyplom, pozwalający mu pukać dalej i szukać głębszych nauk. Piękna jest chwila w życiu młodzieńca, ukończonego gimnazjasty, kiedy ma sobie obierać stan, którymby mógł wypłacić dług Bogu, Ojczyźnie i tej wie-

dzy której zdroje pił. Ile wtedy różnych myśli chodzi po głowie młodzieńca?

Jak w dzień pochmurny, jesienny, zwały chmur przewalają się po niebie — jedne się rozpływają w mgle, a na ich miejsce napływają nowe — tak różne myśli napływają wtedy do głowy młodzieńca. Bóg jedynie osądzić może, która z tych myśli jest dobra. On jeden może dać człowiekowi znak, który z tych wszystkich głosów jest głosem bożym. Oto jeden upodobał sobie ołtarz Pański, wyrzekł się świata, odwrócił oczy od ponęt doczesnych i powiedział sobie: Pan cząstką dziedzictwa mego i kielicha mego! Został kapłanem. Inny chcąc badać lepiej wiedzę, idzie na filozofję, inny znów chce być ludziom pożyteczny w nieszczęściach doczesnych, w chorobach i zostaje lekarzem. Ś. p. Józef nie poświęcił się ołtarzowi Pana samego, ale się poświęcił ołtarzowi sprawiedliwości. Wymierzać ludziom sprawiedliwość, godzić zwaśnionych, jednać rozdwojone serca, to prawdziwe, zadanie anioła pokoju, to urząd kapłański. Sędzia spełnia ten sam urząd w sali sądowej, który kapłan Chrystusów spełnia w trybunale pokuty. Udał się po ukończeniu gimnazjum na wyższe studja prawnicze, chciał być sędzią, bo chciał być świeckim kapłanem. I tu zaczyna się druga karta w książce Jego życia, a karta pisana krwią i boleścią i trudem. Zdobyć sobie wiedzę taką, aby można powiedzieć: „będę sprawiedliwym i dobrym sędzią“ to trud, praca i ból. Ile trzeba kart przewrócić, ile liter przepatrzeć, ile prochów zjeść ze starych foljałów, to wie tylko Bóg i ten, który to przechodził, który samą naukę pojmował jako świętą ofiarę. To druga karta w życiu ś. p. Józefa. On pracował nie na żarty, ale z całą sumiennością pochłaniał wiedzę. I może ta nadmierna praca sprawiła, że dziś człowiek młody, musi się żegnać z tym światem! Może już wtedy, razem z wiedzą pił z ksiąg starych śmierć? Przewróćmy tę kartę, kartę trudu ciężkiego, a odwróćmy trzecią i ostatnią. Skończył studja

i całą duszą oddał się pracy w swoim zawodzie. Szczęśliwy, czuje, że marzenia się spełniają. To żeglarz, który dopłynął do portu po długiej i uciążliwej walce z żywiołami. I On dopłynął do brzegu, spokojny, że może spożywać chleb, że wypocząwszy sobie, pójdzie dalej w wir życia. Zaczął pracę zawodową, a spełniał ją z całem poświęceniem i zaparciem, jak o tem świadczyć mogą Jego przełożeni i koledzy, którzy Go całą duszą kochali. I na tej trzeciej karcie Jego żywota błyszczy piękny charakter. Spełnianie obowiązków święte, to zdaje się nic nie znaczy. Każdy człowiek ma spełniać swoje obowiązki. Tak! ale niestety co gdzie indziej, u innych narodów nie zwraca uwagi, to u nas Polaków musi już być zasługą — wobec tego, że tak mało ludzi spełnia święcie swoje obowiązki! Życie na żart, to hasło naszych czasów. — Tańczyć i bawić się dziś — a jutro bawić się i tańczyć, to hasło nasze, to hasło Polaka, którego przed wiekami nazywano: „slavus saltans t. j. słowianin skaczący". Dlatego, jeżeli się znajdzie człowiek, który wbrew charakterowi narodowemu, wbrew duchowi czasu, spełnia swe obowiązki, a do tego święcie, to wart, by na niego zwrócić uwagę i jeżeli nie przyszłym pokoleniom, to przynajmniej współczesnym za wzór go postawić. Przy końcu trzeciej karty jako dopisek złotymi głoskami można czytać słowa ś. p. Józefa, które wyrzekł do otaczających Go serc bliskich, kiedy pojednany z Bogiem przez Sakrament pokuty i Ołtarza: „to nie dla Was, ani dla Waszego spokoju się spowiadałem, ale dla siebie, dla swego sumienia spokoju". Wiedział, że jest w niebie Ojciec, który Go na na świat wprowadził i przez życie wiódł. I oto pobożni słuchacze! gdy my tutaj wieniec zasług Mu wijemy, On stoi tam przed bożym tronem, przed sędzią. Sędzia Bóg pyta się Go: „co robiłeś Józefie przez życie? Józefie czy talent dany Ci przezemnie zmarnowałeś, czy podwoiłeś

go w dwójnasób?“ A Józef mówi: „Panie cierpiałem! — cierpiałem jako dziecię szukające nauki, cierpiałem jako młodzieniec, i tem cierpieniem przeszło mi życie krótkie! Panie! spełniałem swój obowiązek, — pracowałem Panie! daj mi wieniec chwały!“ A Bóg mówi: Dobrze! sługo dobry i wierny! pójdź do wesela mego!“ Amen.

10 maja 1902.

Poświęcenie kościoła

W BŁAŻOWEJ

31-go maja 1910 roku.

Są takie dnie w życiu narodów, miejscowości, pojedyńczych ludzi, które zostawiają po sobie ślad na życie całe, są dnie, których wspomnienie idzie niby słup ognisty przed człowiekiem, oświecając mu drogę żywota. Takim dniem był dla żydów dzień poświęcenia świątyni Salomonowej. Czytamy w księgach królewskich, że król Salomon wzniósł wspaniałą świątnicę prawdziwemu Bogu. Tysiące robotników pracowało całe lata nad wykończeniem tego wspaniałego dzieła. Pod siekierami sydońskich cieśli padały całe lasy cedrowe — waliły się skały pod kilofami żydowskich kamieniarzy. Szło złoto i drogie kamienie z pustynnej Arabji — bisior i karmazyn dowozili Fenicjanie. Lat ośm wrzało na ulicach Hieruzalemu — robota szła nieustannie. I stanął dom Pański, wspaniały — istny cud świata! A gdy wszystko było gotowe i dom boży ponad miastem świętem się rozłożył, przystąpił król Salomon do ostatniego najważniejszego aktu, do poświęcenia świątyni i oddania jej na cześć i wyłączną służbę prawdziwemu Bogu. Rozpoczęły się wspaniałe uroczystości. Przez kilka dni z rzędu składano Panu Zastępów niezliczone ofiary. Lud otaczał świątynię i ołtarz i słał gorące modlitwy ku niebu. Ostatniego dnia uroczystości sam król Salomon podniósł głos swój i w imieniu ludu swego prosił Pana, aby raczył zamieszkać w zbudowanej świątyni i wysłuchiwać modłów ludu i próśb jego gorących. A lud słuchał w skupieniu słów królewskich i łączył

z modlitwą króla swe serdeczne życzenia. Z radością powrócił lud do siedzib swoich po skończonej uroczystości. Czuł, że Bóg jego mieszka z nim, czuł, że ten dom będzie jego schronieniem w smutku i radości, w potrzebie i niedostatku. Istotnie, do domu tego chadzał lud, tam znosił swe cierpienia i łzy, tam się chronił przed nieprzyjacielem, tam spędzał czas na modlitwie i skupieniu koło Pańskiego ołtarza. Dzień poświęcenia kościoła Salomonowego był dla ludu żydowskiego dniem pamiętnym na wieki całe. Oto dzień, który uczynił Pan!

I wy drodzy parafjanie! dzisiaj możecie radosnem sercem powtórzyć te słowa Pańskiego piewcy: Oto dzień' który uczynił Pan! To dla Was dzień wielki, dzień pamiętny, dzień, o którym pokolenia jeszcze wspominać będą, dzień poświęcenia Waszego kościoła. Lata całe wrzała tu praca, nie szczędziliście grosza Waszego. Wdowa niosła szeląg ostatni, dziecię małe przychodziło na nabożeństwo z miedziakiem w rączce, a wszystko rzucano na ofiarę Panu. Kapłan i przewodnik Wasz duchowy nie szczędził pracy ni trudu i oto po latach mozołu strzeliła ku górze wieżycami swemi wspaniała świątynia, wyciągnęła je niby dwie ręce w gorącej modlitwie ku górze wźniesione, by ściągać dla Was miłosierdzie, łaskę i przebaczenie. Arcypasterz, ten któremu Pan dał rząd dusz, dokonał dziś uroczystego poświęcenia i oddał ten przybytek na wyłączną cześć i chwałę Panu. Tak! to dzień, który dla Was uczynił Pan. Byście doniosłość tego dnia lepiej ocenili, powiem Wam w dzisiejszej nauce czem jest dla Was ta świątynia, jakie korzyści w życiu Wam przyniesie. *Z. M.*

I.

Kościół święty jest dla dusz naszych tem, czem dla ciał dobra matka, a kościół w tem najściślejszem słowa znaczeniu rozumiany jako dom boży, jest dla nas w znaczeniu duchownem tem, czem jest w znaczeniu cielesnem dla człowieka dom rodzicielski. Zróbmy sobie porównanie pomiędzy matką, która nam życie cielesne dała, a matką

dusz naszych, kościołem świętym, abyśmy tem lepiej zrozumieli i ocenili znaczenie i wartość tego domu wspólnego, macierzystego, kościoła parafjalnego.

a) Matka daje człowiekowi życie. Dar to wielki i nieoceniony, to talent, pieniądz, dany przez Boga, pieniądz, przy pomocy którego możemy się dorobić szczęścia wiekuistego. Ale to życie ciała wspólne nam ze zwierzętami, nie stawia człowieka wyżej ponad nierozumne stworzenia. A człowiek ma być w łańcuchu dzieł bożych ogniwem, łączącem niebo z ziemią, granicą pomiędzy istotami zmysłowemi a czystymi duchami. Stąd też żeni w sobie życie cielesne z duchowem. Cielesne otrzymuje od matki ziemskiej, życie duchowe daje kościół święty. Jak matka przyodziewa niemowlę białą szatą, pieluszkami je okrywa, tak matka duchowa, kościół święty z chwilą, gdy się człowiek narodził cieleśnie, rodzi go duchowo, obmywa wodą zbawienia, chrztem świętym, okrywa białą szatą łaski poświęcającej. I oto człowiecze, gdyś był jeszcze niemowlęciem i sam sobą rozporządzać nie mogłeś i nieumiałeś, stanęła koło ciebie ta dobra matka kościół św. prowadziła cię do domu macierzystego i wodą łaski na żywot wieczny porodziła — z syna przekleństwa i zatracenia, uczyniła syna miłości, dziedzica bożego! Te pierwsze narodziny twoje duchowe odbyły się tutaj w tym domu bożym.

b) Ubrany w suknie niewinności, odrodzony na duszy, syn boży, dziedzic królestwa niebieskiego, żołnierz Chrystusowy, dziecię łaski, puszcza się w drogę życia. Przed tobą ściele się droga daleka... daleka... — puszczasz wzrok naprzód — a oto przed oczyma twojemi ciągnie się ścieżka niby wstęga pogmatwana — a na tej drodze co kawałek przepaść — a na tej drodze ciernie i kolce — a na ścieżce tej wąż jadowity się położył, żądło wyciągnął trucizny pełne i na piętę twą czyha. A obok ścieżki poukrywali się rozbójnicy — czart i świat i czyhają, by cię z szaty obedrzeć i w przepaść zatracenia wtrącić. I straszno ci, bo iść musisz wśród tylu niebezpie-

czeństw! Trzeba ci posiłku, trzeba ci pomocy. Któż ci tej pomocy udzieli, kto cię do męstwa zachęci, kto ci sił doda? Jak w potrzebach doczesnych staje u boku dziecka matka rodzona, tak w życiu duchowem stoi koło ciebie matka duchowa, kościół. Staje i rzecze: Dziecię lękasz się? boisz się? pragniesz wzmocnienia na drogę daleką i niebezpieczną?! Pójdź do stołu zastawionego manną niebieską, chlebem anielskim, Ciałem Pana naszego Jezusa Chrystusa — Pójdź do stołu zastawionego napojem ożywiającym na żywot wieczny, krynicą łaski, źródłem gaszącem wszelkie pragnienie — krwią Przenajświętszą Niepokalanego Baranka! Dzień pierwszej Komunji świętej — pamiętasz go? — Odświętnie ubrany, na duszy czysty, wymyty w krynicy łaski, pełen drżenia i bojaźni świętej! Niebo przelało ci się do duszy — serce wezbrało świętem uczuciem, niby potok po silnej ulewie, a moc dziwna wstąpiła w nie. Wzmocniony na duchu puściłeś się na drogę życia. — I znowu ta wzniosła, ta najpiękniejsza w życiu chwila odbyła się tutaj — w domu macierzystym, w kościele świętym.

c) Idziesz drogą żywota, a jakież kroki twe niepewne?! Tyle przeszkód, tyle trudności spotykasz po drodze, kaleczysz się w cierniach, upadasz na nierównościach. Idziesz, a za tobą leje się krew twego serca, twej duszy. A każdy upadek, każdy wywrot, to śmierć dla ciebie, śmierć wiekuista, bo grzech ciężki łaski pozbawia, z królestwa niebieskiego wydziedzicza! Tyle razy biedny człowiecze leżałeś powalony grzechami, niby ten żydowin, którego na drodze do Jerycha zbójcy napadli, poranili i na pół żywego zostawili. Gdyby nie było nikogo, coby ci rękę podał i dźwignął, zginął byś, a zginął na wieki. Ale znów stanęła koło ciebie dobra matka. Matka, gdy zobaczyła, że jej dziecię zranione przy drodze leży, bieży spiesznie, by je podnieść, poratować — zalewa rany oliwą i winem je czyści, do domu dziecię zanosi i tak długo

pielęgnuje, aż się rany zagoją, zabliźnią zupełnie. To sakrament pokuty.

Przejdź myślą życie twoje i podumaj: Ile to razy potknąłeś się, ile razy upadłeś w grzech?! A zawsze, ile razy zbity i zraniony leżałeś przy drodze, dobra matka-kościół święty, zbliżała się do ciebie z macieżyńskiem iście sercem, wiodła do domu bożego i tu w krynicy, w źródle łaski, w sakramencie pokuty obmywała. Pomyśl człowiecze, ile razy tutaj, w tym bożym domu doznałeś odpuszczenia grzechów? — ile razy zabliźniałeś rany serca twego? ile razy uspokajałeś sumienie twoje? — ile razy wchodziłeś tu, w progi domu bożego brudny, a wychodził czysty? — wchodził chory, a wychodził zdrów?! To wszystko działo się tutaj, w tym domu bożym.

d) Doszedłeś do wieku młodzieńczego — rozpoczął się maj twego żywota. Cudny szmat życia, ale i niebezpieczny wielce. W sercu wrze i kipi, niby w tej górze, co to ogniem błyska i zieje lawą gorącą. Wulkanem się zowie góra taka. Dusza podobna do tego drzewka młodego, co nad drogą stoi i za lada podmuchem wiatru na wszystkie nagina się strony. Niebezpieczny dla duszy ten maj żywota — wiek młodzieńczy! Czasem może się serce zbytecznie rozpalić i pęknąć, czasem wiatr pokus tak gwałtownie na młodą duszę uderzy, że ją, niby drzewko młode do ziemi przygnie i złamie. Ileż znów mocy potrzeba, ile potrzeba hartu ducha, ile siły, już nie ludzkiej, a bożej, żeby ogień i lawinę serca uspokoić, by się pokusom, co z zewnątrz wieją, oprzeć?! I znów staje obok ciebie matka-kościół — i wzmacnia cię. Sakrament bierzmowania. Ileż to mocy i siły nadziemskiej spływa na serca Wasze w tych dniach zbawienia, kiedy biskup, arcypasterz i stróż dusz Waszych, wyciągając nad głowami waszemi ręce swoje i znacząc je krzyżmem zbawienia, modlitwą swą sprowadza Ducha świętego do serc Waszych? I stajecie wzmocnieni duchem i naznaczeni znakiem krzyża św. niby rycerze do walki, pewni zwycięstwa! To znów

odbywa się tutaj w tym domu bożym, w kościele parafjalnym.

e) A na każdy dzień, na dzień powszedni, gdy cię troska przygniecie, gdy ci krzyżyk zbyt boleśnie barki porani, gdy ci boleść serce i duszę omota, niby pająk muchę nicią swą pajęczą — gdy pokusy tobą niby źdźbłem słomy na wszystkie strony miotają, gdy cię świat zdradzi, przyjaciel opuści, gdy ci — jednem słowem mówiąc — źle, tak bardzo źle na świecie, to się kryjesz tutaj do domu bożego, niby do twej chaty macierzystej. Tu u stóp Pańskich ołtarzy, zatopiony w modlitwie, nabierasz otuchy, odpędzasz od siebie pokusy, niby złe sny, niemiłe, nieznośne mary — tu skłoniwszy głowę, gdy Pan pod postacią chleba i wina na ziemię zstępuje, czułeś, że Bóg z tobą i nikt cię nie zwycięży. Tu tyle razy biegłeś przed obraz Niepokalanej Dziewicy, ofiarując Jej swe bole i radości, swe cierpienia i pociechy, swe łzy i uśmiechy. Tu biegłeś gdy się rozgrywała walka o duszę twą między aniołem stróżem a złym duchem, tu biegłeś w niedziele i święta na srebrny odgłos sygnaturki, by zapomniawszy o troskach codziennych, wzlecieć myślą ku górze, ku ojczyźnie, tam gdzie mieszka nasz Stwórca i Pan. Tak człowiecze! tak! pomyśl, ile to chwil słodkich i błogich spędziłeś w tym bożym domu?!

f) Doszedłeś wieku męskiego, przyjacielu drogi — stałaś się dziewicą dorosłą — chodziło o wybór towarzyszki względnie towarzysza na drogę życia. Chwila była ważna, bo od niej zawisło szczęście doczesne tu i szczęście wieczne tam! I znów była ci w tej chwili rozterki pomocną twa matka — kościół święty. Przyszliście tutaj do świątyni, a kapłan Was złączył i na wspólną drogę pobłogosławił, a Bóg sakramentalnej łaski udzielił, byście trudy i kłopoty życia małżeńskiego łatwiej znosić mogli.

g) Przyszła wreszcie ostatnia godzina. Wiek nieubłagany pochylił cię ku ziemi — szron sprószył włosy twoje, pobielił niby całunem zimowym. Anioł śmierci

zawitał do chaty twojej, zapukał do okna, zbliżył się do łoża i rzekł: „pójdź przyjacielu — pójdź! zdaj liczbę włodarstwa twojego!“ I lęk padł na ciebie i pot kroplisty okrył czoło twoje i lodem śmierci powiało ku tobie. Zląkłeś się. A oto z kościoła dochodzi odgłos dzwonka — idzie poseł boży do ciebie — kapłan i kładzie ci w tej ostatniej, najstraszniejszej chwili dłoń na głowę i mocy dodaje i strachy a zwidzenia odpędza.

h) I przyszła chwila, chwila, której nikt ze śmiertelnych uniknąć nie może. Dusza, która była tylko czasowo w ciele więziona wychodzi z ciała, śmierć przyszła i przecięła przędzę ludzkiego żywota. A z kościoła rozszedł się głos dzwonu. — To głos matki, płaczącej zmarłego dziecięcia. Szlocha on i mówi: „biedne dziecię — oto tam przed sędzią sprawiedliwym stoi i rachunek zdaje! Oby choć wypadł dla niego szczęśliwie!“ Położono ciało na czarnym katafalku, a matka — kościół śpiewem żałobnym towarzyszy dziecięciu swojemu jeszcze tam za grób, w tę krainę tajemniczą a nieznaną. A gdy wszyscy już o duszy zapomną, to tu, w tym domu bożym jeszcze o niej pamiętają w ofiarach Mszy św.

Tak więc widzicie czem jest dla Was ten dom boży. On dla Was ucieczką i ochroną — tutaj się rodzicie duchowo, tu wzmacniacie i posilacie, tu leczycie, tu ulgi i pomocy w ciężkich chwilach szukacie, tu jeszcze po śmierci po raz ostatni ciała wasze spoczną przed podróżą w zaświatne krainy!

II.

Dziś poświęcenie i oddanie na wyłączną cześć Boga waszej świątyni parafjalnej. Gdy w starym zakonie poświęcano świątynię Salomonową, to obłok napełnił dom Pański. „I stało się, gdy wyszli kapłani z świątnice, obłok napełnił dom Pański i nie mogli kapłani stać i służyć dla obłoku, bo była chwała pańska napełniła dom Pański“ Reg. 3, 10. I ten Wasz dom Pański okrył dzisiaj obłok, bo przez poświęcenie łaska boża go napełniła. Król Sa-

lomon upadłszy na kolana zanosił gorącą modlitwę do Boga: „Panie! wysłuchaj modlitwę sługi twego, aby były oczy twe otworzone nad tym domem we dnie i w nocy... Jeśliby uciekł lud twój izraelski przed nieprzyjacielami swemi ...a przyjdą i modlić się będą i odpraszać Cię w tym domu, ywsłuchaj na niebie, a odpuść grzech ludu, a przywróć je do ziemie, którąś dał ojcom ich.... Jeśli będzie zamknione niebo, a nie będzie dżdżu dla grzechów ich, a modląc się na tem miejscu pokutę czynić będą... a nawrócą się od grzechów swoich... wysłuchaj ich na niebie, a odpuść grzechy sług twoich, a daj deszcz na ziemię Twoją, którąś dał ludowi twemu w posiadłość... Jeśli się zaweźmie głód w ziemi, abo mór, abo skażone powietrze, abo susza, abo szarańcza, abo rdza... wszelka plaga, wszelka choroba, wszelkie przeklęctwo i złorzeczeństwo... jeśliby kto poznał ranę serca swego, a rozciągnął ręce swe w tym domu, Ty wysłuchasz w niebie, na miejscu mieszkania Twego a zlitujesz się... A jeśli zgrzeszą przeciw Tobie (bo nie masz człowieka, któryby nie grzeszył) a rozgniewawszy, podasz ich nieprzyjaciołom ich, a będą zabrani w niewolę do ziemi nieprzyjacielskiej... a nawrócili by się do Ciebie ze wszystkiego serca swego, wysłuchasz ich i miłościw będziesz ludowi twemu, bo lud twój jest i dziedzictwo...“

Bracia! i my się dziś tak wspólnie módlmy! Panie Boże! niech będą otworzone oczy Twe nad tym domem Twoim i nad tą parafją całą i nad ludem polskim Twym! Jeśli byśmy zgrzeszyli przeciwko Tobie i w niewolę złego ducha popadli, a prosiliśmy Cię na tem miejscu o przebaczenie, Ty się ulituj i przywróć nas do ziemie, którąś nam przyobiecał, do królestwa niebieskiego!

Jeśli dla grzechów naszych zamkniesz niebiosa i nie dasz dżdżu — a my Cię prosić będziemy i odpraszać na tem miejscu, Ty się ulituj i chleba powszedniego nam nie odmów! Jeśli dla grzechów przyjdzie mór na ziemię

naszą — a my Cię w tym domu prosić i błagać będziemy, to się ulituj i odwróć złe powietrze od siedzib naszych — niechaj choroba nas i dzieci naszych nie zabija!

Jeśli przyjdą pokusy i próby na dusze nasze, a my tu u stóp ołtarzy Twoich prosić Cię będziemy, to się ulituj i pokusy odwróć — i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas panie zbaw ode złego tak duszy, jak ciała — my Cię dziś oto Panie błagamy. Amen.

28 maja 1910.

Poświęcenie dzwonów

W PANTALOWICACH

30 października 1920 roku.

W cichem siole żyły dzwony. Proste i skromne ich mieszkanie — prosta dzwonnica ich podporą. Żyły i pełniły wiernie swe obowiązki. Codziennie głosem swym dźwięcznym budziły ze snu wioskę. Codziennie tuliły ją do snu po całodziennym znoju. Sercami swojemi odczuwały doskonale serca ludzkie. Gdy ludziom było dobrze, gdy wesele rozpierało ich serca, gdy radość przepełniała czarę ich duszy, serca dzwonów biły radośnie, ze spiżowych ciał dzwonów szły tony spiżowe i układały się w muzykę radosną, wesołą. Padł cień smutkiem na serca ludzkie, to dziwnym, jakimś tajemnym związkiem odczuwały go i serca dzwonów i muzykę swoją na odpowiednią stroiły nutę.

Przyszło wielkie doroczne święto, to dzwony odziewały się majestatem i wzywały swym poważnym odezwem do udziału w uroczystości.

Sygnaturka jako najmłodsza w tym związku dzwonów igrała codziennie, trzęsła głową, bawiła się, jakby rozweselone dziecko, wołając rolnika na ranną mszę.

I kochał lud te dwzwony swoje i pieścił je jak istoty żywe, jako swoich współbraci, którzy z nim współżyją i odczuwają jego smutki i radości.

Aż przyszedł na świat czas niezwykłej grozy! Powstał brat przeciw bratu — człowiek przeciw człowiekowi, naród przeciw narodowi.

Ujęli w ręce swoje mordercze narzędzia — napełnili ziemię łoskotem piorunnym. Zapalił się ogień i szedł

falą poprzez kraje, poprzez ludzkie siedziby, niszcząc mienie i życie ludzkie!

Powiała zaraza i szedł poprzez ziemię anioł boży, w czarną opończę spowity i szedł i gasił żywoty ludzkie jak kosiarz, który kładzie trawę na łące.

Cała nasza polska ziemia stanęła w ogniu! A dzwony uderzały na trwogę. — Serca ich tak, jak serca ludzkie napełnił lęk. — Jak serce ptaka ranionego i trzepocącego skrzydłami w przedśmiertnym skurczu, tak lękliwie drgały serca dzwonów kościelnych.

Aż sprzykszył się ich trwożliwy jęk, tym, którzy byli sprawcami światowej pożogi.

Pewnego poranku przyszli do wioski zbrojni ludzie, przynieśli z sobą sznury i maszyny różne i wdarli się do spokojnego siedliska wiejskich dzwonów. — Rozpoczęła się dziwna, a groźna robota.

Najpierw szarpnęli za serca dzwonów, aby je wydrzeć ze spiżowych piersi! Dzwon jęknął — serce jeszcze raz i drugi uderzyło — lecz to był ostatni jęk przedzgonny — Wkrótce serce dzwonu leżało na ziemi — żywa dotychczas pierś, zamilkła. Tylko sygnaturka trzęsła dalej swoją głową, protestując przeciw gwałtowi — tylko swym płaczliwym głosem zwoływała kobiety, dzieci i starców na pomoc, na ratunek.

A ludzie zbrojni nie zważali na płacz sygnaturki, kobiet i dzieci. Porzucili serca dzwonów osobno, a piersi ich spiżowe osobno i powieźli w światy obce. Tam inni ludzie, uzbrojeni w młoty potrzaskali piersi ich na drobne kawałki. Kawałki te wrzucone do stalowych naczyń — zapalono pod nimi ogień tak, że spiż twardy w płyn, w ciecz się przemienił. Cieczy tej spiżowej ponalewano w nowe formy i dzwony zmieniły swą postać. Zamiast dobrego serca, które odczuwało dolę ludzką, włożono mu w pierś ognisty pocisk, który śmierć miał szerzyć. Zamiast pieśni, wydobywał się z tego przelanego spiżu groźny jęk i sypał się ogień!

A we wsi po zabraniu dzwonów zrobiło się smutno! żałoba okryła serca!

Od czasu do czasu przychodziły wieści z tych okropnych pól, gdzie śmierć kosiła, że zginął syn młody, — to znów, że mąż, ojciec dzieci, poszedł w kraje dalekie na niewolę i nędzę, to znów, iż brata granat rozerwał na szczątki, — i łzy cisnęły się do oczu i szloch rozpierał serca. — Chciało się krzyczeć: „dość tej zabawy!“ a nie było przed kim boleści swej okazać — dzwonów nie było — nie miał kto skargi biednych matek, ojców, żon, sióstr, ponieść przed tron Najwyższego!

Wszystko ma swój koniec! Skończyła się wojna! Ten i ów wrócił z pola do domu — pod strzechę rodzinną. Lecz w wiosce cicho i pusto! Dzwony kościelne zostały z tymi, których kości bieleją na dalekich polach.

To też jednym z pierwszych zadań i tych, którzy w domu zostali i tych, którzy z wojny powrócili, było postarać się o nowe dzwony.

Nie szczędzono grosza — samorzutnie dawano pieniądz, aby tylko ożywić parafję, wioskę. I oto jesteśmy dzisiaj świadkami niezwykłej uroczystości — poświęcenia dzwonów! Nowe dzwony w odrodzonej Ojczyźnie przemówić mają Wam tutejsi parafjanie na pociechę — Ojczyźnie odrodzonej na chwałę.

Abyśmy jednak w dzisiejszej uroczystości i dla dusz naszych korzyść odnieść mogli, zastanówmy się, jaki jest wzajemny stosunek człowieka i dzwonu — jaki obowiązek ma spełniać dzwon — a jak powinien człowiek, odpowiadać na głos i wezwanie jego. — *Z. M.*

Zwołuję żywych — powiedział wielki człowiek, mówiąc o dzwonie.

Zwoływanie głosem ludzi, to zadanie dzwonu pierwsze i najważniejsze.

a) Człowiek na ziemi podwójnem żyje życiem. Jedno to życie wspólne mu z zwierzęciem polega na zaspokojeniu potrzeb ciała. Zaspokoić głód, pragnienie, dogodzić

zwierzęcym chuciom i namiętnościom — ot i życie! Lecz, kto z ludzi tem tylko żyje życiem, nie różni się wiele od zwierzęcia, życie takie jest niskie, podłe, bezwarte i nie daje temu, który je wiedzie żadnego wdzięku. Człowiek przeznaczony przez Stwórcę do życia wyższego tam kiedyś w zaświatach, w życiu przyszłem, już tu na ziemi jest powołany do życia, polegającego na używaniu władz ducha. Stąd to Stwórca wlał człowiekowi w serce dziwną tęsknotę, której żadne dobra ziemskie zaspokóić nie mogą — stąd prawem bożem nakazano od czasu do czasu zapomnieć o troskach codziennych i wznieść się myślą w świat inny, wyższy, świat ducha. A człowiek tak jest silnie związany potrzebami swemi codziennemi z ziemią, że dzień za dniem mija, a on nie ma czasu podnieść myśli ku górze. Aby więc nie zapomniał o tych wyższych krainach, z których pochodzi, odzywa się w pewnych odstępach czasu głos dzwonu. Więc codzień rano, w południe i wieczór wzywa cię odgłosem swoim do modlitwy.

Więc w dzień święta każe ci opuścić chatę i iść do kościóła, aby wysłuchać kazania i uczestniczyć Najświętszej ofierze, którą kapłan Bogu przedwiecznemu składa.

I płyną na skrzydłach jego pieśni myśli ku górze. Głos dzwonu wykrada z tajników i zakamarków Twej duszy najtajniejsze myśli i życzenia i niesie je w zaświaty hen — aż przed tron Najwyższego. On niby oddech Twej duszy daje ci znać, żeś istotą wyższą od zwierzęcia, że ziemia to nie stała siedziba twoja, że ojczyzna twa wiekuista tam wyżej, tam w górze! Dzwon wzywa żywych do modlitwy!

b) Człowiek nie sam żyje na świecie, lecz wespół z innymi ludźmi. Są sprawy w życiu każdego z nas, które tylko nas samych obchodzą. Lecz są też sprawy, takie, które obchodzą całą społeczność, czy tą społecznością będzie gmina, czy parafja, czy kraj, czy państwo całe. Są sprawy w życiu ludzkiem, takie, które załatwić może sam czło-

wiek w pojedynkę — ale są też takie sprawy, dla których załatwienia, dla których rozwiązania potrzeba wysiłku całej społeczności ludzkiej. Są chwile, kiedy trzeba wysiłku wspólnego, a wtedy bije głos dzwonu i woła wszystkich do czynu. A głos ten uderza o serca ludzkie i mówi: i ty człowiecze — i ty jesteś członkiem społecznym — jesteś obywatelem, jesteś synem wspólnej matki. Tam gdzie inni stają do czynu, do pracy wspólnej, do wspólnego wysiłku, tam i ciebie zabraknąć nie może! I chociaż może jeszcze się w duszy odezwie samolubstwo, chociaż może duch partyjny będzie się oburzał, głos dzwonu przytłumi go.

Do czynu! do wspólnej pracy! do wspólnego wysiłku! — Dzwon woła do czynu żywych.

c) Są chwile, chociaż rzadkie, tak w życiu prywatnem każdego z nas, jakoteż w życiu zbiorowem, kiedy radość i wesele przepajają serce człowieka. Minęło nieszczęście, które mi zagrażało — sprawy osobiste dobrze się układają. Są sprawy wspólne całemu społeczeństwu, całemu narodowi — odparto wroga od granic, pokój zagościł, święto u narodu całego. I wtedy odzywa się dzwon. Serce jego bije niby echo serc ludu i niesie na skrzydłach swej pieśni radość od duszy do duszy, od chaty do chaty, od sioła do sioła, od miasta do miasta. Serce jego bije radośnie, a pieśń weselna przepełnia kraj cały. Dzwon głosi radość żywym.

d) Są też w życiu człowieka chwile lęku i smutku. Zagraża nieszczęście, nad głową zbierają się chmury, z których lada chwila grom może uderzy — trwoga ściska serce biednego człowieka. Zbierają się też chmury groźne nad całym narodem, nad społecznością całą. I wtedy rozlega się głos dzwonu, bijący na trwogę. A jako gromadzą się i skupiają ptaki przed napadającym na nie jastrzębiem, tak na głos dzwonu bijącego na wspólną trwogę, gromadzą się ludzie, zbiera się społeczność cała, cały naród, aby wspólnym wysiłkiem grożące odeprzeć niebezpieczeństwo.

Tak więc w przeróżnych okolicznościach życia naszego, tak prywatnego, jak publicznego, rozchodzi się głos dzwonu, który nas, jak anioł boży w zaświaty prowadzi, jak dobry przyjaciel do czynu woła, w radościach i trwodze jednoczy.

Dzwon spełnia więc swój obowiązek. On nas woła, on się z nami modli, z nami płacze, z nami się weseli, ale z nami żywymi. I my mamy obowiązek iść za głosem dzwonu, za wspólnem wezwaniem. Lecz iluż ludzi żyje naprawdę pełnem życiem?!

Tak! — żyjesz bo się ruszasz, bo oddychasz, bo jesz, bo sobie dogadzasz — lecz i na tem koniec! Głuchyś jednak na głos wyższy, głuchy na odzew społeczny, głuchy tam, gdzie chodzi o rzeczy wyższe, o dobra wspólne! Niedawno biły dzwony w całej Polsce na radość i na święto z okazji odrodzenia Ojczyzny. A tak wielu było synów tej matki zmartwychwstającej, którzy się wcale nie radowali z jej zmartwychwstania!

Była niedawno chwila, kiedy wróg i to wróg straszny zbliżał się do nas z łykami niewoli w ręce. Dzwony biły na trwogę. Jakże mało synów na pierwszy głos dzwonu spieszyło na ratunek!!

Dzisiaj również do wspólnego czynu wołają dzwony nasze. Ratować się przed nędzą, przed klęską ekonomiczną, a jakże mało żywych, którzy by na ratunek spieszyli?!

Parafjanie tutejsi! Bądźcie żywymi członkami narodu! Ile razy głos waszych dzwonów się odezwie, pamiętajcie, żeście członkami wielkiej rodziny! Ile razy dzwon was do czynu wzywać będzie, zakasać wam rękawy i brać się do czynu!

II.

Mortuos plango — opłakuję umarłych.

Płacz po umarłych, to drugie zadanie i obowiązek dzwonu. Życie się kończy. Koniec życia doczesnego zwie się śmiercią. I życie wyższe, duchowe może również jak

życie zwierzęce zamierać. Jak życie uważamy za największe dobro, tak śmierć uchodzi w oczach ludzkich, za największe złe. I słusznie. Jak długo człowiek żyje, może wszystko — dla żyjących niema nic niemożliwego! Z chwilą, kiedy ustaje życie, kończy się możliwość pracy, czynu, zasługi. To też przyjęło się między ludźmi, iż opłakują tych, którzy z życiem doczesnem się żegnają. Ściska się serce matki, gdy na trumnę dziecka rzuca grudkę twardej ziemi — serce żony, gdy żegna towarzysza swego życia, płacze dziecko, kiedy musi iść za trumną ojca, matki... A dzwon, jakby odczuwał ich ból, również się roztkliwia, głos jego szlocha, łka! Iluż to on będzie towarzyszył w ich ostatniej cmentarnej podróży?! Po znojnem życiu przyjdzie ci człowiecze pożegnać ten świat boży. Niewiele zapewne nazbierałeś zasług, które by cię przed Bogiem. usprawiedliwić mogły. Musisz stanąć przed Bogiem, Sam — sam jeden — już nie możesz sobie niczego więcej wysłużyć. Pomóc ci mogą jedynie ci, którzy tam daleko na nizinach ziemskich zostali, których ty kochałeś, którzy ciebie kochali. I oni orędują za tobą przed tronem Najwyższego, modlą się, ofiarują zasługi Jezusa w bezkrwawej ofierze. Dzwon zbiera te wszystkie dobra duchowe na skrzydła swej pieśni — i niesie hen — w górę, ku Bogu, przynosząc ci ulgę, otwierając podwoje niebieskie!

Lecz płacze też dzwon i po tych, którzy bawiąc jeszcze na ziemi, duchowo zamarli. Iluż to ludzi chodzi po ziemi, którzy trwają w gnoju, jak robaki?! Nic ich nie obchodzą rzeczy wyższe, sprawy wspólne, narodowe. O! jakżeż kwili i płacze nad nimi dzwon, jak woła na nich: Surge, qui dormis — obudź się, który śpisz!

Jakżeby należało rozchwiać w dzisiejszych czasach dzwony? — Jakieżby serca należało włożyć w ich spiżowe piersi, aby rozbudzić tych wszystkich, którzy dzisiaj śpią — co więcej, którzy pomarli dla sprawy świętej, bożej, narodowej, a żyją życiem sobków i samolubów?!

III.

Fulgura frango! — łamię pioruny!

W naturze często się zdarza, iż się nagromadzą jakieś potężne siły, które się muszą wyładować. Powstaje wtedy burza. Niebo zasłania się czarną płachtą chmur, a w chmurze coś się gotuje, coś się waży, coś kipi, niby w piekielnym kotle. Od czasu do czasu błyskawica przeżyna widnokrąg oślepiającem światłem. Lęk pada na serca ludzkie, lęka się nawet zwierz, roślina tuli swe listki, kwiat zwija swój kielich.

I w życiu tak samo. Czasem jakiś gniew boży zawiśnie nad człowiekiem — jakaś zła dola chmurą zaciemni nam życie — grom po gromie uderza w nasze szczęście. To śmierć najdroższych naszych — to klęska majątkowa, to choroba, lub inne nieszczęście rodzinne. I niema mocy, niema siły, by ten gniew boży, tę złą dolę odwrócić. Zwija się człowiek w bolu — chowa się sam w sobie — szuka opieki, ratunku, schronu u ludzi. Napróżno! Siła losu, siła przeznaczenia jest potężniejszą od słabego człowieka!

I wtenczas głos dzwonu zlewa się z prośbą człowieka, bije serce w pierś spiżową — idzie głos ku górze, łącznie z modlitwą błagalną: Boże zmiłuj się! Panie ulituj się!

A dziwna jest moc modlitwy, moc uczucia, które się miesza z głosem dzwonu! Znika chmura — znika grom — nieszczęście mija — fala życia się uspokaja — szczęście powraca.

Dzwonom waszym dano dzisiaj na chrzcie, podobnie jak waszym dzieciom, gdy się je do świętej przynosi krynicy, imiona. Józef — opiekun Dzieciątka Jezus. Jako On opiekował się niewinnem Dzieciątkiem w czas niebezpieczny, tak wasz dzwon Józef ma was bronić przed burzą życia! Marja — Ona was wszystkich przed tron Wszechmocnego przedstawia. Niechże was broni i tu przed za-

gniewanym majestatem! Walenty — patron parafji waszej, patron od zarazy — niech się wstawia za wami, by chaty wasze zaraza mijała. Oto te dzwony wasze będą łamały pioruny bożego gniewu, ale i wy je łamcie życiem cnotliwem i uczciwem.

Oto stosunek człowieka do dzwonu i dzwonu do człowieka. On cię woła za życia do czynów szlachetnych — idź za głosem jego!

On cię opłakuje po śmierci — Służ tak Bogu, byś nie potrzebował podzwonnego użalenia!

Pioruny boże on ma łamać — Żyj tak, byś się nie potrzebował bać gniewu Bożego. Amen.

30 października 1921.

Pogrzeb poległych

od ukraińskiego granatu dnia 15 grudnia 1918 r. pod Niżankowicami, kilku uczniów gimnazjalnych i jednej legjonistki.

„Ziemia nasza, ta ziemia cmentarna, wygląda — Panie! jak czasza ofiarna, w którą poganie zlewali krew wrogów — dla swoich bogów".

Kor. Ujejski.

Rzadko na świecie można spotkać ziemię tak przepojoną krwią ludzką, jak nasza polska ziemia.

Polska, mlekiem i miodem płynąca, była zawsze przedmiotem pożądania! Pchały się w Jej granice plemiona wygłodzone, biedne. A że głód i nędza, to najwięksi rozbójnicy, więc też ziemia nasza była po wsze czasy widownią bojów i rozbojów.

A zwłaszcza ściana wschodnia była ciągle wystawiona na przepotężny napór! Tam od wschodu, od Azji — od plemion na poły dzikich, musieliśmy ciągle wytrzymywać napady! Watachy krwiożerczych tatarów, zalew turecki, parły wciąż o wschodnią ścianę Ojczyzny.

To też szedł na wschodnie kresy polski żołnierz — żołnierz — osadnik! W jednej ręce dzierżył sochę, w drugiej miecz. Jedną ręką pruł ziemię, drugą bronił się przed kozakiem, turkiem, czy tatarzynem.

Nie było roku, żeby wschodnia rubież nie płonęła. Pożar oświecał poranek, pożar był zorzą zachodnią. A przy jego świetle rozlegał się jęk zabijanych starców, krzyk mordowanych dzieci i niewiast, szloch branych w jasyr polskich dziewic!

Polska położyła się tu jako przednia straż zachodu — płonęła, ciekła krwią, broniła się! Słusznie też śpiewa o Niej poeta Kornel Ujejski:

„Ziemia nasza, to ziemia cmentarna,
Wygląda Panie! jak czasza ofiarna,
W którą poganie zlewali krew wrogów —
Dla swoich bogów!“

Minęło przeszło sto lat snu letargicznego!

Po walkach Ojców naszych, po powstaniach, po trudzie przodków, znów nam, dzisiejszemu pokoleniu stare zadanie przypadło w udziale! Ziemia polska stała się terenem i widownią najstraszniejszej, jaką ludzkość dotychczas przeżyła — walki! Przez przeszło cztery lata przewalały się po niej fale ognia i krwi! Płonęły siedziby ojców naszych, rozsypywały się w gruzy stare grody nasze, zbezczeszczone, próżne i otwarte stały świątnice nasze!

Ziemia nasza popruta rowami, zdrutowana drutem kolczastym, niby niewolnica ujęta w kajdany, stękała pod nogą obcego żołnierza!

Polska stała się cmentarzem narodów, a przedewszystkiem cmentarzem swoich własnych dzieci! Kładli się w niej na wieczny spoczynek nie tylko ci, którzy szli z bronią w ręku w obcej służbie, ale padały od kul i niewinne dzieci i niewiasty bezbronne, do których na rozkaz jasnych panów strzelano, jak do psiąt bezdomnych, a wściekłych! Na drzewach przydrożnych wisiały trupy starców, których powieszono na rozkaz ich cesarskich i królewskich mości, bez względu na to, że to byli ojcowie synów, ginących na polach bitew właśnie za te cesarskie i królewskie moście.

Dziś, kiedy ich moc, zdało się niezłamana, pękła jak bańka z mydła, kiedy Ojczyzna nasza zrzuciwszy kajdany, do wolnego lotu skrzydła rozpięła, jeszcze Jej stare wrogi wstać nie dają.

Podszczuli, podburzyli lud bratni, dali mu do ręki nóż i kazali mordować własnych, bo związkami krwi przez wieki złączonych braci!

I kiedy już na zachodzie przygasł ogień, zaczyna się na nowo rozpalać na wschodzie. Stanął przeciwko nam do walki lud pobratymczy, a raczej przewodnicy jego i nie chce nam pozwolić mieszkać pod starym, wspólnym dachem, chce nam odebrać prawo do życia, chce nas wyrzucić z wschodniej rubieży!

Musieliśmy na zew polskiej ludności stanąć do apelu, musimy bronić naszych praw odwiecznych, musimy bronić tego skrawka ziemi, którą dziadowie nasi krwią zlali obficie. I znów jak dawniej, przed wiekami, płoną sioła — ginie lud!

Kto wziął się dziś pierwszy do broni na zew Króla — Ducha Polski? Dzieci! Nowy typ. Przed wiekami widzieliśmy na kresach Rzeczypospolitej żołnierza — rolnika, dziś widzimy, jak kresów wschodnich broni rycerz — uczeń, rycerz — dziecko, rycerz — niewiasta!

Co za dziwny, sercem wstrząsający widok?! Stare, polskie grody Lwów i Przemyśl, które w ciągu wieków widziały nieraz pod murami swemi czerń tatarską i kozacką i dziś są otoczone i zagrożone! Wprawdzie nie przez turków, ni tatarów, ale przez lud bratni, a to właśnie bolów ból, który wierci w duszy, jak zły robak. Codziennie słyszymy odgłosy strzałów, codzień na okrąg miasta padają granaty! Starsi, którzy powrócili po kilkoletniej tułaczce z krwawych pól, rozeszli się do domów i nawet nie chcą słyszeć o tem, co się naokół dzieje.

I któż się podejmie obrony tych starych grodów naszych? tego dorobku naszego dziejowego?! Rycerz — dziecko! Rycerz — dziewoja polska!

Mówiono, że wiek dwudziesty będzie wiekiem dziecka, w tem znaczeniu, że świat skieruje wszystkie swe wysiłki ku temu, aby dziecko otoczyć szczególniejszą opieką i miłością. Tak! Stał się wiek dwudziesty wiekiem dziecka, ale wiekiem dziecka lejącego krew na pobojowiskach, a u nas w Polsce w szczególniejszy sposób wiekiem dziecka, broniącego swej Ojczyzny i lejącego za Nią —

Matkę, swą młodą, gorącą krew! Oto tu, przed nami, w tych prostych, czarnych trumnach spoczywają zwłoki dzieci — bohaterów, i tej najdzielniejszej z dzielnych polskiej dziewoi — bohaterki! Porzucili ławę szkolną, zamienili książkę na karabin i poszli w bój, by bronić starców, niewiasty i młodsze od siebie dzieci od najazdu rozpalonego nienawiścią aż do białości bratniego ludu, a kto nie wie nawet, czy nie przed rzezią?!

Historja ich krótka, jak błysk wystrzału. Na pierwszy odzew poszli w bój. Jeszcze nie umieli władać bronią, ale serce i zapał za broń stanęły! Poszli i padli w pierwszej bitwie pod Niżankowicami, rażeni celnym pociskiem armatnim! Krew ich gorąca, młoda, wsiąkła w zimną, śniegiem i lodem pokrytą, ale rodzinną ziemię!

Cześć Im! Cześć Dzieciom Bohaterom! Cześć godnym następcom rycerzy z Psiego Pola, Grunwaldu, Cecory, Chocimia!

Cześć Tobie, polska dzieweczko! następczyni Chrzanowskiej Pustowójtównej! Jak długo Polska takie mieć będzie córki, nie zginie!

Miejsce Twoje było nie tam, gdzie kula złowroga koło uszu świszcze, gdzie się krew leje, lecz tam, gdzie spokój i cisza. Mogłaś jako kobieta spełnić swój obowiązek względem braci, obwijając ich rany i obcierając krew i pot z ich twarzy. Tyś swą krew z ich krwią zmieszała, aby nią obmyć polską ziemię, by nią zapłacić za wolność Ojczyzny.

Tobie — dzieweczko polska cześć! Cześć wam stroskani rodzice, którzy od tych prostych trumien wzroku i serc oderwać nie możecie! Ból ściska Wam serca, to prawda. Ale niech Wam to będzie pociechą, że dzieci Wasze za świętą zginęły sprawę, że ich imiona przejdą do historji, a pamięć ich powiększy nasz skarbiec narodowy! Jakoż mamy uczcić my pozostali, tych młodych bohaterów naszysh, te polskie orlęta?!

Ślubujemy Wam dziś, że kości Wasze zawsze w polskiej ziemi spoczywać będą! Nie damy ziemi, skąd Wasz ród!! Ślubujemy tu, u trumien Waszych, że pamięć Wasza w sercach naszych ciągle żyć będzie! Ślubujemy Wam, że nam pozostałym, starszym i młodszym, wzorem ofiary będziecie! Kiedy serca nasze mróz obojętności ściskać zacznie, do Waszych mogił je zbliżymy, by się tam napowrót ogrzały!

Niech ta ziemia, za którąście młode życie dali, będzie Wam lekką, Wam, chlubo Ojczyzny, Wam kochane bohatery nasze!

Boże! wejrzyj łaskawie na tę niewinną ofiarę Abla i przyjmij te dusze czyste do wiekuistej chwały Twojej. Amen.

Dnia 15 grudnia 1918.

Nowy rok 1919.

Przemowa do żołnierzy.

Nowy rok 1919-sty zapisze się w dziejach naszych, jak żaden inny! Kiedy w roku 1812 stanął cesarz francuzów Napoleon z armją na polskiej ziemi z zamiarem pokonania Rosji i odbudowania Polski, wołał wieszcz narodowy Adam Mickiewicz pełen uniesienia:

O wiosno! kto ciebie widział w naszym kraju?!

Pamiętna wiosno wojny! wiosno urodzaju!... Wtenczas dopiero zabłysła nadzieja, a już wszystkie serca miłujące Ojczyznę biły żywo! A nam rok 1919-sty nie tylko ułudną nadzieję, ale prawdziwą przynosi rzeczywistość. To, o czem marzyli dziadowie i ojcowie nasi, staje się rzeczywistością — to, o czem każdy z nas marzył jak o nigdy nieziszczalnem szczęściu, staje się prawdą, iści się cudownie śniony sen. — Słowo ciałem się staje! Bóg, który kieruje losami narodów, złamał potężne, wywyższył, uwielmożnił w pokorę zamożne. I jak niegdyś wołał wieszcz Adam: o wiosno, kto ciebie widział w naszym kraju?! tak i dziś na początku 1919 roku, u kolebki jego powtarzać nam: o roku! szczęśliwy, kto ciebie doczekał w polskiej ziemi! roku, który nam po latach niewoli wracasz wolność — bądź błogosławiony!

Ale — zawsze to „ale".

Czy się już wszystko ziściło? — czy się już wsystko wypełniło? Czy możemy już rozpocząć weselne uroczystości z przyczyny przebudzenia się z długiego snu Ojczyzny naszej?!

Niestety! Jeszcze nie!

Przeszedł ponad światem huragan straszliwy!

Burza dziejowa wstrząsnęła fundamentami świata, powyrywała z korzeniami stare dęby, zmiotła średniowieczne feudalne urządzenia — stare przesądy w proch się rozsypały, rozwiały się niby mgła!

Jak po burzy nie zaraz okazuje się słońce w całej pełni swego blasku — jeszcze od czasu do czasu grom uderzy — jeszcze się chmury przewalają po niebie, wiatr je żenie w tę lub ową stronę, tak i dziś na świecie. Burza się skończyła, ale się jeszcze chmury przewalają po widnokręgu — jeszcze tu i ówdzie grom uderzy! Jeszcze się zawierucha dziejowa nie uspokoiła zupełnie. Skończył się pożar świata, ale jeszcze płoną zręby — jeszcze tu i ówdzie płomień przyduszony strzeli w górę, jakby szukał nowej karmy, nowych ofiar! U nas w Polsce jeszcze na wszystkich krańcach zawierucha! codziennie płyną rzeki krwi i łez!

Więc co czynić?

Kiedy grad zniszczył rolnikowi plon, to go przeorywuje i na zniszczonej niwie nowe sieje ziarno, jeśli chce czasu żniwa wyjść na zagon po zbiór. Nie wolno mu założyć rąk i czekać w niemej rozpaczy, bo go rozpacz w zimie nie wyżywi!

Kiedy pożar niszczy domostwo, nie wolno gospodarzowi przypatrywać się dziełu zniszczenia bezradnie! Trzeba ogień dogasić, gruzy usunąć, trzeba na nowo budować!

I u nas burza zniszczyła nam plon! I nam spłonął nad głowami dach!

Rzućmy okiem po ziemi naszej! Zniszczona od krańca do krańca! Tylko tysiące krzyżyków sterczą w niej, nieme świadki Anioła śmierci, który po niej przeszedł! Pożar zniszczył nam nie tylko mienie doczesne, ale też i wewnętrzne mienie, urządzenia społeczne, które nam stary dom spajały.

Wszystko to wśród ogólnego pożaru runęło!

Na każdem miejscu widzimy zamieszanie! chaos! A my gospodarze tego domostwa co czynimy? Przypatrz się! jedni chodzą jak mary i czekają na kogoś, na coś! Czekają na pomoc z zewnątrz, na jakąś obcą straż ogniową, która przyjdzie i ogień ugasi. Inni zobojętnieli powtarzają blademi wargami: jakoś to będzie! Są i tacy, którzy oświetleni blaskiem płonącego domu wesoło ucztują! A nikt nie chce się jąć gaszenia ognia, nikt nie myśli o usuwaniu gruzu, nikt nie myśli o tem, że na miejscu starej zniszczonej budowy trzeba kłaść nowe fundamenty, nową rozpocząć budowę!

Głupi i ślepi! nie widzą, że koło palącego domu zebrały się tłumy zbrodniarzy — złodziejaszków, którzy czekają tylko na chwilę sposobną, by resztkę uratowanego mienia rozgrabić!

Głupi! podobni do gospodarza, który miasto pożar gasić, rozpacznie dłonie łamie!

Dość tego!!

Zburzyć stary porządek łatwo, lecz trudno zbudować na to miejsce coś nowe, a trwałe i dobre!

Obcy nam w tej pracy budowania nie pomogą! Czy myślisz że Francuz lub Anglik będzie karku nadstawiał i krew przelewał dla pięknych oczu Polaka?!

Nie! sami musimy zawinąć rękawy i wziąć się do pracy — sami musimy sobie dom urządzić!

Więc wołam dziś na początku roku „do pracy"!!

Żołnierz ma obowiązek ugasić ogień, który jeszcze nie wygasł i pożera substancję naszą, nasze mienie narodowe, dach i zręby wspólnego domostwa naszego!

I żołnierz nasz, chociaż młody, spełnia ten obowiązek z młodzieńczym iście zapałem! W Bogu nadzieja, — że mu się uda w tym roku niszczący płomień zupełnie ugasić.

Lecz niech się równocześnie zabiorą inne stany do gaszenia ognia wewnętrznych zwad, stronniczych niechęci,

niech się wezmą do wspólnej dodatniej pracy, a rok ten nowy da nam owoc pracy, odnowiony dom ojczysty!

Lecz o jednem nam pamiętać trzeba, a mianowicie o słowach psalmisty:

Jeżeli sam Pan domu nie zbuduje,
Na próżno nad nim rzemieślnik pracuje!

To też wznieśmy dziś serca w górę i prośmy o pomoc w tej twórczej pracy wszechmocnego Boga!

Panie! wzmacniaj słabe nasze dłonie!
Panie! utwierdź słabe nasze serca!
Panie! prowadź nas drogą dobrą i prostą!
Panie! doprowadź nasze zamiary do celu!

A służyć Ci wiernie będziemy, Ciebie czcić i kochać do ostatniego tchnienia, jak długo życia i sił starczy. Amen.

1 stycznia 1919.

Pierwsza konstytucja 3 maja

W WOLNEJ POLSCE.

PRZEMYŚL 1919.

Życie człowieka składa się z dni — a życie narodów z okresów, które w historji poszczególnego narodu mają to samo znaczenie, co dzień w życiu ludzkiem.

Z tego stanowiska patrząc na dzieje naszego narodu, stwierdzamy, że dzisiaj zaczyna się drugi dzień życia narodu polskiego.

Z ciemności, ze zmierzchu legendarnego bytu tak, jak każdy zresztą naród, występujący na scenę świata, wynurza się Polska na świat boży — wschodzi nad jej głową słońce chrześcijaństwa, które na owe czasy było szczytem kultury.

Rozpoczyna sie dzień — historja bytu politycznego. Jej wielkie duchy zrozumiały dobrze swoje posłannictwo obrony Zachodu przed Azją i postanowiły tę misję wypełnić. I w pierwszej połowie dnia świeci słońce nad polską sarmacką niziną — a w promieniach tego słońca krzepi się duch narodu, tężeje, mocnieje, a choć czasem na firmamencie chmury się pojawiają, to je podmuch narodwego, zdrowego ducha wnet rozwieje. Czas od Mieszka I. aż do Jagiellonów to przedpołudnie. A w samo południe zaświeciło słońce wspaniałe! — Żar jego rozszedł się po członkach — naród poznał moc swoją i tęgość swoją. Epoka Jagiellonów — zwycięstwo Grunwaldzkie nad wrażym krzyżakiem — rozszerzenie granic — Unia z Litwą i Rusią — to sukcesy polityczne.

Lecz i na innych polach nie brak tężyzny. — Literatura, sztuka przeżywają złoty okres — dobrobyt ekono-

miczny się wzmaga — Polska mlekiem i miodem płynie! To południe w historji narodu polskiego.

A potem zaczyna się odwieczerz! Jak w upalny dzień zbierają się chmury, ciągnie burza — huczy powietrze! — Już od czasu do czasu grom uderzy, już tu i tam widać płomień, który czerwonym językiem strzechę oblizuje. Aż za czasów Jana Kazimierza rozpętała się burza wściekła tak, że się zdawało, iż kłęby czarnych, jak noc chmur na polską ziemię się zwalą i nic nie ocaleje! Potop! Tylko nad Częstochwą jaśnieje pasemko światła!

Byli jeszcze tacy w narodzie, którzy pożar ugasić chcieli — byli wodze, — byli króle, — prorocy, — były duchy jasne! — Ale im serca i dusze mdlały i nie mogli zagasić pożaru, dach płonął nad głową — płonął!

Aż gdy się miało już ku wieczorowi, zda się że osłabł zupełnie duch narodu. Przyszły czasy Sasów z zasadą — „jedz i używaj“ — przyszły zdrady i sprzedawczycy, którzy miast gasić ogień, założywszy ręce, całą siłą weń dmuchali. A strzecha nad głową już spłonęła — zrąb domu się zwalił i przyciesie już dogorywały. Miało się pod wieczór.

Bywa czasem tak w naturze, że po podwieczornej szalonej burzy rozjaśnia się zachodni rąbek widnokręgu. Pokazuje się krwawe słońce w całej swej okazałości — patrzy swem ognistem okiem na świat — nad sobą ma ciemną brew jeszcze nierozwianych chmur — patrzy na spustoszenie, które burza na świecie wyrządziła. I idzie na świat zorza — taka piękna, taka złota, że pod jej wpływem roztapiają się czarne cielska obłoków — zwolna nabierają w siebie złotych barw — bronzowy kolor siły je rozpiera. Prawdziwi gladjatorzy mocy! Ma się wrażenie, że noc przezwyciężą. Niestety! już zbyt późno! Noc je zwycięża! Mrok idzie nieprzepartą siłą!

Tak się też zakończył pierwszy dzień historycznego żywota Polski.

Pod sam wieczór, wtenczas, kiedy noc niebytu politycznego całą nieprzepartą mocą konieczności się zbliżała,

zabłysła całą pełnią blasków i promieni słońca złota „Konstytucja Trzeciego Maja!“

Ludzie mądrzy, duchy wielkie, zrozumiały, że źle się dzieje w narodzie, że noc ducha się zbliża, więc zebrali się na Sejm i pierwsi w Europie dali Polsce Konstytucję. Równość i wolność — zniesienie zapór, odgradzających stany. Kiedy jeszcze na zachodzie kulturalnym o tem nie myślano i kiedy myśl o równości i wolności miano dopiero wyciosać gilotyną i rewolucją krwawą, to Polska przed nocą swego niebytu zdobyła się na pierwszą konstytucję, głosząc światu: Vivat król, vivat naród, vivant wszystkie stany!!

Ale już było zbyt późno! Noc się zbliżała gwałtownie szybko. Na zorzę, która na polskiem zajaśniała niebie, padają cienie i to nie tylko z jednej strony, ale z trzech. Od wschodu caryca — niemiecka córa, rozpustna aż do zwierzęcości, nasyła chmarę ciemnego żołdactwa. — Od południa druga pani, również niemka, niby płacze ale targa — i od zachodu znów niemiec, dawny lennik, pruski król, tchem zagłady dmucha na Polskę.

Idzie noc.

Noc — to drugi okres polskiego życia.

Noc straszna — noc niewoli!

Sto dwadzieścia trzy lat snu! ciężki, strasznie ciężki okres! Polska zaczyna śnić. A sen, my to wiemy, jest odbiciem wrażeń, które się w ciągu dnia w mózgu zebrały. A w mózgu narodu nagromadziło się wrażeń aż za wiele, ale same ciężkie, same przykre, same bolesne, te z odwieczerza naszej historji, dnia naszego politycznego bytu.

We śnie człowiek często bardzo cierpi — przychodzą zjawy, zmory, które się na duszę kładą i męczą ją. Często zdaje się człowiekowi, że leci w przepaść — często, że go furje gonią, a on kroku naprzód postąpić nie może, — często zamykają go w ciasnej klatce, a ściany walą się na niego — zda się że mu pierś zgniotą — a wyjścia niema. Więc majaczy, zrywa się, pot go oblewa — lęka

się, otwiera oczy i jeszcze na jawie nie chce wierzyć, że to tylko była ułuda.

Tylko czasem zjawi mu się postać Anioła Stróża, który kładzie dłoń na spoconą głowę i mówi: „Nie bój się!“ — to mara — to sen; jawa będzie lepsza.

Polska prześniła sen straszny!

Śniła — oto przychodzą zbiry — kują Ją w kajdany i zamykają w ciasnej izbie. Tchu jej brakuje i robi ciężko piersią — Tchu! tchu! — woła.

I przychodzi oprawca i język Jej wyciąga i wydrzeć go chce i szepcze i chichocze: „Nie będziesz mieć języka — nie będziesz mogła się skarżyć“.

I czarne ptaki na jej pierś osiadły i kraczą — a kraczą i dziobią, a dziobią aż do ciepłej tętnicy serca dobrać się chcą i krew jej wypić, wychłeptać. — „Nie będziesz mieć krwi! — nie będziesz żyć! — zczeźniesz!“

I katy przychodzą z łańcuchami i ręce Jej wiążą. „Nie będziesz miała rąk — nie będziesz się bronić“.

A Ona biedna ciężko oddycha i śpi.

Ale się zrywa — ale się broni — ale się przed marą opędza. Podnosi pięść, by zmorę odpędzić, by się uwolnić, targa łańcuchy.

Lata 1830 — 1863. Powstaje — ale ile razy pówstanie, zmora przepotężna wali pięścią w głowę i znów biedna w sen zapada. I żużel pokrywa duszę — tępieje duch. Rodzą się sprzedawczyki, którzy Jej do ucha szepcą: „Dobrze tak! Dobrze tak!“

I tylko Anioły Stróże czuwają nad Nią i od czasu do czasu zmęczony mózg uspokoją. Wieszcz Adam Jej mówi: „Cicho! śpij — wstaniesz! Dzień bliski! Duch Słowackiego Jej szepce: „Cicho! spełnij ofiarę — dzień nadejdzie!“ Tylko Zygmunt Krasiński szepce o zmartwychwstaniu: „Resurrecturis!“

I tylko Wyspiański wyciąga ręce po Jej serce i mówi: „Polska tu! w sercu ludu“.

I wreszcie ci prorocy narodu — duchy jasne przerywają zmory.

Aż nad samym ranem znów się burza zerwała. Och! jaka burza?! Takiej jeszcze świat nie widział. Wojna światowa! Bije grom po gromie — świat cały w gruzy się rozpada.

Idą synowie śpiącej Matki w bój. Zbrojni od stóp do głowy, od głowy do stóp w stal okuci, z maskami na twarzach, niby potwory, i w powietrzu huczy... a huczy! Ale i oni, jak matka snem zmożeni, nie wiedzą gdzie iść. Tragizm jakiego świat nie widział! Strzelają do siebie, ranią się, wnętrza sobie rozdzierają. Jedni ciągną z Austrją — zda im się, że dobrze robią — drudzy z Moskalem — zda im się, że tak być ma — inni z Prusakiem — zdaje im się, że tak dobrze. — I broczy się bagnet brata — krwią brata. A matka jeszcze ciągle śpi.

Aż zajaśniało słońce! kruszą się okowy! Spadają kajdany! Matka oczy przeciera! Taż to był sen — nic tylko sen! Zmora ciężka, straszna! Bo oto wstaje poranek — słońce świeci — w Warszawie sejm — Konstytucja 3-go Maja — wszystkie stany przy pracy.

Vivat naród! Vivant wszystkie stany!

Nad Jej zmęczoną głową rozpina skrzydła ten sam biały orzeł — tylko, że skrzydła ma rozpięte do lotu. — Przy łożu Jej stoją Jej wielkie duchy: i Mieszko i Bolesław Chrobry, który rozszerzał Jej granice, i Kazimerz Wielki, który budował Jej grody, i Jadwiga, która ofiarną dłonią narody skuła na wieczną wędrówkę, i Jan Kazimierz, który Ją z potopu ratował! Są wieszcze: Oto Skarga, który Ją proroctwami ratować chciał, a nie mógł. Są ci, którzy przed nocą do snu Ją utulili. Jest Kołątaj, twórca Konstytucji. Są ci, którzy Ją w śnie pocieszali. Stoją Mickiewicz, Słowacki, Krasiński — ta Trójca polskich duchów. Stoi też rycerz. — Nie ma piór husarskich przy ramionach — ale ma skrzydła miłości przy sercu przypięte... rycerz — chłopię nieletnie. Są wodze — potomkowie

Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Janów Sobieskich. Spełnia się legenda o śpiących rycerzach, którzy na głos dzwonu wstać mają. I dzwon bije jakby na Anioł Pański, ze snu Ją budzi: Wstań Matko! Wstań! Sen przeszedł! Zaczyna się dzień długi — a jasny — a wesoły! Wstań Matko! Wstań!

I wstała. Oto dziś po raz pierwszy obchodzimy dzień 3-go Maja — dzień Konstytucji. Ostatnie błyski zorzy wieczornej, które opromieniały Matkę — Ojczyznę do snu, zabłysnęły w zaraniu dnia drugiego Jej życia. Witamy ją tymsamym hejnałem: „Witaj Majowa Jutrzenko! Świeć naszej polskiej krainie!"

Tylko druga zwrotka tej pieśni, tego hejnału wspaniałego musi być inną: nie — „Uczcimy Ciebie piosenką przy hulance i przy winie", ale uczcimy Ciebie inaczej.

O tem chcę do Ciebie, Narodzie polski, przemówić w części drugiej.

Wypływamy na pełne morze — rozpoczynamy drugi dzień naszego politycznego życia. Na konferencji narodów określają arbitrzy świata granice nasze. Tyczy je własną krwią i trudem żołnierz polski. Cokolwiek się stanie — czy się ziszczą w zupełności nadzieje nasze, czy nie, faktem dziejowym jest, że Polska żyć odtąd będzie jako niezależne Państwo. Kiedy się naród budzi do niepodległego bytu, powinien się na tą nową drogę zaopatrzyć, powinien wysnuć wnioski z dnia pierwszego, ze swojej historji przedrozbiorowej, — by mógł uniknąć tych niebezpieczeństw, które go o śmierć polityczną przyprawiły.

Stąd na czasie pytanie: Co zgubiło Polskę w pierwszym dniu Jej bytu?

Przewaga jednego stanu nad resztą narodu. — Jak w ciele ludzkiem, jak w każdym żywym organiźmie są różne członki, a każdy z nich ma swe znaczenie i tylko wtenczas organizm jest zdrowy, gdy członki zdrowe, gdy każda komórka, z której organizm się składa, zdrowa,

tak i w tym organiźmie wielkim, jakim jest cały naród, muszą być różne stany, a każdy stan ma wypełniać swe funkcje, swe zadanie. I tylko wtenczas naród będzie zdrów, jeżeli pojedyncze stany będą zdrowe, nie uciskane przez inne.

Tylko narody bardzo zdrowe, potrafią spełnić swe posłannictwo!

Polska w pierwszym dniu swego bytu nie umiała zachować równowagi pomiędzy poszczególnymi stanami. Szlachcic i magnat polski był władcą, a masa szarego ludu była hołotą, niewolnikiem.

I dziś na początku nowego okresu to samo nieszczęście nam grozi. Tylko, że role się zmieniły, tylko że się zmieniły wartości. Dziś lud roboczy chce wziąć pod nogi wszystkie inne stany. I znów grozi nam to samo, co nas zgubiło! Niewola, z której strony i od którego stanu zagraża, zawsze jest niewolą. Czy krzywdę innym stanom będzie robił szlachcic, czy chłop, czy robotnik, krzywda zawsze będzie krzywdą. Stąd na początku nowego okresu musi naród sobie śmiało rzec: „Vivant wszystkie stany! Niech każdemu będzie dobrze!“

Drugą przyczyną, która nas zgubiła, to zbyt wybujała wolność — to wolność, przechodząca w swawolę.

„Liberum veto“ nieszczęsne zgubiło Polskę. Jednym głosem szlachcica-warchoła, ginęły najlepsze zamiary, najlepsze uchwały sejmowe.

Dzisiaj inaczej. Sejm nasz wolą ludu do bytu powołany, posłowie z woli narodu opatrzeni mandatami, świętą wolę narodu przedstawiają. Sejm nasz ten sam, a raczej przedłużenie tego, który uchwalał Konstytucję 3-go Maja większością głosów ustawy przeprowadza. Ale są jeszcze w narodzie warchoły — są jeszcze ludzie, którzy tylko osobistą korzyść mają na oku — są jeszcze duchy Sicińskich — są, którzy wolność pojmują jako swobodę krzywdzenia drugich. Wolność w pojęciu wielu, to wolność rabowania, mordowania, oczerniania drugich.

Takie pojmowanie wolności jest mylne i tylko do zguby doprowadzić może. Nad człowiekiem musi być prawo. Polska ma być państwem praworządnem, a prawy obywatel prawo uszanuje.

Trzecią przyczyną — to duch nasz charakter łatwo zapalny, to ten tak zwany, polski słomiany ogień. Zapału dość było i w chwilach zapału naród walił na ziemię wszelkie przeszkody — odnosił zwycięstwa nad dziesięciokrotnie liczniejszym nieprzyjacielem. — W zapale dokonywał w jednej chwili tego, czego inni w długich lat szeregach dokonać nie mogli. Ale zapał, jak wszelki gwałtowny ogień, nie może trwać długo. To też po chwilach zapału, przychodziły chwile odrętwienia i obojętności.

Ileśmy przez obojętność i brak wytrwałości stracili w ubiegłych latach — Bóg to jeden wie!

Dziś zaczynamy odbudowę Ojczyzny z gruzów. Mamy budować od fundamentów. Warsztaty pracy, od kilku lat opuszczone, czekają na pracowników. Więc zakasać rękawy i stanąć przy warsztacie.

Czyń każdy, co każe duch Boży — a całość sama się złoży!

Pracować nam trzeba!

A na zakończenie jedna uwaga.

Zmienił się świat; — stary zginął i już nie wróci — zaczyna się nowy.

Upadły trony — zwaliły się w przepaść.

Jest jeden tron, którego żadna siła, żadna potęga nie zdruzgoce.

Królowa Korony Polskiej.

Pod Jej znakiem rozpocznijmy drugi dzień naszego bytu narodowego — a dzień ten — taką oświecany jutrznią będzie szczęśliwszy od pierwszego.

Królowo nasza, Ty nas w przyszłość wiedź! Amen.

3 maja 1919.

Objęcie morza przez Polskę i rocznica przejścia Generała Hallera do Rosji

15 lutego 1920 r.

KAZANIE WYGŁOSZONE u ŚW. JANA w WARSZAWIE.

„A Domino factum est istut et est mirabile in oculis nostris“ — „Pan to uczynił i dziwnem to jest w oczach naszych“. Dziwnem jest to, na co patrzą oczy nasze, bo dziwne są dla krótkowidza człowieka drogi bożej Opatrzności. — Dziwnymi szlakami chodzi też historja i dziwnych nieraz używa środków do osiągnięcia zamierzonego celu. — To, co człowiek w duszy swej uradzi, często wywołuje wręcz przeciwne skutki.

Przyszliśmy dzisiaj w mury starej świątnicy polskiej, aby się nieco nad temi dziwnemi postanowieniami bożemi zastanowić, — a przyszliśmy w dniu, w którym się dla nas kojarzą dwie miłe uroczystości, — uroczystość objęcia w władanie polskiego morza i wspomnienie przejścia przez front austrjacki brygady legjonów, pod dowództwem generała Józefa Hallera.

Przed dwoma laty, po słynnym pokoju w Brześciu Litewskim, w którym nas dawni gnębiciele nasi sprzedać za chleb ukraiński zamierzali i już wzięli nożyce do ręki, by dzielić Ojczyznę naszą jak postół sukna, — zrodziła się w narodzie myśl buntu przeciwko ciemiężcom. — Za myślą poszedł męski, żołnierski czyn. — Legjon polski

pod wodzą brygadjera Hallera przeszedł przez front nieprzyjacielski, zaznaczając tem samem, że nie myśli dłużej nosić obroży u szyji. — Dzielny hufiec poszedł w świat obcy, na los niepewny, na dolę i niedolę. — Czynem tym wbito pierwszy słup graniczny na rubieży polskiej ziemi, na jednym jej krańcu.

Minęło lat dwa! Jakiż to w dziejach narodu krótki, a jak ważki okres czasu!! Jakaż zmiana cudowna! Ci, którzy nas dzielić chcieli, sami podzieleni. — Te złe ręce, które trzymały nożyce gotowe do cięcia, schowały się, te złe serca, które jadem nienawiści ziały ku wszystkiemu, co polskie, zamarły ze strachu przed sądem świata. Hufiec, co w męskiem żołnierskiem postanowieniu przeszedł na stronę przeciwną, wzrósł, rozmnożył się, spotężniał.

Po dwu latach spędzonych w pracy, trudzie i znoju, kroczy równym, a pewnym krokiem na drugi koniec polskiej rubieży, — zajmuje ziemie, które wieki całe, wydarte jak kawał żywego ciała z piersi Ojczyzny, nie zatraciły swej tężyzny narodowej, lecz otrzepują z siebie pył naleciały przez wieki udręki i jak brylanty o dziwnie pięknym blasku, będą zdobiły djadem Rzeczpospolitej. — I ten sam mąż czynu żołnierskiego, który wbił pierwszy słup graniczny na rubieży wschodniej, przechodząc wraz z hufcem zbrojnym pod Rarańczą przez front austr. i występując do otwartej walki z tyranem, dziś na wręcz przeciwnym krańcu ziemi wbija drugi słup graniczny, odbiera w wieczyste posiadanie skrawek polskiego morza, zawiera dozgonny związek między dwoma tak wręcz różnymi, a jednak koniecznie się uzupełniającymi elementami, jak ląd stały i płynna masa wody.

I gdy się człowiek zastanowi nad tymi dziwami, na które mamy szczęście własnemi patrzeć oczyma, jakżeż nam nie powtórzyć słów psalmisty: „Pan to uczynił, i dziwnem jest to w oczach naszych!“

Zaiste szczęśliwe i nadmiar szczęśliwe pokolenie, które ma możność patrzenia na cuda bożej Opatrzności, szczęśliwe, stokroć szczęśliwe pokolenie, któremu Bóg polecił pracę tak wielką i ważną i świętą, jak odbudowa zrujnowanej przez wrogów Ojczyzny. — Jakaż Ona piękna ta ziemia, na której nam Bóg mieszkanie wyznaczył! — Stopy swoje oparła w ciemnych zwałach gór karpackich, tam, gdzie szemrzą źródła rzek pośród zielonych lasów, — oparła i zaparła się silnie o granitową podstawę turni Tatr, jak mocarka, która się gotuje do odparcia wroga, coby chciał ją napaść i pogwałcić. — Ustroiła się w cudny wzorzysty płaszcz „pól rozmaitych, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem". — Przepasała się cudną, mieniącą się blaskami słońca, wstęgą Wisły i ustroiła, jak narzeczona hoża, w różne większe lub mniejsze i drobniejsze wstążeczki rzek i strumieni. — Usta jej, to bursztynowy brzeg morski! Ustami temi będzie wciągać powietrze ożywcze do płuc, a szeroki i rytmiczny musi być Jej oddech, jeżeli zdrowo rozwijać się ma. — Ustami śpiewać będzie narodowi pieśni uroczyste.

Rokrocznie odbywała się w Wenecji uroczystość zaślubin z morzem. — Wychodził doża w otoczeniu dworu swego i tłumu ludu i rzucał pierścień, symboliczny znak wiernosci i miłości małżeńskiej, w niezgłębione łono morskie. — Zaznaczała przez ten akt symboliczny ta średniowieczna królowa mórz, jak drogim jest dla niej żywy element słonej morskiej wody. — Zaznaczył przez ten symboliczny znak lud wenecki, że kocha tę toń, co mu z dalekich światów niosła nową i świeżą, choć odwieczną pieśń, zaznaczał, że kocha tę czarną toń, jak mąż kocha małżonkę swoją, że żąda od niej tej wierności, jakiej ma prawo żądać małżonek od małżonki swojej. — I wierne morze znosiło zato bogactwa obcych ziem i dalekich światów do stóp weneckiego ludu, tak, że lud ten żył w szczęściu i dobrobycie.

I myśmy w tych dniach dokonali symbolicznego związku z naszem polskiem morzem! Miłości i przywiązania ze strony ludu polskiego może ono być pewne, niech nam też ono wiernością i wiarą odpłaci!

Lecz ojczyzna, to nietylko ziemia, na której się lud mieszkaniem rozłożył.

Ziemia, ląd ze swoimi cudami natury, ze swoimi górami i dolinami, rzekami i jeziorami, jarami i borami, to tylko kształt zewnętrzny, to tylko piękne ciało, w które trzeba tchnąć ducha, aby żyło!

Lecz i w te siły wewnętrzne ubrała się w tym krótkim czasie Ojczyzna nasza miła. — Ma głowę i mózg, bo ma rząd i sejm prawodawczy, — ma dłoń silną — zorganizowaną armję, która każdej chwili gotowa zasłonić ją piersią przed nieprzyjaciółmi, — ma stos pacierzowy, jako trwałą podstawę, na której się życie Ojczyzny we wszystkich swych przejawach opierać ma — pracę wszystkich stanów. — Lecz jeszcze jednego Jej potrzeba, potrzeba serca!

Nasz Wyspiański odpowiadając na pytanie, gdzie Ojczyzny szukać należy, odsyła nas do serca dziecięcia. — Tam Ojczyzna! Serce, to ten organ w ciele, króry życie daje. — On przepuszcza i odświeża płynącą w organiźmie ciepłą, ożywczą krew. — Gdy serce przestaje pełnić swe funkcje, w tej chwili zamiera życie.

Jeśli chcemy, żeby Ojczyzna nasza, którą odbudujemy, — taka piękna zewnętrznie, o takich nieprzebranych wprost skarbach mocy wewnętrznej, żyła, kwitła zdrowiem i siłą, to musimy w nią tchnąć serce silne i zdrowe!

Opowiada pismo, iż pierwsi budowniczowie chcieli wybudować wieżę, gmach wysoki, któryby kończyną swoją sięgał nieba. — Uczynili to dlatego, bo uniosła ich zbyteczna pycha, — chcieli zajrzeć w tajniki niebios, a niebiosa zazdrosne są o tajniki swoje i nikt ze śmiertelnych jeszcze ich w zupełności nie odkrył. — To też, jak mówi pismo, pomieszał Bóg języki ich tak, iż się nie mogli porozumieć i musieli się rozejść na wszystkie strony świata,

nie dokonawszy zamierzonego dzieła. — Wielkie spotkało nieszczęście tych budowniczych wieży Babel. Nie dokonali rozpoczętego dzieła, bo Bóg pomieszał języki ich! Lecz daleko większe nieszczęście spotkałoby ich, gdyby Bóg prócz języków i serca ich pomieszał i poróżnił. — W takim wypadku nie rozeszliby się tak spokojnie, lecz stoczyliby walkę, krew by się polała, trupy i zniszczenie zakończyłyby ich trud i mozół.

Takie nieszczęście, to największe nieszczęście, jakie budowniczym Ojczyzny zdarzyć się może.

I my dziś budujemy gmach wielki — dom wsniosły i wysoki, mieszkanie dla obecnego i dla przyszłych pokoleń polskich. — I robota, mimo, że kraczą jeszcze kruki, które nie chcą ustąpić z pobojowiska, bo obfity na niem miały żer, idzie wartko i składnie! Trzeba nam jednak tchnąć życie prawdziwe, trzeba nam w organizm ten, włożyć serce. — A serce to musi być wielkie, tak wielkie, jak wielkim jest organizm Ojczyzny naszej. — Na to serce muszą się złożyć serca wszystkich synów tej ziemi. — Wszystkie serca, począwszy od serduszka dziecka, co życie rozpoczyna, aż do serca starca zgarbionego wiekiem, wszystkie one mają w równy uderzać takt, wszystkie one, te miljony serc, równy harmonijny tworzyć mają rytm, — jedno jednolite serce Ojczyzny — Matki!

Oby nas nie spotkało to wielkie nieszczęście przy budowie gmachu Ojczyzny, o którem wspomniałem, — oby nam Bóg nie pomieszał serc naszych, — bo wtenczas biada! straszne biada! — temu i potomnym pokoleniom. — Jeśli nie tchniemy w organizm Ojczyzny serca wielkiego, to stworzymy organizm anemiczny, niezdrowy, który żyć pełnem życiem nie będzie mógł! To też „zestrzelmy myśli w jednem ognisku i w jednem ognisku duchy!“

Schodzimy się w uroczystych godzinach naszego życia narodowego w naszych starych świątyniach, w których, niby w arkach przymierza między nowymi a sta-

remi laty spoczywa pieśń i tradycja narodowa, — stajemy u stóp Ołtarzy Pańskich, na których się składa niepokalana żertwa, w której się pali odwieczny ogień ofiarnej miłości. — Czyż to stawianie się tutaj ma być tylko czczą zewnętrzną formą? Jeśli tak, to szkoda czasu! Nie! po tysiąckroć nie! Przychodzimy tutaj, aby nastroić serca nasze odpowiednio do tradycji naszych, które w tych świątyniach, niby w urnach spiżowych spoczywają. — My stajemy u stóp Ołtarzy Chrystusa, aby od tego bezbrzeżnego ognia miłości, zapalić nasze serca, bo naszych serc ogień słaby, gaśnie tak często, tak łatwo popiołem się okrywa.

Więc i w dniu dzisiejszym, kiedy obchodzimy uroczystość zaślubin naszej Ojczyzny z morzem, kiedy święcimy pamiątkę czynu rycerskiego, co kładł pierwszy kamień pod budowę Ojczyzny, — podnieśmy serca nasze i zapalmy te małe ogarki nasze od tego wielkiego ognia, który płonie w sercu Chrystusa, nastrójmy serca na jeden takt tradycji naszej świętej!

Och! gdyby można wziąć wszystkie serca z Polski całej, od gazdy tatrzańskiego zacząwszy, aż do kaszuba, rybaka i nastroić na jedną nutę!

Niech zginą i przepadną waśnie społeczne.

Niech zabije jednem wielkiem tętnem wielkie serce wielkiego narodu, — a wtedy gmach, co go z takim trudem wznosimy, będzie silny, organizm Ojczyzny będzie zdrowy, Polska będzie potężną i szczęśliwą, będzie matką dobrą dla dzieci swoich!

Panie! któryś nas z niewoli do wolności powołał i dom ojczysty budować kazał, — błogosław pracy naszej zbożnej, nie mieszaj nam serc, lecz daj, by one wszystkie jeden zgodny takt wybijały na chwałę Twoją, a pożytek Ojczyzny. Amen!

15 lutego 1920 r.

Poświęcenie chorągwi 11-go p. p.
w TARNOWSKICH GÓRACH na G. ŚLĄSKU.
9 grudnia 1922.

Żołnierze! Ludu górnośląski!

Miałem dzisiaj zaszczyt wielki i szczęście, żem mógł poświęcić chorągiew, którą przemysł górniczy Zagłębia Dąbrowskiego, ofiarował dzieciom swoim zebranym w 11-stym pułku.

Pułk 11-sty ma już tradycję swoją. Istniał on za czasów przedrozbiorowych i uzupełniał się z tego samego ludu, z którego uzupełnia się dzisiaj, z Zagłębia dąbrowskiego. Walczył pod Gdańskiem i krwią swoją wypisał sobie jasną kartę w dziejach Ojczyzny.

Kiedy Ojczyznę naszą nie umarłą — lecz pogrążoną w letargu, kładziono niebacznie do grobu i kiedy zwijano sztandary i chorągwie polskiej skrzydlatej huzarji, kiedy żołnierz polski nie miał co robić w domu, gdyż go zastąpił wróg, kozak z nachajką, piechur pruski z pikelhaubą i austrjacki huzar — i musiał iść daleko na boje w obcych ziemiach, pod rozkazami wielkiego cesarza Francuzów i ginął w wąwozach gór hiszpańskich i od zarazy żółtej na St. Domingo — wtedy i pułk 11-sty zwinął swoją chorągiew. Zwinął, ale jej nie uronił. Przeniósł ją w skrzyni przymierza między dawnemi a młodszemi laty, przechował w sercach swego pracowitego górniczego ludu, czystych jak lśniąca perła, jak promień jasnego słońca, aż do chwili, kiedy na odzew złotego rogu przebudzili się śpiący w Tatrach naszych legendarni rycerze. Kiedy budząca się z letargowego snu niewoli Ojczyzna

wyciągała ręce i zawołała na syny swoje: „do broni!“ — to jednym z pierwszych, który na odzew Ojczyzny ucha nadstawił, był ten twardy lud górniczy. Rzucił kilof, ujął broń w rękę i poszedł. Zostawił górnik w domu żonę drogą, zostawił dziecko, zostawił starego ojca — matkę. Zrobiło się cicho i żałośnie w domu. Czasem tylko wieść przyszła, jak kruk czarny żałobna; „zginął“. — Tak! zginął — niema Go! ale zginął za Ojczyznę swoją — krew Jego spłynęła do tej ogromnej czary ofiarnej, w której się zbierała krew powstańców naszych i tych prześlicznych, niewinnie pomordowanych ofiar. Więc się łzę ukradkiem otarło i szło się dalej w drogę życia bez żywiciela.

Gdzie 11 p. p. nie był? czego nie dokazywał? Był wszędzie tam, dokąd go rozkaz wołał, gdzie trzeba było nie bawić się, nie pląsać, nie wiecować — gdzie trzeba było lać nie miód, nie wino, ale ciepłą, gorącą krew.

Dziś dzień uroczysty dla pułku — święto pułkowe!

Lecz dziś jest druga, łącząca się ściśle z pierwszą, uroczystość oddania 11 p. chorągwi przez przemysł Górniczy Zagłębia Dąbrowskiego.

Co ta uroczystość przypomina? — Zaręczyny. — Jest w życiu młodych osób, mężczyzny i niewiasty, chwila wzniosła, kiedy serce bije przyspieszonem tętnem. Spotkali się na drodze życia. Wiosna, kwiaty, wonie dziwne idą ku nim z tych szerokich niw życia. Tylko zdala czarna chmura ciągnie i coś w niej huczy i czasem błyskawica z niej wypadnie jak pies, co łańcuch i obrożę zerwał. A oni zbliżają się do siebie i mówią sobie a przysięgają: pójdziemy w drogę dalszą wspólnie, na dolę i niedolę. Opletli serca łańcuchem twardym, łańcuchem miłości — podnieśli dumni czoło i spokojni czekają na zbliżającą się burzę.

Taką chwilę przeżywamy dzisiaj — my świadkowie tej uroczystości. Widzimy dwa czynniki — dwa jestestwa młode! Młody krzepki lud górniczy, lud o silnem ramie-

niu i gorącem sercu, a z drugiej strony lud zbrojny w chełmie na głowie, z karabinem na ramieniu, silny, niby mur cementem i stalą sklejony — groźny na pozór, a o gołębiem sercu — krew z krwi ludu i kość z kości Jego.

Zaczynają te dwa jestestwa wspólne życie, młody lud w młodej Rzeczypospolitej i młody żołnierz 11 pułku. Zeszli się na drodze wspólnego życia narodowego i łączą serca swoje i dłonie swoje łańcuchem miłości. — Zaręczyny na dolę i niedolę, na życie całe, na wieki całe i tysiąclecia całe!

A jako symbol, jako pierścień zaręczynowy, oddaje lud żołnierzowi chorągiew, która mu w czasie jego życia przypominać będzie tę wzniosłą chwilę zaręczyn.

A co Ty żołnierzu polski masz oddać w zamian ludowi, tej oblubienicy swojej jako symbol i znak jedności? Nie masz złota, ni brylantów, nie masz tkanin, ni haftów. — Prosta suknia twoja, szary mundur twój! Ale i Ty masz skarb! Masz serce młode, masz silną dłoń i silną wolę — i masz gorącą krew. Te skarby dziś złóż tej oblubienicy Twojej — ludowi Zagłębia dąbrowskiego i górnośląskiego, jako wiano! To posag wspaniały!

Oddaj to wzamian, ujmij chorągiew w krzepkie dłonie i powiedz: „Chodźmy w drogę życia naszego — narodowego!"

A nie myśl żołnierzu polski i ty ludu górniczy, że Cię lekka czeka droga! Nie myśl, że Cię czekają na tej drodze same kwiaty i wonie! Słyszysz? tam zdala burza ciągnie! będą uderzać gromy, przyjdzie wichura, ulewa i grad może siarczysty, może stalowy?! Nie lękaj się niczego! Wsparty na ramieniu tej oblubienicy Twojej, ludu polskiego, — idź śmiało wprzód z podniesioną głową, — chociażby huragany nad nią przeciągały! A biel i purpura tej chorągwi, tego znaku miłości niech szumi nad głową Twoją i niech Cię wiedzie i niech Ci śpiewa, niech się poszumem swoim z tobą modli!

Trzy razy w życiu naszego narodu zachwiała się chorągiew i nawet upadła. Raz pod Grunwaldem, kiedy to pierzchła Litwa, a woje polscy nie mogli wytrzymać naporu stalowych krzyżackich rycerzy, upadła chorągiew malinowa — wielka chorągiew Królestwa.

Na widok ten taka moc groźna rozpaliła polskie wojska, polskich rycerzy i kmieci, że poległ cały kwiat krzyżackiego rycerstwa z mistrzem wielkim na czele, — a wszystkie chorągwie krzyżackie złożono wieczór u stóp zwycięskiego króla Władysława.

Drugi raz zachwiała się chorągiew narodowa w 1920 r. kiedy nieprzyjaciel podszedł pod serce Polski, pod Warszawę. Na ten widok stanął naród polski jako jeden mąż, bez różnicy przekonań politycznych i mieliśmy cud nad Wisłą.

A teraz się chwieje poraz trzeci — kiedy przystępujemy do pokojowej pracy w Ojczyźnie. — Zalewa tą chorągiew fala drożyzny, paskarstwa. — I znów trzeba się narodowi skupić i iść ławą, by nas te mętne fale nie porwały i chorągwi nie zalały!

Niech więc dzisiejsze święto będzie zapewnieniem dla nas wszystkich tu obecnych, że naród czuwa — czuwa mimo wszystko — i gdyby zobaczył, że się chorągiew narodowa chwieje, stanie i wesprze ją.

Żołnierzu polski! stój twardo tu na tej strażnicy, którą Ci naród wyznaczył! „Wacht an der Oder!“ „Straż nad Odrą!“ Czuwaj! wytężaj wzrok! — czuj duch! A za twojemi plecami będzie bezpiecznie i spokojnie pędził życie pracowity lud górniczy! A Ty ludu serdeczny, wspieraj tego żołnierzyka, który Cię zasłania. Otocz Go skrzydłem miłości i serdecznej przyjaźni — śpiewaj Mu w czasie Jego twardej służby pieśni radosne — aby Mu pieściły ucho i serce, kiedy po twardej służbie, na twardem łożu członki swe położy. Ciesz się Jego weselem i smuć Jego smutkami, jak wierna oblubienica — a tak złączeni przez życie kajdanami wzajemnego zaufania i miłości,

przejdziecie bezpiecznie wśród burz i wśród trzęsawisk życia.

Niech Was prowadzi naprzód ta piękna chorągiew, a jako chorążyna narodu, niech pomoże ją dźwigać Królowa Korony Polskiej, Najśw. Panna Marja. Amen.

9 grudnia 1922.

Poświęcenie chorągwi
20 PUŁKU PIECHOTY
ZIEMI KRAKOWSKIEJ.

Przed oczyma naszemi odbył się przed chwilą wzruszający i podniosły obrzęd poświęcenia chorągwi 20 Pułku Piechoty „Ziemi krakowskiej!“ Pułk dzieci krakowskich otrzymał z rąk Twoich Najdostojniejszy Panie Prezydencie chorągiew, znak widomy jedności, siły, obowiązku, pracy, ofiary żołnierskiej, idącej aż do ostatnich granic możliwości, aż do oddania w potrzebie ostatniej kropli krwi. Ziemia krakowska znak ten dała dzieciom swoim — ziemia krakowska, ta ziemia, o której każdy z nas marzył w snach dziecięcych, ta ziemia, która była sercem narodu polskiego, z której w ciągu długich wieków naszej historji płynął ku innym ziemiom polskim spiżowy zew Zygmunta, nawołujący naród w chwilach triumfu i chwały, do wspólnej radości, zaś w chwilach klęsk i ogólnego zwątpienia zew — budzący w duszach nadzieję, wydobywający z odmętów ukryte siły narodu, wzywający do czynu.

Wręczyła chorągiew pułkową dzieciom swym ziemia krakowska, ta ziemia, w której zaklęta w arcydzieła sztuki śpi historja naszej starej kultury, ta ziemia krakowska, w której zimnem łonie spoczywają kości wielkich królów naszych, wodzów zwycięskich, narodu genjuszów!

Chorągiew ziemi krakowskiej, to wielka rzecz! Odegrała ona już raz w dziejach naszych wielką rolę. Przypomnijmy sobie dawne dzieje. Przewrotny, obłudny niemiecki zakon krzyżacki wżerał się w żywe ciało Polski, zabierał i męczył jej dzieci, trzeba się było bronić. Powstał naród cały do boju na śmierć i życie. — Prowadził

hufce swoje król Władysław Jagiełło, przeciwko zakutym w stal rycerzom całego zachodu. Pod Grunwaldem miały się rozstrzygnąć losy naszej Ojczyzny! Hufce polskie nie mogąc znieść naporu dobrze okrytych i w stal zakutych rycerzy krzyżackich, zaczęły się chwiać. Już prawie zwycięzcy Krzyżacy nucili pieśń triumfu: „Krist ist erstanden", a wtem stało się coś okropnego, upadła wraz z rycerzem wielka, święta dla wszystkich wojsk chorągiew krakowska, z orłem w koronie. Na widok ten zabiły mocniej serca w piersiach rycerzy. Taka moc wstąpiła w ich dusze, że żadna siła nie była im w stanie się oprzeć. Chorągiew z powrotem odbito — wroga pokonano — ojczyźnie na długie lata spokój zapewniono!

Chorągiew ziemi krakowskiej spełniła swój wielki, a święty dziejowy obowiązek!

Żołnierze 20 pułku „Ziemi krakowskiej!"

Młodszą siostrzycę tej wielkiej zwycięskiej chorągwi powierza wam w opiekę przez ręce Najdostojniejszego Pana Prezydenta lud krakowski, a z nim nasza odrodzona młoda Rzeczpospolita!

Pułk Ziemi krakowskiej przy zmartwychwstaniu naszej Ojczyzny chlubną odgrywał rolę — krwią swych dzieci skrapiał obficie ziemię polską, czy w Małopolsce wschodniej, czy na Litwie, czy na Wołyniu. — Trudem żołnierskim pisał sobie chwalebne dzieje swoje! Więc ze spokojem Ojczyzna oddaje w dzielne Wasze dłonie tę chorągiew, ufna, że znaku ofiary żołnierskiej żaden wróg, ani wewnętrzny, ani zewnętrzny z rąk Waszych nie wydrze.

Stoicie tutaj na rynku krakowskim, na którym przed laty stał wódz narodu w siermiędze, naczelnik Kościuszko składał przysięgę, że nie odstąpi chorągwi Ojczyzny, dopóki z kraju nie wypędzi wroga. Toć i Wy dzieci ziemi krakowskiej w chwili, kiedy Wam Ojczyzna przez ręce Najdostojniejszego Pana Prezydenta chorągiew, ten święty znak żołnierski powierza, odnówcie Wasze składane przysięgi, że chorągwi Waszej nie opuścicie! Pamiętajcie, że

w serca Wasze patrzy i czyta w nich, niby w księdze otwartej Bóg! Patrzą na Was wielkie duchy narodu — króle i wodze polskie — co śpią w Wawelskiej katedrze i pytać się zdają: „azaliż Ci żołnierze młodzi będą godnymi zastępcami przodków swoich?“ Patrzy na Was z tej stromej wieżycy Marjackiej cała nasza przeszłość — patrzy cała Ojczyzna wraz z głową Jej, Najdostojniejszym Panem Prezydentem. — Więc z powagą, ze zrozumieniem rzeczy, z zapałem w duszy, z czystą intencją w sercach, powtarzajcie za mną słowa przysięgi żołnierskiej.

Do Przysięgi! rota...

Maj 1924.

Poświęcenie sztandaru
5-go pułku saperów
8 maja 1925.

Żołnierzu! Dziś Twoje wielkie święto!

Otrzymałeś chorągiew z rąk Najdost. Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Uważ, wśród jakich okoliczności. Rynek krakowski — miejsce na którem stoisz, święte jest!

Tutaj na tym rynku, historja Polski idąc przeznaczonym Jej przez Opatrzność szlakiem zostawiła wybitne ślady stóp swoich! Patrz przed siebie! Tu pod sukiennicami zasiadał niegdyś przed 4-ma wiekami potężny król polski, Zygmunt. Nad głową szumiały Mu zwycięskie grunwaldzkie proporce, a u nóg Jego klęczał zeświecczony zakonnik — krzyżak i hołdy Mu składał i wierność zaprzysięgał!

Trzy wieki później.

Zmieniły się role! Już nie król pruski klęczy u stóp polskiego władcy — lecz królewski piastowy lud leży powalony, z obrożą u szyi u stóp tego, który się niedawno do nóg polskich kłonił! — Polska rozdarta!

A na rynku krakowskim staje wódz! Wódz odziany nie w złótogłów, lecz w siermięgę, stoi przed narodem całym i składa przysięgę, że nie wypuści miecza z dłoni, póki Polsce wolności nie wróci! Tadeusz Kościuszko! Pojął On i zrozumiał przyczynę tej bolesnej zmiany losów, — zrozumiał, że Polska dlatego w niewolę popadła, bo była domeną jednego stanu, a nie umiłowoną przez wszystkie stany matką. Więc okrył się chłopską ludową sukmaną i lud cały do walki o wolność pobudził! Oto

tu na rynku kamień, na którym stał wódz narodu w pamiętny ranek, gdy całemu ludowi walkę o wolność zaprzysięgał! Na nim właśnie stoisz polski żołnierzu! I znów historja postąpiła krok naprzód w swym wiekuistym pochodzie! Sto lat! cały wiek walki, szarpanie się, wiek powstań, krwi rozlewu, wiek łez, wiek turm i więzień, wiek długi, jak noc zimowa, pełna zmor i widzeń bolesnych. I znów na krakowskim rynku staje postać nowa! Szary żołnierz polski! Jeszcze w mundurze zaborczym, ale już z białym orłem na czapce! Legjonista polski idzie stąd na boje wielkie i jak skowronek na wiosnę śpiewa pieśń radosną — pieśń wolności! Stąd odleciał w świat daleki i przyniósł Polsce wolność!

Na tem miejscu stoisz dzisiaj i Ty młody żołnierzu polski! Miejsce na którem stoisz, święte jest!

2.

Żołnierzu! chwila, którą przeżywasz, wielką i wzniosłą jest! Spogląda na Ciebie z poza zasłony wieków przeszłość! I ten król polski odbierający hołd od pruskiego mistrza — i ten wódz ludowy, który się uśmiecha widząc, jak posiew Jego plon wydał obfity — i wszyscy ci, co w ostatniej wojnie życie swe za Ojczyznę dali! Spoglądają na Ciebie i cieszą się te duchy wielkie i szlachetne, bo się spełniły ich najtajniejsze życzenia, boś Ty żołnierz nie jednego stanu, nie jednej klasy, nie jednej cząstki, ale żołnierz całego narodu, żołnierz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej!

Spogląda na Ciebie współczesność! Stoisz wobec najwyższych władz i dostojników Rzeczypospolitej! — Spogląda na Ciebie ojcowskiem swem okiem Najdostojniejszy Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Uosobienie władzy narodowej i Zwierzchnik Twój Najwyższy, który w dniu dla siebie uroczystym, w dniu patrona swego, przybył do Ciebie, aby Ci wręczyć chorągiew pułkową!

Spoglądają na Ciebie Przełożeni Twoi — Pan Minister spraw wojskowych w otoczeniu polskich generałów i oficerów! Ten sam szary mundur ich okrywa co i Ciebie — żołnierzu polski! to samo serce bije pod Ich mundurami, co i pod twoim. Spoglądają na Ciebie obywatele polscy, którzy Ci ten wspaniały sztandar przygotowali — spogląda na Ciebie cały lud polski — boś Ty żołnierzu Jego chlubą i chwałą i umiłowaniem serdecznem!

Szumią nad głową Twoją barwne proporce i chorągwie, a między niemi ta najmłodsza ich siostrzyca — chorągiew 5-go p. saperów!

Szumi ona i szepce i pieści się z Tobą i mówi Ci o przyszłości!

Ona mówi do Ciebie: Żołnierzu polski! — ja Cię powiodę do czynów wielkich i wzniosłych! Saper to żołnierz, który ma iść w hufcu przednim i usuwać z drogi wszelkie przeszkody! dla Ciebie żołnierzu saperze nie straszna góra ni skała, bo ją z drogi usuniesz, nie przeszkodzi Ci przepaść ni szeroki strumień wody, bo je w pęta swoje ujmiesz i do służenia sobie zmusisz! Więc w górę czoła! Pójdź za mną do czynów! do pracy! Teraz w czasie pokoju będziesz wzorem, przykładem, jak dla Ojczyzny pracować należy, a jeżeliby trzeba było dla Jej obrony ująć za oręż, to nie pożałujesz trudu, nie pożałujesz krwi swojej dla Niej, a gdy Ci przyjdzie dla Niej umrzeć, to ja Ci będę szeptać do uszu przedzgonną modlitwę! Tak mówi do Ciebie chorągiew, którą z rąk Najdostojniejszego Pana Prezydenta Rzeczypospolitej otrzymałeś!

Żołnierzu! Chwila, którą przeżywasz, wzniosłą i wielką jest!

3.

Ale pamiętaj o tem, że i to miejsce, na którem stoisz i ta chwila, którą przeżywasz, nakłada na Ciebie wielki i ciężki obowiązek — obowiązek pracy — ofiary — poświęcenia aż do ostatnich granic — aż do zaparcia się

swego własnego „ja“ — aż do oddania w ofierze swej woli — swojego własnego „chcę“ — aż do ofiary z własnej krwi! I na to, abyś mógł spełnić obowiązki na Ciebie nałożone, masz złożyć przysięgę! Masz wobec Boga i ludzi złożyć uroczyste ślubowanie, że obowiązki te spełnisz, że to, czego od Ciebie żąda przeszłość i współczesność, czego może żądać i chwila przyszła ofiarnie wykonasz!

Przysięga, to ostrzenie woli naszej, która, gdy ją jeszcze mocą swoją wzmocni Bóg, niczego się lękać nie powinna! Na nasze zaczęte dopiero gospodarstwo, na nasz dom, któregośmy dopiero zrąb położyli, ciągnie burza, ta odwieczna burza dziejowa, która zwyczajnie nad naszą Ojczyzną od samego zarania bytu Jej szaleje. Słychać pomruki gromu od wschodu i zachodu! Wkrótce może zaczną pioruny padać i bić w to niewykończone domostwo nasze!

Czy mamy się trwożyć i oczy zamykać, by nas błyskawice nie oślepiły?! Nie! Naród polski to niestrawna potrawa! Można ją połknąć, ale strawić ją trudno i tego, który ją połknie, o ciężkie przyprawi boleści! Więc nie lękać się nam burzy! bo ile serc polskich, tyle będzie piorunochronów! A one nie tylko gromy rozbroją, ale je jeszcze ku chmurze, z której wypadły, odwrócą!

Więc ostrzmy te piorunochrony — wole! piorunochrony — serca! Hardo i twardo, jak na żołnierza polskiego przystało, powtarzaj za mną, żołnierzu, słowa przysięgi, a wtóruj mu w duszy, cały ludu polski! powtarzajcie te słowa męskie — wielkie i święte wszystkie serca polskie, a „nie damy ziemi skąd nasz ród!“

Do przysięgi!

Poświęcenie chorągwi I. p. sap. kol.

dnia 11 lipca 1925.

Żołnierze I. p. sap. kolejowych!

Otrzymaliście w darze od waszej cywilnej współbraci — od kolejarzy Dyrekcji Krakowskiej chorągiew pułkową i według przyjętego ceremonjału macie za chwilę na chorągiew tę złożyć przysięgę wojskową.

Nie chcę Wam mówić o ważności i znaczeniu chorągwi, boście o tem już pouczeni. — Jeżeli pułk kolejowy jest dla armji żyłami, które po organiźmie krew rozprowadzają — to chorągiew jest sercem. Nie będę podkreślał ważności przysięgi, jako aktu religijnego i społecznego zarazem — bo o tem, spodziewam się, jesteście mocno przekonani!

Chcę tylko podkreślić, zanim Was do powtarzania słów przysięgi zawezwę, niektóre motywy dnia dzisiejszego, które tę piękną i pamiętną dla nas chwilę w szczególniejszy sposób podnoszą i upiększają.

a) Stoicie na podwórzu królewskiego zamku Wawelu, na miejscu, gdzie stała kolebka szczepu lechickiego — gdzie stało książęce krzesło Kraka!

Stary Wawelu!

Na jakież wspaniałe obrazy patrzałeś w ciągu długowiekowego bytowania Twego?!

Z okien i z pośród arkad swoich spoglądałeś na przepyszne dwory królewskie — widziałeś, jak rycerze w stal zbrojni brali ostatnie pożegnanie przed wyjściem na krwawe boje!

Po wnętrzu twojem snuli się poważni senatorowie i strojni dworzanie. To był czas Twej chwały i triumfu! Lecz przyszedł czas, że zdarto z bark Twoich szatę dostojeństwa, przyszli wrogowie i zrobili z ciebie żebraka! Oślepili cię — tak jak krzyżacy oślepili starego mazowieckiego rycerza Juranda. Zagrabili majętność Twoją i ozdobę, odebrali Ci nawet nazwisko i zaczęli Cię bezcześcić i kopać komiśnym butem żołdackim!

Sądzili ci, którzy Cię tak grabili, że już ostatni dech z Ciebie wyszedł!

Lecz się zawiedli w rachubach swoich! Został w Tobie niezniszczony duch — ukrył się tylko w podziemiach katedry, ale nie zamarł! Zostało Ci serce — ten stary dzwon Zygmuntowski, który od czasu do czasu wzywał Polskę do modlitwy i wytrwania i krzepił duchy i wzbudzał nadzieje!

Starcze! czyś Ty myślał o tem, że jeszcze zobaczysz słońce wolności nad głową swoją a na podwórzu zamkowem taki obraz wspaniały, jaki się w tej chwili przed światem roztacza?

Patrz! stoi tu huf żołnierza polskiego, — prawe syny wielkich ojców, — choć nie w barwnych szatach, ale z sercami gorącemi! A jako przed wiekami łopotały płótna chorągwi i biły o drzewce radośnie, tak i dziś powiewa nad głowami żołnierza talizman jego chwały, jego duma i jego szczęście — jego matka i oblubienica — choragiew!

Stoi tu władza narodu wolnego — Najdostojniejszy Pan Prezydent Wolnej Rzeczypospolitej — otoczony wolnym ludem polskim!

Czyż na ten widok Wawelu nie uderzy w Twej starej kamiennej piersi spiżowe serce z radości? Czy z twoich pustych jam ocznych nie popłyną dziś łzy radości i wesela? Stary Wawelu! wielkiej i wspaniałej dożyłeś godziny!

Żołnierzu!

Na tem świętem i drogiem dla każdego Polaka miejscu otrzymałeś od roboczego ludu kolejarzy, przez

ręce Najdostojniejszego Pana Prezydenta, chorągiew pułkową. Patrzałeś na piękny, pełny symbolicznego znaczenia ceremonjał poświęcenia chorągwi i wbijanie w drzewce gwoździ pamiątkowych!

Widziałeś, jak Najdostojniejsze osoby, wybrańcy narodu, wbijając gwoździe w drzewce chorągwi, słały Ci najszczersze życzenia na drogę twardego życia wojskowego! Te życzenia Ich szczere i serdeczne pójdą wraz z tą chorągwią, niby Boże anioły i wieść Cię będą przez życie do chwalebnych i wspaniałych czynów!

Lecz ja Ci żołnierzu dołączę do tych żywych chrzestnych rodziców jeszcze jedną parę i to z przeszłości! Niech chorągiewnymi rodzicami chrzestnymi będą duchy Wielkiego króla Władysława Jagiełły i ukochanej przez naród królowej Jadwigi!

Ongi, przed wiekami, powiódł król Władysław zastępy polskie, ruskie i litewskie na śmiertelny bój z Krzyżakami — wrogiem odwiecznym! Nad głowami rycerzy i kmiecego ludu powiewała wielka malinowa chorągiew krakowskiej ziemi. Poszły zastępy i zwyciężyły! Niechże duch tego wielkiego króla idzie z Tobą żołnierzu polski, a gdyby przyszło do śmiertelnej rozprawy, niech on Cię wiedzie do zwycięstwa, jak wiódł na polach Grunwaldu! Królowa Jadwiga złączyła wstęgą miłości dwa narody w nierozerwalną całość! Niech Jej wzniosły duch idzie za tobą, chorągwi polskiego żołnierza! Pod skrzydłami Twemi niech się zatracają różnice narodowościowe — niech wszyscy się czują obywatelami tej Wspólnej Rzeczypospolitej! Niech się zacierają różnice stanów i klas — bośmy wszyscy równi. Niech męstwo żołnierskie i miłość obywatelska idą po obu stronach tej chorągwi, jak Anioły Stróże, a Ty żołnierzu strzeż i czuwaj, aby ci dwaj towarzysze życia żołnierskiego nie odstąpili ani na chwilę chorągwi Twej!

A teraz Żołnierzu wzywam Cię, powtarzaj za mną słowa żołnierskiej przysięgi.

Pomnij, że z góry patrzy w serce Twoje Bóg — co przenika wnętrzności serc! Pomnij że z tych murów sędziwego, Wawelu i z podziemi kościelnych patrzy na Ciebie wspaniała przeszłość nasza!

Pomnij żołnierzu, że patrzy na Ciebie jako na chlubę swoją cała powstająca z gruzów Polska!

Pamiętaj, że słowa twej przysięgi odbiją się o płytę tego narodowego serca — Zygmunta! — Ile razy uderzy jego serce i spiżowy ton popłynie od wzgórz karpackich aż po fale Bałtyku, — tyle razy będzie on opowiadał przyszłości o dniu dzisiejszym, o szarym żołnierzu polskim, który się przysięgą związał na życie i śmierć dla Ojczyzny!

Do przysięgi!

11 lipca 1925.

ŚWIĘTO
poległych i zmarłych żołnierzy
31 października 1923.

W dniu dzisiejszym obchodzimy święto Zmarłych. — Ze względu na nasze obecne stosunki, ze względu na to, że w dzień powszedni trudno nam znaleźć czas na doroczne obchodzenie świąt, niech mi wolno będzie dzisiaj, podczas tego nabożeństwa poświęcić słów kilka pamięci tych, którzy w czasie wielkiej wojny światowej, a szczególnie tym, którzy w czasie naszych zmagań w obronie Ojczyzny śmierć ponieśli, czy to na polu walki z ręki nieprzyjaciela, — czy to na łożu szpitalnem z ran odniesionych, wskutek chorób z trudów wojennych pochodzących.

A imię ich „LEGJON!“ Tak! Legjony całe, tysiące nieprzebrane tych, którzy w czasie tej niezmiernej światowej zawieruchy życie swe w ofierze złożyli.

Gdzie trzeba szukać ich mogił? — Zdaje się, że niema zakątka na świecie, gdzieby nie bieliły się kości polskiego żołnierza. — Zasiana mogiłami cała nasza polska ziemia. — Znaleźć je można w tajgach Syberji, w upalnej Azji, na skałach Krasu, na wspaniałych wzgórzach Szampanji, — wszędzie! wszędzie!....

Szli w ogień huraganowy, tak jak tylko żołnierz polski iść potrafi. — Czy to w armjach zaborczych pod obcym znakiem, dla obcej sprawy, — czy też pod swoim znakiem dla sprawy własnej, dla zabezpieczenia granic ojczystych. — Szli i padali — szli jak żniwiarze, siejący posiew przyszłości, — zmęczeni kładli się na tej niwie,

którą zasiewali, użyźniając ją własnym potem, własną krwią!

A co ich wiodło w te boje, w ten ogień piekielny, z którego zdawało się nikt cały nie wyjdzie?

Bo tam za falą ognia, za chmurą dymu, za rzeką krwi widzieli jasną jutrznię — jutrznię wolności — jutrznię swobody, braterstwa! To też niejeden z nich padając, wymawiał te sakramentalne słowa: „Dla Ciebie Ojczyzno!“

Dziś w dzień Wszystkich Świętych, w dzień poświęcony pamięci Zmarłych, te duchy żołnierskie, bez względu na to, gdzie ciała ich spoczywają, zlatują z dalekich światów, z krańców ziemi na ojczystą niwę, — krążą wokół nas, są nam bliskie. — I nasze serca ku nim wylatują wspomnieniem, modlitwą, ofiarą mszy świętej. — Duch z duchem się łączy przez świętych obcowanie.

Idzie duch poległego ojca ku duchom dzieci swoich męża ku żonie, oblubieńca ku oblubienicy.

Więc skupmy się wszyscy w czasie tego nabożeństwa! Przez modlitwę szczerą złączmy się z nimi, jak biesiadnicy przy jednym stole i posłuchajmy jak te duchy do nas przemówią!

A oto ich głos!

Zostawiliśmy Wam żyjącym spuściznę wspaniałą — Ojczyznę wolną. — Zdjęliśmy z niej pęta niewoli. — Piękna Ona i cudna, jak dziewica ze snu przebudzona! Waszym obowiązkiem — żyjący — było spuścizny tej strzec, jak źrenicy oka! Kiedyście w niewoli żyjąc jarzmo ciężkie na barkach Waszych nieśli, toście chodzili pod krzyże przydrożne i wołali w świątnicy do Pana nad Pany: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“

Wrócił Wam Pan przez wzglądn a blizny i rany nasze Ojczyznę i wolność!

Pytamy się my zmarli — Was żywych — coście z Nią zrobili? — jak przechowujecie testament nasz?

Bo my patrzymy z zaświatów i widzimy: „Oto Ojczyzna jeszcze słaba, jeszcze nieubrana w odpowiednie Jej godności szaty, jeszcze Jej brakuje korony złocistej na głowie, — a oto Ci, którzy Jej mocy dodać mają, — osłabiają przez wściekłą zawiść partyjną. — Ci, którzy Ją w szaty, godne Jej stanowiska wśród ludów odziać winni, obdzierają Ją z nich, kłócąc się o to zawzięcie, kto więcej zabrać ma. — Ci, co Jej koronę na głowę i diadem królewski włożyć powinni, — bo to nie służąca dziś, lecz dostojna Pani — zamiast ze złota, koronę papierową Jej gotują. — Biada nam zmarłym, żeśmy w takie ręce testament nasz złożyli!“

Oto Bracia żyjący — głos z poza grobu tych, którzy za Ojczyznę ginęli!

Tak! Źle strzeżemy spuścizny! Uderzmy się w piersi wszyscy! I ci, którzy Ojczyznę wzmocnić mają pracą wytrwałą i znojną fizyczną, — i ci, co Jej przez rządy uczciwe i sprawiedliwe koronę i diadem na głowę włożyć winni, — wszyscy uderzmy się w piersi! Nasza wina, nasza wina, nasza bardzo wielka wina!

Dziś w dniu Wam, duchy zmarłe, poświęconym ślubujemy, iż się z błędów naszych poprawimy, aby Wam był w spokoju odpoczynek wieczny. Amen.

31 października 1923.

Otwarcie domu żołnierza polskiego

4 listopada 1923 w Krakowie.

Dziś święcimy uroczystość, zdaje mi się, że pierwsi w Polsce — Poświęcenia Bogu i oddania do użytku żołnierza polskiego, „domu żołnierza polskiego". Rostropny człowiek zadaje sobie przed każdą czynnością pytanie — „poco ja to czynię?"

To też i my, oddając dzisiaj uroczyście ten dom na Wasz użytek i do Waszej dyspozycji musimy sobie postawić pytanie: „poco to?" „Na co ma ten dom służyć?" „Co on ma spełnić w życiu żołnierza?" „Co on da żołnierzowi naszemu?"

Odpowiedź na to pytanie łatwa. Dom żołnierza polskiego ma zastąpić młodemu wojakowi w czasie jego przepisanej służby dla Ojczyzny, dom rodzicielski.

Powiem więcej. — Nasz dom żołnierski będzie w wielu wypadkach uzupełniał to, czego w życiu młodzieńca nie chciał, czy nie mógł spełnić dom rodzicielski.

I znowu dalsze pytanie.

Jakie w życiu człowieka ma znaczenie dom rodzinny?

Odpowiadam: Dom rodzicielski wywiera na duszę człowieka ten sam wpływ, jaki wywiera słońce na ciało. Usuń słońce, a nastanie ciemność — zimny mróz zwarzy wszelkie życie. Tak samo jeśli w dziedzinie ducha usuniesz dom rodzicielski, — to słońce moralne, to zaginie wszelkie życie wyższe, życie duchowe.

Jakież to siły życiodajne wydziela z siebie słońce? Daje światło i ciepło. I dom rodzinny w dziedzinie ducha czyni to samo.

Stamtąd płynie światło wiedzy.

Czyż matka układająca dziecku język de wymawiania słów, do nazywania otaczających je przedmiotów właściwemi nazwami, czy ojciec na zapytanie szczebiocącego dziecka, na jego uporczywe pytania: „a co to?“ nie rzucają ogromnego snopu światła na umysł?

Albo znowu ta sama matka, kiedy składa rączęta dziecku do pacierza i wskazuje ręką ku górze, ku Bogu, nie zapala serca miłości żagwią?

To samo zadanie w życiu twojem wojskowem ma spełnić dom żołnierza.

Ma Cię oświecić młodzieńcze. A tej oświaty tak nam potrzeba, zwłaszcza u nas w Polsce, gdzie z winy poprzednich gospodarzy tylu liczymy analfabetów, tych kalek pożałowania godnych, tych ślepców duchowych!

Ty, żołnierz, obrońca Ojczyzny, przyszły obywatel wolnej Polski, nie możesz być ślepcem duchowym. Musisz poznać pracę — musisz zdobyć potrzebną oświatę, musisz poznać kim jesteś, gdzie żyjesz, jakie są Twe obowiązki z jednej, a prawa z drugiej strony. Tu właśnie, w tym domu, mają na duszę Twą młodą padać promienie wiedzy, potrzebnej Ci jako człowiekowi, jako żołnierzowi i jako przyszłemu obywatelowi.

Lecz dusza samem światłem się nie zadowoli i samo światło życia jej nie da. Dusza człowieka musi mieć dużo ciepła, aby żyć mogła. A tem ciepłem to miłość.

I znów dom ten, Twój dom żołnierski, da Ci to ciepło ożywcze, rozpali Twe serce miłością.

Tu się nauczysz kochać Boga i ludzi. Przez obcowanie z kolegami z innych broni rozpalisz duszę swą miłością koleżeńską, poznasz bliżej i pokochasz te różne szczepy zamieszkujące naszą Ojczyznę i pokochasz ty Polaku, Rusina, ty Rusinie Polaka, boście dzieci wspólnej Matki, poznasz historję ojczystą, — poznasz jej zwyczaj i obyczaj i pokochasz Ją, Tę, dla której masz złożyć życie w ofierze, gdy tego będzie potrzeba.

A kiedy tak, jak mówię, promień światła i ciepła padnie na twą duszę żołnierzu młody, to ta, jakaś jasność wielka, wymaluje się na Twej twarzy, jakaś radość wewnętrzna przepełni Cię. — Będziesz zadowolony z życia, z ludzi, z siebie — i dobrze Ci będzie i tu w czasie Twej służby i potem gdy wrócisz do domu.

Nie chcę Was nudzić zbyt długą mową, ale dodać muszę jeszcze, jak bardzo nam w polsce takich ośrodków słonecznych, takich domów, z którychby na ludzkie serca promieniowały światło i ciepło, potrzeba.

Tyle naokoło ciemnoty! To, że się po wojnie wszyscy pięknie ubierają, nie oświeciło nic a nic umysłów. — Tępota myślenia, ciemnia dusz, panują w naszem społeczeństwie.

A o miłości, o tym drugim ożywczym motorze życia, ani mowy jeszcze. Nienawiść klasowa, nienawiść partyjna, nienawiść narodowościowa, szarpią trzewami naszemi jak konwulsje.

Zwątpić nam o losie? Zwątpić o przyszłości? nie! „Niech żywi nie tracą nadzieje!

I przed narodem niosą oświaty kaganiec“ — woła poeta. Tak! oświaty, a dodałbym jeszcze — i miłości kaganiec.

Więcej takich domów żołnierskich w Polsce, a tyle z nich wypromieniuje światła i ciepła, że ożywią cały naród i zapewnią mu szczęśliwą przyszłość.

4 listopada 1923.

Wypadki 6 listopada 1923 r.
W KRAKOWIE.

Świątynia ta, w której się obecnie znajdujemy, dawne już pamięta czasy!

Stoi ona na tem miejscu od czasów króla polskiego Zygmunta III-go. Lecz chociaż taka stara, nie mieściła ani razu we wnętrzu swojem takiego rusztowania — katafalku, z tylu zwłokami równocześnie!

Kto na tym katafalku spoczywa?

Oficerowie i żołnierze wolnej Polski!

Gdzież Oni polegli? na jakimże froncie?

Padli na ulicach Krakowa, dawnej stolicy Polski!

Patrzał na ich śmierć stary Wawel, ten Wawel z sercem Zygmunta, który dopiero niedawno tak radośnie dzwonił na wolność Ojczyźnie.

Patrzała na ich śmierć prastara Marjacka wieża, ta grodu strażnica, na której widok myśl się korzy, a serce zachwyca!

Kto ich tych żołnierzy naszych mordował? Był to mord!! widziałem na własne oczy, jak z zaułków do Nich strzelano! O! zgrozo! wstyd powiedzieć!

Mordowali ich bracia rodzeni, mordował ich lud krakowski!

Za co ich mordowano?

Na to pytanie nie mam odpowiedzi. — Nie wiem!

Odpowie na nie dopiero historja, która się kiedyś śmiać będzie z dzisiejszych Polaków!

Kto temu winien? — Nie wiem!

Tu można tylko powiedzieć za Ujejskim: „Inne szatany były tam czynne!

O! rękę! nie ślepy miecz!!“

To jedno tylko wiem, że ci, co kierowali rękami głodnego ludu, z pewnością głodni nie byli!! Padł oficer i żołnierz polski! To nie nowina! Tylu ich padło na różnych frontach, że niema kawałka ziemi, gdzieby się nie bieliły polskie kości. Przelewać krew, to obowiązek żołnierski!

Lecz trzeba przynajmniej wiedzieć, zaco się ją przelewa!

Starym jestem kapelanem wojskowym. Grzebałem na froncie wschodnim tysiące polskich żołnierzy — tysiące grzebałem nad krwawą Piawą. Każdemu z nich mogłem na pożegnanie powiedzieć: „Bracie, niech Ci ziemia będzie lekką!"

Dziś Wam kochani żołnierze tego powiedzieć nie mogę. — Ta ziemia ojczysta nie będzie Wam lekką, bo po tej ziemi ojczystej chodzą szakale! ta ziemia nie będzie Wam, Żołnierze polscy, lekką!

Nie chcę mówić dalej, bo słowo w gardle staje i przez usta przejść nie chce!

Cóż Wam dam żołnierzyki kochane na odchodne w tę krainę daleką?!

Serca! Czyje? Nie ludu polskiego, z którego wyszliście i który tak gorąco jak n. p. ś. p. rotmistrz Bochenek ukochaliście — bo ten lud do Was jak do zwierzyny strzelał!

Lecz uścielę Wam pod nogi serca Waszych kolegów, oficerów i żołnierzy!

One Was z pamięci nie wypuszczą!

Mogę Was zapewnić imieniem zebranego tutaj całego korpusu oficerskiego i żołnierzy polskich, że na zew Ojczyzny, wszyscy tak, jak Wy staniemy, wszyscy, jak Wy spełnimy nasz obowiązek, chociażby przyszło jeszcze raz krew przelać a nawet życie za nią oddać. Amen.

9 listopada 1923.

Poświęcenie grobowca
POLEGŁYCH UŁANÓW
6 listopada 1923 r.

„Przechodniu! powiedz Ojczyznie, że wierni Jej prawom tu spoczywamy!“

Napis ten, jak wiadomo, umieścili Grecy na pomniku, który wznieśli w Termopilach swym trzystu bohaterom, z wodzem ich Leonidasem na czele.

Kiedy na małą, a do tego niezgodą wewnętrzną osłabioną Grecję szedł ze wschodu zalew perski, hufiec trzystu spartan z Leonidasem na czele, stanął do walki śmiertelnej, w wąwozie termopilskim. Padli wszyscy, pokryli się własnemi tarczami i złamkami dzid swoich — legli cisi na skalistej ziemi ojczystej. Ta cicha ofiara spartańskich bohaterów obudziła lud grecki z obojętności sennej. — Pojedyncze państewka podały sobie ręce do zgody — a potem przyszły zwycięstwa. — Pers wrócił do swoich pieleszy.

Odtąd każdy Grek, przechodząc przez wązki przesmyk termopilski, przystawał w milczeniu i oddawał hołd cnocie żołnierskiej, która umiała życie oddać dla obowiązku i prawa.

Stoimy na grobowcu żołnierzy naszych, który powstał w ciągu roku po smutnych, bolesnych, wstydem każdego Polaka przejmujących, zeszłorocznych wypadkach listopadowych, z groszy żołnierstwa polskiego i polskiego ludu, a nie tyle z groszy, ile z serc.

Stoimy na grobowcu naszych ułanów i jednego szeregowego samochodów. Pocośmy tu przyszli?

Był zwyczaj w starożytności, że żołnierze idąc na wojenną wyprawę, ostrzyli miecze o grobowce swych poległych przodków, aby nabrać zaciętości do walki i męstwa.

Czyśmy dziś przyszli tutaj w tym celu? Czy chcemy o groby naszych żołnierzy ostrzyć miecze do walki? Tak! chcemy wyostrzyć nasze miecze, chcemy nabrać do dusz naszych zawziętości i nienawiści przeciw nieprzyjacielowi! Nie wymawiamy się od tego i nie zapieramy się tego! Lecz któż jest tym nieprzyjacielem? Czy ci sąsiedzi nasi, którzy ciągle jeszcze myślą o jarzmie dla nas? Czy lud polski, czy obywatel Rzeczypospolitej jakiegokolwiek wyznania, jakiejkolwiek narodowości, jakiegokolwiek przekonania politycznego?

Nie! wróg nasz najzaciętszy, przeciw któremu miecz naszej duszy, wole nasze u stóp tego grobowca zahartować pragniemy, to wady nasze wewnętrzne, to nałogi nasze narodowe, te same, które już raz Ojczyznę naszą w grób wtrąciły.

Nie grzebmy w starych ranach własnych, rzućmy zasłonę na przeszłość! Ziemia cmentarna zrównała bezwzględnie wszystkie ofiary listopada, a czas, ten najlepszy lekarz wszelkich ran, przytępił znacznie ostrze bólu. Skłońmy głowę przed przeszłością a oddajmy sąd o niej przyszłości.

Przyszliśmy na grób tych, którzy podobnie jak polegli w Termopilach Spartanie umieli stawić czoło wrogowi, który zalewał dusze i umysły nasze — niekarności — i nieposłuszeństwu!

Nadstaw ucha — otwórz serce i słuchaj!

Oni mówią do Ciebie — Oni, ci żółci ułani, ci oficerowie i szeregowcy, co z różnych stron Polski przyszli, aby Jej służyć — Oni mówią — ci Polacy, ci Rusini, których jedna mogiła kryje. A mowa ich taka mocna, tak silnie uderza o rozpięte struny dusz naszych!

Słuchaj! — przechodniu! — Tak! Każdy z nas przechodniem na ziemi! Więc do wszystkich mówią. — I do Ciebie

Ministrze i do Ciebie obywatelu; — do Ciebie Senatorze i do Ciebie robotniku; do Ciebie Profesorze i do Ciebie miły dzieciaku szkolny; — do Ciebie starcze i do Ciebie młodzieńcze; — do Ciebie bogaczu i do Ciebie nędzarzu! Do całej Polski, jak długa i szeroka, kieruje się odzew Ich!

Mówcie żołnierze w mogile leżący — cała Polska Was słucha!

Mówią: „powiedz Ojczyźnie!"

Co jej mam powiedzieć! Może Wam brak czego i żądacie czego od Niej? Co możemy, to Wam damy!

Może się chcecie na nas pożalić? może żądacie modlitw naszych?

Nie! nie to Jej powiedz!

Powiedz Jej, że wierni Jej prawom tu spoczywamy!

Co za wielkie słowo! choć takie niby proste! Wierni Jej prawom — na Jej rozkaz, gdy Ona zawołała, oddaliśmy życie młode, przelaliśmy krew.

O gdyby ten głos usłyszała cała Polska?! Wierni Jej prawu! Justitia est fundamentum regnorum — podstawą państwa — prawo!

Jakoż możemy zbudować silny gmach Ojczyzny, jeżeli mu nie damy fundamentu silnego?

Jakoż mamy budować gmach Ojczyzny na lotnym piasku?!

Nie ostoi się! przyjdzie burza i zmiecie go, przyjdzie woda i zmyje go!

Jeżeli chcemy silnej Polski — to dajmy Jej za podstawę prawo i to prawo boskie i ludzkie!

A tymczasem my odpowiedzialni budowniczy Ojczyzny — to nasze pokolenie, co kładzie jako zrąb pod budowę?!

Prawo boskie wywietrzało z serc ludzkich — a prawo ludzkie, prawo państwowe służy na to, aby, jeżeli go nie można wprost podeptać, to przynajmniej go obejść!

Ile głów — ile serc — ile dusz — tyle praw!

Więc słuchajmy onej mowy zagrobowej!

„Posłuszni prawu tu spoczywamy!“

Za tę naukę, którą nam kochani żołnierze nasi dajecie, dziękujemy Wam szczerze! Na grobowcu Waszym położyliśmy kwiaty, jak zwyczaj każe. Ale kwiat zmarnieje, rozsypie się, podepcą go nogi przechodniów, wdepcą go w ziemię szarą i ślad po nim zaginie!

Więc trwalszego Wam trzeba upominku!

Oto zbudowaliśmy Wam twardy kamienny pomnik — ale i on z czasem się pokruszy!

Wam trzeba położyć na grobie Waszym coś niezniszczalnego — coś wiekuistego! A co? Dusze i serca całego narodu polskiego i całych pokoleń. One tu już dziś przychodzą i przychodzić będą, jak długo na ziemi bić będzie choćby jedno serce polskie i cześć a miłość nieść wam będą w darze, za tę wielką naukę, którąście zostawili.

Tu u Waszego grobowca spotkamy, się wszyscy synowie Polski — bez względu na wyznanie i narodowość, na przekonanie polityczne — tu przyjdziemy do Was, jako do nauczycieli karności i posłuchu.

My wszyscy otoczymy Was czcią i miłością, tak, że Wam zmarłym będzie dobrze wśród nas żywych!

6 listopada 1924.

Poświęcenie grobowca
Rokitniańczyków — Kraków
13 czerwca 1925 r.

Stoimy u grobowca, który społeczeństwo wzniosło na mogile rokitniańczyków-bohaterów!

Szarża ułanów polskich na okopy rosyjskie pod Rokitną dnia 13 czerwca 1915 roku pod wodzą rotmistrza *Wąsowicza* jest tak znaną, że jej opisywać nie potrzeba.

Okres dziesięciu lat, to mgnienie oka w historji — a jednak jak wielkie i ważne było to dziesięciolecie dla naszej Ojczyzny! Jakaż siła, jakaż moc życia narodowego mieści się między owemi okopami zdrutowanemi drutem kolczastym, na którym zawiśli polscy legjoniści-żołnierze-ułani, a tym dzisiejszym grobowcem, pod którym szczątki ich śmiertelne spoczywają?

Jeżeli rzucimy okiem na ten okres czasu, to widzimy w nim i grozę strasznej wojny, która się na polskiej tarzała ziemi — i straszny okres rewolucji, w której się lała potokami krew polska i topniał dorobek wieków pod żagwią czerwonego ognia! Widzimy ziemię polską odradzającą się, widzimy wroga pukającego do bram stolicy — wysiłek narodu dla odparcia tego brudnego plugastwa, które nas niby owad-pasożyt — pokryć i pogryść chciało i tę żmudną nad kładzeniem fundamentów Ojczyzny pracę.

A te wszystkie ważne i wielkie wypadki, które niby bujna rzeka przelewają się przez to dziesięciolecie dziejów naszych, wypływają z jednego źródła — z bohaterskiego żołnierskiego czynu — z ofiarności i męstwa polskiego żołnierza. Każdy wielki czyn, każda, ofiara, którą

żołnierz na ołtarzu składał, to jak kamień rzucony w głębię jeziora. Wywołuje on w spokojnej toni ruch i uśpione na dnie zdrowe i świeże warstwy wody wydobywa na powierzchnię — zastępuje niemi rozgrzaną słońcem falę wierzchnią i w ten sposób uzdrawia całe życie stawu. Fale powstające od uderzenia na powierzchni najpierw małe, coraz bardziej się rozszerzają, aż cłay staw staje się jednym ruchem.

Tak i czyn naszych rokitniańczyków wpadł w społeczeństwo polskie jak złoty kamień, który siły narodowe rozbudził ruchem falistym, przeszedł wszystkie warstwy i klasy społeczne i sprawił, że to co było nawierzchnie, niezdrowe zrzucił, a falę zdrową na powierzchnię wyłonił!

To też za ten czyn — za ofiarę żołnierską słusznie Wam, bohaterzy z pod Rokitny polski lud dziś hołd składa i jako wyraz tego hołdu grobowiec wznosi na Waszej mogile!

On będzie dla narodu kazalnicą, z której płynąć będzie nauka, jak trzeba dla Ojczyzny żyć i jak w potrzebie dla niej umierać!

On będzie dla nas i dla przyszłych pokoleń stroicielem naszych skołatanych dusz!

Dusza ludzka, to instrument muzyczny, którego struny często opadają. Trzeba je naciągnąć, trzeba od czasu do czasu na pewien ton nastroić. Tu u grobowca żołnierza polskiego możesz nastroic duszę swą! — Zasadniczy ton — miłość Ojczyzny, będzie ciągle brzmiał przy tym grobowcu.

Grobowiec ten ma też być trybunałem — przed którym stanąć powinni wszyscy ci podli i niscy, którzy dla kawałka pośledniego złota, Ojczyznę szarpią i wrogom zaprzedają.

Tu także trybunał odpuszczenia wszystkich win dla tych wszystkich, którzy poczuwszy winy swoje względem Ojczyzny popełnione, za nie żałują, ich się wyrzekają i na drogę dobrych synów wejść chcą. Rokitniańscy żoł-

nierze! W imię społeczeństwa krakowskiego — w imię całej współczesnej Polski — w imię przyszłych pokoleń, składam Wam cześć i podziękę za ową złotą ofiarę krwi, którąście pod Rokitną na ołtarzu Ojczyzny, jeszcze niewolnej, złożyli.

Kamień, którym naród mogiłę Waszą ozdobił niech Wam będzie zapłatą, bo wiedzcie, że na kamieniu tym legły wszystkie serca polskie.

13 czerwca 1925.

Koncert symfoniczny

na rzecz Pol. Żałob. Krzyża

w teatrze Słowackiego w Krakowie

22 marca 1925.

Za chwil kilka popłynie ze sceny ku nam przepotężna fala tonów, Symfonja!

Uderzy o dusze i wyczaruje nam przecudną wizję naszej przeszłości. „Polonia". Taki tytuł nadał autor dziełu swojemu. Niech mi wolno będzie w kilku słowach zapoznać Szanowną publiczność *a*) z autorem *b*) z ideją i *c*) celem dzisiejszego koncertu.

a) Autor O. Rizzi, który osobiście dzieło swoje wyprowadzi — postać oryginalna, najpierw co do stanu swojego. — Zakonnik. — Przypomina nam tę wielką epokę, kiedy to zakonnik w celi swej samotnej wysnuwał najpiękniejsze dzieła sztuki, — przebaśnione madonny, wspaniałe gotyckie katedry — przepotężne muzyczne symfonje.

Z pochodzenia człowiek obcy — Włoch. — Przybył młodzieńcem do Polski — wgłębił się w Jej dzieje, odczuł je i kiedy po raz drugi już dojrzałym mężem do Polski powrócił i zastał Ją w Jej nowej glorji — wyśpiewał dla Niej przepotężną pieśń, którą wkrótce usłyszymy.

b) Dzieło, — to ujęta w tony historja Polski.

1) Więc poważny Wawel, kolebka — a zarazem grobowiec Polski przedrozbiorowej. Stoi stary, niby dąb, który się korzeniami głęboko wpił w ziemię, ale któremu burze i wichry dziejowe połamały cudną koronę, poodrywały potężne konary i poodrzucały je na obce strony.

2) Snuje się do stóp i kornie mu nogi obmywa smutna polska rzeka — Wisła. Smutna, jak smutny lud, który nad jej brzegami mieszka.

A lud smutny. — I ten góral, u którego się ona rodzi i ten mazur, którego piaszczystą ziemicę podmywa i kujawiak, który na żyznej ziemi złocistą uprawia przenicę i pomorzanin i kaszuba, który się w jej potężnych falach przegląda i nadsłuchuje, jaką wieść niesie ona od tych złomów kamiennych, w których drzemią zaklęci rycerze i czekają na znak, aby się obudzić i do walki o wolność ludu wystąpić.

3) Nadszedł moment! Wybiła godzina na zegarze dziejowym. Obudzili się zaklęci rycerze. Idzie huragan poprzez polską ziemię. Ziemia ta, zda się, aż ciężko stęka pod uderzeniami stóp ludzkich i kopyt końskich. — Szumi powietrze od lotnych rycerzy — płoną sioła — walą się w gruzy miasta — krwią spływa smutna a wierna rzeka Wisła, krew do niej niosą wszystkie jej dopływy — górskie rwące potoki i leniwie wśród błot i równin wlokące się rzeczki.

Czarną płachtą odziana idzie śmierć — kosi mężów — zarazą dusi niewiasty i niemowlęta. Człowiek, jak zwierz tuli się do ziemi matki, grzebie w niej nory i jeszcze żywy, już groby zamieszkuje!

4) I oto w smutku i żalu ale też z niemą czcią staje cała Polonja u mogiły tego, który w Jej obronie krew lał, rany sobie w żywem ciele drzeć pozwolił. Stoi cała, smutna i cicha, jak matka przy zwłokach syna. — Nie rozpacza, nie przeklina, lecz krew ofiarną w jedną zbiera czarę, w jeden puhar olbrzymi, podnosi go ku niebu i cicho błaga: „ileż to razy Tyś nas nie smagał? a my nie zmyci ze świeżych ran — znowu wołamy — On się przebłagał, bo On nasz Ojciec — bo on nasz Pan!“

5) Krew ofiarna przebiła obłoki! Głos błagalny przedarł się do tronu Wszechomcnego! Z za mgły huraganu,

z poza krwawych oparów wynosi się jakaś wielka... jasność...

Nabijaną światłem drogą, łódź wolności zwolna płynie!

Rozkołysały się wszystkie dzwony, których zaborcy nie mieli jeszcze czasu przekuć w broń morderczą — rozśpiewały się wszystkie serca — uśmiechnęło się słońce, rozgorzała stubarwną tęczą, niby oblubienica idąca do ślubu, której liczne grono towarzyszy — Wisła — a ze starego Wawelu popłynął na równiny aż po bursztynowe morze głos: Zmartwychwstała! Glorja!

Oto — co nam Symfonja dzisiejsza swymi akordami nucić będzie, czem nas czarować i upajać.

c) A jakiż cel najbliższy dzisiejszego koncertu?!

Chcielibyśmy targnąć duszą naszej krakowskiej publiczności! Nie moją rzeczą jest moralizowanie — ale wszyscy to mówią, że Kraków ma patrjotyczne budowle, ale nie ma patrjotycznych serc. Krakowski Zygmunt głosił całej Polsce szczęsną wieść: „Zmartwychwstała!“ Zamilkł Zygmunt — zamilkły też serca. Oddane zabawie, zapomniały zupełnie o tem, że jeżeli się bawią jąko Polacy w wolnej Polsce, to kośćcem tej wolnej Polski są te, porozrzucane po całej naszej a i obcych ziemiach białe kości żołnierza polskiego, — że w żyłach tej wolnej Polski tętni wylana i w nią przelana krew synów Polski i to Jej najlepszych, najofiarniejszych.

Zapomnieliśmy już o tych kwiatach, któremi ich, tych najdroższych obrzucano, gdy szli w bój o Polskę, a dziś albo się wcale o nich nie wspomina, albo, jeżeli się wspomni, to tak, jak ten dorobkiewicz:

„murzyn zrobił swoje — murzyn może odejść“.

Dzisiejszy koncert urządzany staraniem P. Ż. Krzyża ma za zadanie zagrać na strunach dusz krakowian i wykrzesać z nich iskrę wdzięczności dla tych najlepszych synów, „krakowskich dzieci“ których kości częściowo tu w Krakowie, częścią w innych stronach Polski spoczywają

i pobudzić do ofiarności na wzniesienie pomnika dla Krakowiaków, poległych w obronie Ojczyzny.

Zastępowałem żołnierzowi Polakowi w Jego najcięższych chwilach Ojca i Matkę, spełniałem nieraz rolę pośrednika między nim a najbliższymi, — zamykałem Mu powieki na wieczny sen, wsłuchiwałem się w Jego ostatnie szepty i wyczuwałem z nich Jego ostatnią wolę. Kładłem Go w zimnym grobie na wieczny spoczynek, sypałem Mu w polu mogiłkę i krzyżykiem ją znaczyłem, — mam więc dziś prawo, a nawet obowiązek w Ich imieniu, tych moich najdroższych towarzyszy przemówić do społeczeństwa.

Z urzędu więc, jako przez Nich umocowany wyciągam rękę i żebrzę: „Pamiętajcie o poległych w obronie Ojczyzny dzieciach krakowskich! Nie żałujcie grosza na wzniesienie pomnika dla Nich!“

Niech tony tej potężnej symfonji, która popłynie poprzez tę salę teatralną, wywołają w duszach uczucie wdzięczności dla tych, którzy Polonję ze snu letargicznego do życia wzbudzili.

22 marca 1925.

NABOŻEŃSTWO

za poległych ułanów 8-go p.

dnia 18 marca 1925.

Historja naszego narodu podobna jest do postawu tkaniny, którą ktoś złośliwy na dwie rozciął części.

Aby ten postaw napowród w jedną złączyć całość, trzeba pracy długiej i mozolnej — trzeba dobierać nitek, któreby były zupełnie podobne do tych, z których tkanina pierwotnie była utkana. Te nitki muszą być tej samej grubości, tej samej barwy, aby nikt nie mógł rozpoznać gdzie się kończy jedna, a gdzie zaczyna druga jej część. Pierwsza część skończyła się z trzecim rozbiorem Polski — a druga rozpoczęła się z chwilą, kiedy Ojczyzna z długiego snu do życia się obudziła.

Pomiędzy pierwszą a drugą częścią tej tkaniny, robionej ręką historji, jest jednak przerwa, jest blizna, jest rozdarcie, które koniecznie trzeba czemś wypełnić, aby ten wielki postaw historji ojczystej jedną stanowił całość, a jeżeli już to niemożliwe, aby różnica między jedną a drugą częścią była minimalną. Trzeba tego „czegoś", co Mickiewicz nazwał „arką przymierza między młodszemi a dawnemi laty". Trzeba pracy tkackiej, wiążącej dawne z nowym. I widzę, że ta praca nawiązywana między dawną a nową tkaniną idzie. Staramy się łączyć nowe, młode nasze instytucje z dawnemi. Prym w tej pracy dzierży wojsko. Stara się nowe swe życie oprzeć na dawnych tradycjach. Mamy dowód w 8 p. uł. Nawiązał on tradycję z wojskiem polskiem z czasów wielkiej epoki napoleońskiej — z ostatnim wodzem tych rycerzy, którzy gnani rozkazem genju-

sza wojny z jednego kąta już nie Europy, ale świata w drugi, lali obficie krew, ufni, że z tego świętego posiewu zejdzie plon wolności. Pułk, który przyjął i wypisał na swoich emblematach imię X. Józefa Poniatowskiego, wziął tem samem na siebie obowiązek nawiązania i połączenia nowych dziejów z dawnemi.

Pomny tego obowiązku nałożonego nań przez historję, rozpoczął pracę tkacza, mającego rozdartą tkaninę napowrót złączyć. Trzeba było użyć tych samych nitek, któremi tkali dzieje ojczyste przodkowie z przed stu laty. A były to złote nici miłości i czerwone, krwawe nitki trudu i ofiary. Tych samych nici użył 8 p. ułanów X. Józefa Poniatowskiego w dziele swojem.

Miłość Ojczyzny i chęć ofiary były bodźcem do czynu. Kiedy Ojczyzna wstająca zawołała: „Dzieci! Do mnie!", to pierwsze były dzieci krakowskie, ósmy pułk ułanów X. Józefa Poniatowskiego.

Jak ongi dziadowie pod wodzem bez skazy, księciem Józefem, wysłali kośćmi swoimi drogę od Hiszpanji aż do Moskwy, — tak Ci wnuki wielkich dziadów wysłali kośćmi swemi wszystkie zakątki Polski. Niema kąta w Rzeczypospolitej, gdzieby nie były kurhany, mogiły rycerzy bez skazy — ułanów X. Józefa.

I u nas w Krakowie mamy mogiły tych, którzy umieli pełnić obowiązek swój żołnierski aż do wylania krwi z żył swoich.

Dziś 8 pułk czci pamięć wszystkich poległych oficerów i ułanów — swych towarzyszy, którzy w obronie Ojczyzny życie swoje w ofierze złożyli! Dziś obywatelstwo krakowskie czci jednego z ostatnich, który gdy obowiązek żołnierski zażądał od niego ofiary, umiał ją złożyć, jak na żołnierza z pułku Księcia Józefa przystało.

Dziś te wszystkie świetlane duchy poległych — tego pułku ułanów, przywołani wysiłkiem woli naszej, — gromadzą się koło nas!

Więc im cześć oddajmy! Hołd Wam, którzyście życie Wasze na ołtarzu Ojczyzny złożyli! Gdziekolwiek ciała Wasze spoczywają — niech Wam ziemia matka lekką będzie!

Modlitwy nasze popłyną przed tron Wszechmocnego, aby wszelkie winy i skazy, były Wam darowane, byście się mogli cieszyć szczęściem wiekuistem. Amen.

18 marca 1925 r.

Święto doroczne oddziałów sanitarnych.

Dwie są potęgi zwalczające się od wieków, od samego zarania bytu, z bezwzględną zaciętością i uporem, walczące i ścierające się bez najmniejszego wytchnienia, bez chwili przerwy i odpoczynku — dobro odwieczne i odwieczne zło.

W całej naturze widzimy te dwie sprzeczne tytaniczne siły, dwa bieguny przeciwne, siłę przyciągania i siłę odpychania, siłę, która tworzy i siłę, która rozkłada i niszczy. To też w dziedzinie ducha dopuścił Stwórca, by istniały dwie wprost sobie przeciwne, jak dwa przeciwne bieguny magnesu, potęgi — dobro i zło.

I kiedy jedna z tych potęg dzieło swoje do pewnej doprowadzi granicy, przychodzi druga potęga, rywalka pierwszej, aby jej dzieło zniszczyć, lub conajmniej utrudnić. Odwieczna prawica i lewica, odwieczna opozycja!

Historja i odwieczny pochód w dziejach ludów, narodów, państw, jest potwierdzeniem zasady o dwu pierwiastkach sprzecznych, o dwóch biegunach przeciwnych. Raz przeważa pierwiastek dobry, a skoro dobro doprowadziło dzieło swoje do pewnej granicy, — nadchodzi moc zła i niszczy dzieło. Przy tej odwiecznej wadze, na której szalach położone są na jednej dobro, a na drugiej zło, stoi Opatrzność boża i czuwa. Skoro na jednej szali zbierze się zbyt wiele zła i zaczyna język u wagi wyruszać z pionowego położenia, Opatrzność dorzuca na szalę przeciwną pewną ilość dobra tak, aby wagę w równowadze utrzymać. Inaczej świat przestałby istnieć, gdyż nie spełniałby zadania nazuaczonego przez bożą Opatrzność.

Dlaczego ja to mówię?

Bo chcę Wam żołnierze sanitarni wykazać, jak to Opatrzność boża w czasie wojny, która jest bezsprzecznie złem największem, najgorszą plagą, jaka ludzkość dotknąć może, wyrównywała zło — dobrem.

W czasie każdej wojny, a przedewszystkiem tej najstraszniejszej, ostatniej zdaje się, że wszystkie biesy piekielne zrywają się z łańcuchów, aby ludziom szkodzić!

Giną życia ludzkie, ogień niszczy mienie, zaraza dotyka nawet tych, którzy zdaleka od bitewnej zawieruchy stoją i zmiata tysiące i tysiące niewinnych dzieci i niewiast... Gdy się na to patrzy, na to straszne dzieło zniszczenia, oszalećby można!

I narzuca się w takich chwilach grozy bluźniercze prawie pytanie i ciśnie się na usta, to wielkie słowo: „a gdzie Bóg?!"

A Bóg jest! On stoi przy odwiecznej wadze i czuwa. I gdy widzi, że zło zaczyna przeważać, kładzie na przeciwną szalę dobro.

Dzieło samarytańskie, praca sanitarjusza, sanitarjuszki w czasie wojny, to ta przeciwwaga złemu.

Samarytanin! Znalazł przy drodze człowieka i to człowieka zupełnie obcego — co więcej według ogólnych sądów współobywateli swoich — wroga. Człowiek ten leżał w rowie przydrożnym zraniony, napół żywy. Nie zważa na to Samarytanin. W tej chwili nie widzi człowieka obcego pochodzeniem, wroga swego narodu — on widzi tylko człowieka biednego, potrzebującego pomocy doraźnej, ratunku szybkiego.

Oto zadanie Samarytanina — sanitarjusza w czasie wojny!

Kiedy te wszystkie z łańcucha spuszczone złe biesy, głód, ogień, mór zaczną kąsać ludzkość i tysiące a miljony poranionych braci leży opuszczonych przy drogach i na polach, w chatach, pałacach i szpitalach, sanitarjusz idzie, jak on Samarytanin miłosierny, podnosi chore, opatruje

rany okaleczałym, mówi dobre słowo do ucha konającym, zbiera umarłe i szczątki ich śmiertelne na łonie pramatki ziemi do snu wiecznego układa. Ileż dobra, ile czynów miłosierdzia spłynęło z rąk tych Samarytan — sanitarjuszy na biedną cierpiącą ludzkość? Policzy to tylko Bóg, który przy odwiecznej wadze, gdzie się odważa zło i dobro stoi, policzy i zapłaci!

Nie sądźcie żołnierze sanitarni, że praca Wasza jest mniej ważna, aniżeli innych gatunków broni, że Wy mniej się względem Ojczyzny zasłużyliście, aniżeli Ci, którzy z bronią w ręku za Nią się zastawiali i krwią serdeczną miłość ku Niej pieczętowali! Nie! Praca Wasza samarytańska jest również wzniosłą i zasługi pełną. Iluż to sanitarjuszów zginęło w pierwszych szeregach, gdy wśród gradu kul śpieszyli z pomocą rannym towarzyszom?! Iluż Ich zginęło ukąszonych w szpitalach epidemicznych złośliwą zaraźliwą chorobą?! Jakiegoż to ducha ofiary i poświęcenia wymaga od Ciebie żołnierzu — sanitarjuszu Twój zawód?!

Dziś przyszliście do świątnicy Pańskiej, aby oddać cześć przeszłości. Zwróćmy w czasie mszy św. myśli nasze w przeszłość! Wspomnijmy tych wszystkich, którzy w wykonywaniu swych obowiązków samarytańskich życie swe złożyli w ofierze i zmówmy pacierz za spokój Ich dusz!

Cześć Wam sanitarjusze! hołd ofierze waszej! Zwróćmy się też do Pana w kornej modlitwie, aby Wam dodał sił byście tak samo, jak starsi bracia Wasi mogli ofiarnie, z poświęceniem, przejęci duchem miłości Boga i bliźniego pełnić dzieło miłosierdzia! Amen.

14 lutego 1925.

Święto pułkowe 73-go p. p.

w Katowicach 1925 r.

Żołnierzu! i Ty drogi ludu Śląski!

Dziwnemi drogi prowadzi Opatrzność narody!

Dziwną i niepojętą dla zwykłego śmiertelnika drogą wiodła Opatrzność przez dzieje naród polski!

Ale szczególnie dziwną i niepojętą drogą wiodła Opatrzność tę część polskiej piastowskiej ziemicy, która się Śląskiem zowie.

W samem prawie zaraniu bytu państwowego została wycięta z żywego ciała Ojczyzny, — porzucona niby niemowlę, które niebacznie z kolebki wypadło. Znalazła je nie matka rodzona, lecz niewiasta obca, która ujęta urodą dziecka podjęła je, wzięła na wychowanie sądząc, że dziecię stanie się z czasem jej bezsporną własnością. Mijały lata! dziecię wzrastało — przejmowało się zwyczajami i obyczajami swej przybranej matki — a ona je karmiła dostatnio i ubierała w drogocenne szaty.

I zdawało się, że stosunku zadzierżgniętego między przybraną matką a dzieckiem żadna siła nie rozerwie. Aż nagle znalazła się matka rodzona. Biedna była i schorzała, bo Jej sąsiedzi żyć nie pozwalali — Świeże rany nosiła na swem ciele, a na grzbiecie nie złotogłów lecz zwykłą siermięgę. Jakżeż odbijała od tej bogaczki — matki przybranej?! Poznała dziecię swe i przemówiła do niego tak, jak tylko rodzona matka do dziecka przemówić potrafi. A w dziecku odezwała się krew, wyczuło matkę rodzoną i rzuciło się w Jej objęcia, mimo, że była biedna i skatowana.

To obraz ludu śląskiego, który po wiekach całych poznał w Polsce prawdziwą matkę swą i bez wahania, mimo, że wiedział, iż ona w porównaniu do matki przybranej zbiedzona i schorzała, rzucił się w Jej objęcia, bo się w nim krew rodzinna odezwała!

Żołnierzu polski! Ty byłeś tym, który pierwszy ujął za rękę to odnalezione przez rodzoną matkę dziecię i do matki je przywiódł!

Żołnierzu polski! Ty masz to szczęście, że i teraz jesteś piastunem tego najmłodszego dziecięcia matki — Ojczyzny! Tu, gdzie się niedawno nie wolno było odezwać po polsku, stoisz dziś Ty żołnierzu polski i obchodzisz swe święto pułkowe!

Jakżeż dziwne są drogi bożej Opatrzności, które przez dzieje wiedzie narody!

Lecz wiedz o tem żołnierzu, że z zaszczytu, który Cię spotkał, gdy Cię los wybrał na piastuna i opiekuna ludu śląskiego, wypływają dla Ciebie ważne obowiązki.

Jak dobra piastunka wychowuje poruczone jej dziecię przedewszystkiem dobrym przykładem, tak i Ty żołnierzu masz ludowi śląskiemu wśród którego przebywasz świecić przykładem.

Masz być żołnierzem religijnym i bogobojnym, jak religijnym i bogobojnym jest śląski lud!

Masz być pracowitym i punktualnym, jak śląski górnik i pracownik fabryczny!

Masz przodować jako prawy Polak, który nie daje dostępu do siebie żadnym judaszom szepcącym mu do ucha zwodnicze słowa i błyskającym przed oczyma ułudnym blaskiem złota!

Masz stać, jako przednia straż, odpierająca wszelkie zakusy sąsiadów na tę piękną ziemię śląską!

Do Ciebie się zwracam ludu śląski!

Patrz na tego żołnierza szarego, który dziś święto swe pułkowe obchodzi! Wiedz o tem, że on pierwszy podał Ci dłoń, aby Cię do swej matki rodzonej — Ojczyzny

doprowadzić i wiedz, że On tu przebywa między Tobą nie jako zaborca i najeźdźca, ale, że On brat Twój i przyjaciel, On obrońca Twej ziemi i Jej skarbów!

To też otocz Go przyjaźnią i miłością!

Niech ta złota obręcz miłości, która skuła przed trzema laty serca Twoje i żołnierza nie folguje!

Skuci tą świętą obręczą miłości pójdziecie wspólnie, Ty ludu górnośląski i Ty żołnierzu polski, jasnym i prostym szlakiem ku słonecznej, szczęśliwej przyszłości, a żadna siła ludzka nie potrafi Was z tej drogi sprowadzić!

A więc do pracy z Bożą pomocą, wspólnemi siłami dla dobra Ojczyzny!

Zaprzysiężenie ułanów
pułk. Beliny.

Ślubowanie żołnierskie! W obliczu Boga w Trójcy jedynego macie złożyć ślubowanie! Słowa roty ślubowania krótkie, ostre — jak stal szabli i jak jej świst przedzierający powietrze! Ale jak uderzenie stalą swój skutek wywiera, tak i te słowa ślubowania muszą swój skutek osiągnąć. One padają w serce, przeszywają je i na dnie serca zostają, jako siła na drogę żołnierskiego tułactwa!

Chciejcie się młodzi Beliniacy zastanowić króciutko nad znaczeniem tego aktu, tej sprawy bożej — świętej, którą wkrótce dopełnić macie.

a) Macie ślubować — t. zn. wezwać Boga na świadectwo, że tego, co przyrzekacie, za wszelką cenę dotrzymacie! — Bóg, który czyta w sercu człowieka jako w księdze otwartej, który wie, co się dzieje w każdym skręcie, w każdym fałdzie duszy naszej, ten Bóg ma Wam dodać siły, byście ślubowania Waszego dopełnili.

b) Co ślubujecie? — Ślubujecie, że będziecie dobrymi żołnierzami. A wiesz bracie młody, co to jest żołnierka? To nie zabawa! To nie uciecha! to — zakon twardy! To też w dawnej Polsce żołnierz służbę swoją zakonem zwał! A zakon nakłada na człowieka pewne reguły, przepisy, których się dotrzymać za wszelką cenę musi! Służba wymaga od Ciebie bezwzględnego posłuchu. — Bez posłuchu niema wojska. — Wymaga ofiary z dóbr najdroższych! Żołnierz musi być na wszystko przygotowany! Już Wasi towarzysze zaznali, co to służba! Ona chce koniecznie krwi Twojej. Krwią może trzeba Ci będzie skropić ziemię tę!

c) Komu ślubujecie?! Ojczyźnie! swojej drogiej matce, którą zbrodniarze, gdy była słabą opadli, sponiewierali, w trumnę złożyli — wieko zatrzaśli i kiwając radośnie głowami, sądzili, że więcej nie wstanie.

Pomylili się kaci, bo zapomnieli, że mędrszym i potężniejszym od nich jest Bóg. Dziś ona wstaje odrodzona. Wykąpała się w krwi własnych synów i córek, ogrzała przy łunach pożarów, przejrzała się niby w zwierciadle, w duszy swego narodu i chce żyć!

I woła ku dzieciom! Zasłońcie mnie jeszcze krótki czas, dzieci moje, bo stare i nowe katy żyć mnie nie dają! Do Was żołnierze ten głos Ojczyzny się zwraca! I Wy śpieszycie na Jej głos! Już wielu pod chorągwią tą krew przelało za Nią — już i Wy w ostatnich czasach nadstawialiście i to ze skutkiem piersi Waszych. Lecz ofiara jeszcze nieskończona! By jej dopełnić, mocy i siły trzeba! — mocy nie tyle ciała, ile mocy ducha.

Skądże ją zaczerpnąć?

Tu! od ołtarzy! Tu u wrót Pańskich! tu, skąd idzie siła wewnętrzna!

Tu u stóp Królowej nieba — tej co była i będzie Opiekunką Narodu naszego!

Stawmy się myślą naszą przed Ich obliczem i powtarzajmy uroczystą rotę przysięgi! *Do przysięgi!*

Rocznica powstania styczniowego w kościele na Zwierzyńcu

25 stycznia 1925 r.

Dziwny był koniec, zgon naszej Ojczyzny w pierwszym okresie jej istnienia. Czasem się zdarzy, że wśród hucznej zabawy, kiedy wesołość i dobry humor kipi w towarzystwie, ten, który się żartom i rozrywkom najwięcej oddaje, rażony paraliżem pada i ginie. Na nic ratunek najbliższego otoczenia, na nic żale i łzy — śmierć jednem cięciem przerywa nić żywota.

Ale się i to też przygodzić może, że będzie to tylko śmierć pozorna — letargiczny sen, z którego chory po pewnym czasie się budzi i do zdrowia powraca.

Tak było z Ojczyzną naszą w ostatnich czasach przed jej upadkiem. Była zabawa — zabawa, jakiej rzadko szukać! Jedna wielka reduta, jedna maskarada! Zapusty! Bawiły się króle, bawiły się pany — bawił się szlachcic — wszystko wirowało, wszystko się kotłowało — pieniło się wino — błyszczało złoto! Nic to, że chłop nie miał dachu nad głową, a jadł korę drzew, nic to, że choroby dziesiątkowały ludność — nic to, że skarb był pusty, nic, że nie miał kto bronić granic, nic to, że rządy sprawiały obce władze, nic to wszystko! Taniec szedł dalej i dalej, ciągle równo, ciągle w takt!

Aż sił brakło w nogach, aż oddech zaparło, aż tchu brakło w płucach, aż krew pobudzona kielichami perlącego się wina uderzyła na mózg. — Porażenie — apopleksja — Polska leży bezwładna!

Zbiegli się sąsiedzi najbliżsi, Rosja, Austrja, Prusy. Niby ją chcą ratować, niby Ją pragną wskrzesić — udają

współczucie — tkliwa cesarzowa austrjacka płacze. Ale już niema co mówić. — Umarła — nie wstanie! Szkoda — ale czas się dzielić spadkiem. I ciągną kochani sąsiedzi — kto więcej ze spadku wyciągnie? Rozdarli zdobycz — usiedli jak sępy na ścierwie i siedzą spokojnie, pewni siebie! Skończyło się!

Ale jakżeż się pomylili?! To nie była śmierć zupełna — to był chwilowy, letargiczny sen! Ona nie umarła — Ona tylko zmęczona zbyt huczną zabawą popadła w bezwład!

Ale Ona się budzi od czasu do czasu — Ona coś mówi przez sen, jakby wołała: ulżyjcie mym piersiom — zwolnijcie z więzów niewoli me członki — chcę się poruszać — chcę wstać — chcę żyć!

Te chwile, to powstania narodu polskiego! To powstanie Kościuszkowskie 1794 r. Powstanie listopadowe roku 1831 — i to ostatnie najtragiczniejsze, bo najmniej mające widoków powodzenia, powstanie styczniowe 1863 r.

One to były w czasie półtorawiekowego snu letargicznego te groźne dla spadkobierców przebudzenia, te wołania biednej skrępowanej Polski o ratunek. Dziś w wolnej Polsce rozpamiętywamy te chwile!

Korzystając z tej sposobności i chcąc wywołać oddźwięk w duszach naszych, chcę przemówić dzisiaj na temat: „Sianie było w smutku, a żniwo w radości!“ Zwróćmy oczy nasze ku przeszłości. Idzie ku nam od tych pól śnieżnych, na których walają się czarne trupy powstańcze, od tych obozów wśród lasów rozłożonych, od tych młodych krzepkich postaci, które idą na przemożnego wroga z piosenką na ustach — idzie powtarzam — od tych lat okrwawionych krwią ostatnich najlepszych naszych, których epigoni jeszcze między nami chodzą — jakaś moc tajemna, jakiś dziwny podmuch, co rozwichrza dusze nasze i przywodzi na myśl pytanie tak często już powtarzane w latach ostatnich naszej niewoli: — poco oni ginęli ci młodzi zapaleńcy? poco lali krew, kiedy wiedzieli dobrze, że przemocy nie zdzierżą?

A taka dziś, kiedy spadły więzy z rąk i nóg i serc i mózgów naszych — prosta na to odpowiedź. Gdyby nie było powstań narodowych przeciwko obcej przemocy — nie byłoby dnia dzisiejszego!

Pozwólcie, że to przedstawię krótkiem porównaniem. Siejba i żniwo są ze sobą tak związane jak przyczyna, ze skutkiem. Bez pierwszej, niema drugiego. Rolnik rzuca w ziemię ziarno w nadziei, że mu ono plon przyniesie, chociaż zdarzyć się może, że już prawie do żniwa gotowy plon grad zniszczy do szczętu! Cobyśmy powiedzieli o takim rolniku, któryby z obawy przed burzą i chmurą gradową wstrzymał się na wiosnę od siewu? Naród zakuty w kajdany niewoli, jeśli chciał więzy potargać i doczekać się chwili zbierania plonów — wolności, swobody, — musiał się odważyć na wszystko! musiał protestować, musiał wołać, musiał krzyczeć, musiał siać! I siał.....! rzucał w ziemię ziarno....

Spytasz — jakie? Kośćmi i krwią nawoził ziemię — a siał w nią młodzieńczy zapał tych, którzy porywali za broń, by spojrzeć w oczy nieprzyjacielowi od siebie tysiąckrotnie silniejszemu!

Tak! powstania, które naród polski w czasie swej niewoli urządzał, to był siew, siew krwawy, ale konieczny. Bez niego nie byłoby tego plonu, jaki my dzisiaj zbieramy.

Narzekali ci wszyscy, którzy nie wierzyli w zapał młodzieńczy, którzy wszystko biorą na rozum i każdy czyn ważą i mierzą, że szkoda każdej kropli krwi, na nierówną walkę, którą wiodła garstka zapaleńców przez półtora prawie roku, kryjąc się po lasach i borach, lejąc krew serdeczną w walce z wrogiem potężnym, który butem i knutem kozackim chciał stłumić zapał i ochotę polskiego ludu.

Narzekali ci wszyscy, którzy nie umieli patrzeć śmiałem okiem w przyszłość, na widok tych długich pochodów pogrzebowych, które odprowadzały tysiące i tysiące polskich chłopiąt w dalekie zimne wiecznie śniegiem

pokryte tajgi Syberyjskie, do nerczyńskich kopalni, na dożywotne roboty i wolne konanie.

Niemądrzy! Oni to właśnie byli jako ci rolnicy, którzy się boją rzucać ziarna w ziemię, aby burza gradowa plonu nie zniszczyła!

Naród polski musiał się krwawić, jeżeli chciał żyć! Gdyby nie było tego krwawego posiewu, zatracilibyśmy byli duszę polską. — Dziś bylibyśmy moskalami, prusakami, austrjakami, ale nie polakami! Chodzilibyśmy jak niewolnicy w jarzmie, spodleni niewolą, całowalibyśmy może z wdzięcznością łapę tego, który nas katuje! Gdyby nie ten krwawy siew, dziś matko polko, musiałabyś twojego syna uczyć modlitwy w obcej, wrogiej ci mowie — gdyby nie ten zapał młodzieży polskiej powstańczej, musiałbyś patrzeć ojcze na to, na co już patrzały oczy nasze w czasie tego ostatniego huraganu światowego, z którego się Polska wolna wyłaniała, jak syn twój, polak godził w pierś brata polaka bagnetem, lub kulą zjadliwą mózg mu z czaszki na brudną ziemię wylewał! Że dziś mówimy po polsku, że się modlimy do Pana Zastępów w rodzinnej mowie, że nas dziś nikt nie może bezkarnie zwać polskiem bydłem — żeśmy zasiedli przy wspólnym stole z narodami wolnymi, to zasługa tych, którzy, acz wbrew nadziei, pełni nadziei, zmagali się z wrogiem nie chcąc zaprzedać duszy swej wolnej ni za miskę soczewicy Jakóba, ni za brzęczące srebrniki Judasza.

Więc dziś, kiedy myślą naszą cofamy się wstecz, kiedy duch nasz błąka się po owych kurhanach i grobowcach kryjących kości polskich powstańców i po więzieniach i osiedlach sybirskich, — dziś, kiedyśmy się zebrali w świątnicy pańskiej, aby u stóp ołtarzy złożyć dzięki za łaskę wolności, którą się cieszymy — nie zapomnijmy też polecić dusz poległych bohaterów miłosierdziu bożemu, a tej krwawej, a wielkiej przeszłości oddajmy cześć!

2) Rozpamiętując przeszłość nie wolno nam stać z założonemi rękami i roztkliwiać się nią! — My, dzisiejsze pokolenie, musimy wytężyć wzrok duszy naszej i rzucić go w ciemną przyszłość.

My spadkobiercy tych wielkich ludzi, tych siewców bożych, którzy w ziemię polską rzucali ziarna własnej krwi i potu — my szczęśliwi żniwiarze, którym przypadło w spadku po nich żniwo przeobfite, my, którzy jesteśmy dziś wolnymi obywatelami wolnej Polski, nie sądźmy, że jesteśmy wolni od odpowiedzialności. Uniesieni radością, że nam się udało doczekać radosnej chwili zmatwychwstania Ojczyzny, że zbieramy obfite żniwo wolności i swobód obywatelskich, musimy sobie powiedzieć odważnie, iż przyszłość po Bogu od nas zależy. I my musimy siać, jeśli chcemy, aby przyszłe pokolenia zbierały owoce naszego siewu. Jeśli nie chcemy, aby dzieci i wnuki i prawnuki nie rzucały przekleństw na głowy nasze, jeśli nie chcemy, aby się w grobach kiedyś ruszały kości nasze na głos jęków i przekleństw potomnych pokoleń, to musimy i my siać, rzucać ziarno — na przyszły plon!

I cóż to ma być za ziarno, które mamy rzucać w łono matki ziemi dla dobra naszego i dobra przyszłych pokoleń? bezmiernie wielkie pytanie, a odpowiedź na nie trudna. Sądzę jednak, że możemy na nie odpowiedzieć pokrótce.

a) Musimy otrzymane od przodków skarby przechować i przekazać potomności, choćby w obronie tych skarbów przyszło nam walczyć do upadłego. Skarbcem narodowym, mieszczącym w sobie potężne walory, które naród w ciężkich chwilach dźwigały, a w smutku cieszyły, to — wiara przodków naszych w pierwszym, a obyczaj i kultura chrześcijańska w drugim rzędzie. Wiara i obyczaj chrześcijański nadały narodowi polskiemu pewne piętno w rodzinie narodów — one sprawiały, że nas uznawano za awangardę, za przedmurze chrześcijaństwa.

Tak jak pojedynczy człowiek ma powołanie do pewnego stanu i w tym stanie najłatwiej mu osiągnąć swój cel, swoje zbawienie, tak i narody całe mają swoje powołanie, w którem najłatwiej znaleźć im swoje zbawienie, które zapewnia im rację bytu w dziejach świata. Polska była potrzebna Opatrzności jako przedmurze chrześcijaństwa.

Najlepszy znak, kiedy Ją wykreślono z dziejów, to zachwiała się równowaga świata i musiała Ona napowrót stanąć do współpracy z innymi narodami, mimo woli i chęci Jej nieprzyjaciół. I nadal o tyle będzie mogła istnieć, o ile będzie wypełniała rolę tarczy i przedmurza przeciwko brudnej, ryżej fali, płynącej ku nam od wschodu! Więc szanować nam jako skarb, wiarę przodków i obyczaj chrześcijański.

Musimy się uszlachetniać i dążyć do tego, aby się zbyć naszych wad i przywar narodowych. Dobry rolnik nie zapomina o swej roli, kiedy ją uprawił i zasiał. On stara się wyrwać, wyplewić wszystkie chwasty. I my mamy czynić to samo.

Na niwie naszego życia społecznego tyle tych chwastów, — tych wad aż zbyt dużo, aby je można wszystkie wyplewić. Niezgoda, brak karności, brak punktualności, niechęć do pracy i cały szereg błędów, które potęgowane jeszcze psychozą powojenną, pokryły nasze życie tak, że zdrowe kłosy tylko gdzieniegdzie z pod tego kąkolu wystają.

Więc wziąć się nam do plewienia tego wszystkiego! A zaczynajmy każdy od własnego łanu — od własnego serca, od własnej duszy. My tak chętnie widzimy kąkol na łanie drugiego człowieka, sąsiada, a u siebie nic nie widzimy. Moralizować innych łatwo, to tania robota! — Moralizujmy najpierw siebie samych!

Ażeby plon wzrastał, potrzeba go czasem podlewać. Czem? W dziedzinie ducha siłą — która wzrost daje. —

To moc boża. Ani który sieje, ani który podlewa, lecz który wzrost daje — Bóg.

Do Niego trzeba nam myśl i serce podnosić wśród ciężkich i twardych prac naszych. Od Niego moc i siła i wzrost plonu.

To też i dziś — w czasie tego nabożeństwa, wznieśmy serca nasze ku Niemu! Niech On te niwy dusz naszych łaską swą ożeźwi, niech miłością ogrzeje!

Oby plon zeszedł dla przyszłych pokoleń obfity!
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie —
Ojczyznę, wolność — pobłogosław Panie! Amen.

Kraków 24 stycznia 1925 r.

UROCZYSTOŚĆ
Nieznanego Żołnierza.

Cała Polska bierze dzisiaj duchem udział w uroczystościach nieznanego żołnierza. Na jednem z przelicznych pobojowisk pod Lwowem wydobyto z ziemi kości żołnierza, którego nazwiska nie znamy i przewieziono je do stolicy, aby je umieścić w grobowcu pod arkadami na placu saskim. Jutro pochylą się sztandary i chorągwie całej Polski, wszystkich oddziałów wojskowych, wszystkich korporacyj i stowarzyszeń kościelnych i cywilnych, nad ową trumną, kryjącą kości żołnierza nieznanego, a przed grobowcem zabłyśnie światło, które ma płonąć przed tą relikwją narodową po wszystkie czasy.

Co oznaczają te kości żołnierza nieznanego? Dlaczego im ma cały naród cześć oddać?

Kości nieznanego żołnierza, to symbol, to znak zewnętrzny, który nam uprzytamnia tę wielką ofiarę, jaką żołnierz, a z nim cały naród polski złożył w okup za wolność i swobodę Ojczyzny.

Ofiara to rzecz wielka i święta!

Nie przesadzam wcale, gdy mówiąc o wysiłkach żołnierza polskiego i narodu dla uzyskania wolności, używam wyrazu „o f i a r a“ bo im bliżej się przyglądam, widzę w nich wszystkie czynniki do ofiary potrzebne.

a) Ołtarz — to cała nasza polska ziemia. Nie ma na niej zda się jednego metra, któryby nie płonął, nie krwawił, jak ów ołtarz całopalenia ofiary Ablowej. Nie ma na niej, zda się, jednej piędzi, któraby nie kryła relikwji kości męczeńskich, nie tylko żołnierza, ale i pomordowanych niewinnie niewiast, starców i dzieci.

b) Ofiara — to krew przelewana!

Ofiara — to łzy wypłakane!

Ofiara — to ból szarpiący nerwy i duszę! Ofiara — to popiół i zgliszcza spalonych ciał, pałaców, kościołów!

c) A któż ofiarnikiem? któż kapłanem sprawiającym ofiarę? To żołnierz, — syn Polski — to cały naród, — bo niema w narodzie ani jednej rodziny, któraby ofiary nie poniosła, z wyjątkiem niektórych zdeprawowanych jednostek, których jednak w szeregi narodu zaliczyć nie możemy.

Całą tę niezmierzoną ofiarę składa naród polski symbolicznie w grobowcu, w którym dziś spoczną kości bezimiennego, nieznanego żołnierza.

Zbliżmy się duchem do tego symbolicznego ołtarza narodowego i wpatrzmy się w te kości męczeńskie bezimiennego bohatera, a zobaczymy w tej trumnie, jakby w kruży, jakby w czarze ofiarnej i krew żołnierską i łzy sierot płaczących ojców swoich i ból matek targanych spazmem po stracie synów i tępe ględzenie starców płaczących kątów, z których ich wypędzono w deszcz, wiatr, zawieruchę i burzę piorunną!

Wpatrz się w tę truchłę, a olśnią twój wzrok pożary niszczące mienie polskie, a zobaczysz te lasy brzozowych krzyżyków wyciągających białe ramiona z mogił poległych, ujrzysz zgliszcza miast i siół tysięcznych, wypatrzysz te rowy zadrutowane i te nory podziemne, w których się człowiek, jak lichy gad, kryć musiał!

W grobowcu nieznanego żołnierza mamy syntezę, symbol ofiary! To też, kiedy u tej mogiły schylają się chorągwie całej Polski, my schylajmy kornie głowy nasze i w niskim pokłonie oddajmy cześć ofierze. Skłońmy serca nasze i rzućmy je jako żertwę! Niech się i one palą na tym narodowym ołtarzu!

Tobie! święta czaro ofiarna!

Tobie! krwi przelana!

Wam! łzy bolesne!

Tobie bólu wiercący dusze na wylot!

Tobie żertwo narodowa dziś cześć składamy!

Zanim zstąpię z tego grobowca, z którego przemawiam, muszę jeszcze skierować dusze Wasze w przyszłość, skorośmy już świętej przeszłości cześć i podziękę złożyli.

Czem w przyszłości ma być dla narodu mogiła nieznanego żołnierza? Tem, czem jest ołtarz w kościele.

a) Przed ołtarzem Pana zastępów płonie wiekuisty ogień, światło. Światło to ma wskazywać drogę wątpiącym i rozpalać serca oziębłych!

U grobu nieznanego żołnierza płonąć będzie również światło wieczyste, aby naród cały w chwilach zwątpienia, kiedy mroki padną na dusze, mógł znaleźć przy jego blasku dobrą drogę w przyszłość. — Przy tem ognisku mamy w przyszłości rozgrzewać serca, kiedy je walka o chleb powszedni i gruby materjalizm w żużeł przepali.

Lecz naród nie może żyć tylko uczuciem! Również i wolę trzeba rozwinąć, zaostrzyć!

O twardy marmur ołtarzy ostrzy rycerz swój miecz! O ten ołtarz narodowy, jakim jest grób żołnierza nieznanego, ma naród ostrzyć swoją wolę, która go będzie prowadzić niby igła magnetyczna w nieznane i często niepewne mroki przyszłości!

Tylko wtenczas, gdy grób nieznanego żołnierza stanie się ołtarzem narodowym, będzie miała dzisiejsza uroczystość sens i znaczenie — przeciwnie, będzie tylko jedną paradą więcej, będzie słowem bez treści i będzie dźwiękiem bez melodji!

A tak nam potrzeba takiego wspólnego ołtarza narodowego!

Nie trzeba być Skargą, nie trzeba być wieszczem, bo każdy zdrowo patrzący na życie nasze, na nasze wady narodowe, na partyjnictwo, życie nad stan, niechęć do pracy, widzi, że tak dalej być nie może, jeżeli tej wolności, która nam z ofiary nieznanej wypłynęła, utracić nie chcemy, jeżeli ją pokoleniom następnym przekazać chcemy.

Jeśli u tego ołtarza narodowego nie zagrzejemy serc do wzajemnego wyrozumienia, jeżeli nie nastroimy woli na jeden zgrany ton, to grób żołnierza nieznanego przestanie być ołtarzem narodu, a będzie istotnie jego grobem. Zgaśnie u jego stóp płonące światło, a od jego marmuru popłyną dla narodu nie fale ożywcze, ale powieje stęchlizna grobowa i otworzy się grób, ale na przyjęcie w siebie wolności naszej!

A wtedy przyjdą do tego pustego grobowca przyszłe pokolenia, rękami okutemi w kajdany niewoli potrząsać będą i skomleć:

Przeklęci ci, co wolność Ojczyzny przefrymarczyli!
Nie daj tego Boże!

1 listopada 1925.

Zakończenie roku.

„Święto też na zejściu roku obchodzić będziecie".
Exod. 23, 19.

W starym zakonie nakazał Pan Bóg przez usta Mojżesza, aby żydzi obchodzili uroczyście koniec roku. Żydzi rzeczywiście potrójnym obchodem święcili to święto. I tak święcili święto oczyszczenia. Wśród postu i umartwienia składali ofiarę za grzechy. — Następnie ofiarę dziękczynną — wreszcie ofiarę błagalną. I nam się kończy rok — jeden etap w podróży ku nieznanej, ciemnej, strachem przejmującej krainie wieczności.

Na zegarze naszego życia posunęła się wskazówka o jedną podziałkę.

Mimowoli zwracamy myśl w siebie samych i pytamy się: — jakto, jużeśmy tak daleko zajechali? Niedawno bawiłem się z rówieśnikami po łąkach i hasałem wesoło — a dziś! już mnie ciśnie ciężar dnia i upalenia, ciężar życia. Niedawno pamiętam — byłam młodą i piękną, zwracałam uwagę wszystkich na siebie — Dziś zmarszczki, ślady bólów i nędz życiowych, kryją me oblicze — siwizna pokryła szronem głowę moją — i już wnet trzeba będzie wysiąść na ostatniej stacji życia.....

Stąd też w duszy budzą się refleksje poważniejsze i każdy człowiek rozumny, nie filister, u którego treść życia polega na modnej fryzurze, w dniu dzisiejszym musi się nieco poważniej zastanowić i swój stosunek w wszechświecie dobrze zrozumiawszy ocenić, czy jest na dobrej drodze, czy spełnia należycie swój obowiązek?! eśli z woli i rozkazu bożego żydzi w starym zakonie po-

trójnie święto przy końcu roku odprawiali, to też to najodpowiedniejsze dla duszy człowieka.

Więc i my za wzorem ich w dniu dzisiejszym złóżmy Panu u stóp potrójną ofiarę — ofiarę przebłagania — dziękczynienia i prośby.

I. Ofiara przebłagania.

Uczciwy cesarz rzymski Trajan mawiał po dniu straconym te słowa: Amici! diem perdidi! Przyjaciele! straciłem dzień! I słusznie miał, bo dzień w życiu człowieka, to rzecz wielka i ważna i słusznie nasz wieszcz Adam powiedział:

W słowach chęć tylko widzim — w działaniu potęgę!
Trudniej dzień dobrze przeżyć — niż napisać księgę!

Minął rok, a z nim 365 dni. — Zapytajmy się, cośmy dobrego w tym roku uczynili? Czyśmy dnia nie stracili?

Ten dzień dobrze przepędzi, kto w każdym z nich na niwie serca wypleni choćby jeden chwast, kto w wieniec zasług wplecie choćby jeden kwiat. Chwasty, to grzechy — kwiaty, to cnoty. Pytaj się tedy, jakożeś plewił dziką glebę twej duszy? jakożeś w tym roku wił wieniec z cnót?

Aby to łatwiej uzupełnić — przejdź sobie pokrótce przepisy boże — i pytaj się, czyś je wiernie spełnił? Czyś czcił Boga i wierzył w Niego tak, jak kościół boży naucza? Czyś nie wierzył raczej w zabobony?...

A obowiązki twego stanu, ważne i święte obowiązki jak były wypełnione?

A ileż cnót nabyłeś? Podobno niewiele! Wspomnij — wiele łez obtarłeś? wiele nędznych pocieszyłeś?...

I oglądamy się wstecz i widzimy — z jednej strony góry grzechów — z drugiej ledwo co zasług! I lęk człowieka bierze! — Życie ucieka — już go połowa, już może sam koniec, a w duszy tak mało dobrego, a w ser-

cu tak jeszcze dużo pola odłogiem! Stoisz jak ten żniwiarz w polu. Już słońce zeszło ku południowi, a on jeszcze nie zaczął pracować, bo mu gorąco zbytecznie dokuczało — dzień już zeszedł na zachód, a on ledwie się obziera — i chciałby coś robić, ale mu nie rączo, lęka się przyłożyć do pracy, bo ona nie przyniesie owocu, bo zapóźno! Biedny! diem perdidisti! — Stoisz cały dzień próżnujący, jak oni robotnicy około II godziny w winnicy Pańskiej i już ci może tylko jedna godzina życia pozostaje!

Więc cóż ci wobec tego zostaje? — Ukorzyć się i uderzyć w piersi! Panie zawiniłem — Panie lękam się gniewu Twego, bom talent mi dany zmarnował, bom go rozprószył, a nic nie zgromadził, nicem nie zyskał!

Lękam się surowych sądów Twoich Panie! Lękam się Twej prawicy, by mnie nie skruszyła! Ale wiem, że Ty sercem skruszonem i upokorzonem nie wzgardzisz! — Więc idę do Ciebie! Patrz w duszę moją — rozdarta żalem serdecznym — skrwawiona bólem dotkliwym. Żal mi Panie! żal mi złości popełnionych — Miłosierdzia o Panie!!

II. Ofiara dziękczynna.

Czegoż chcesz od nas Panie za Twe hojne dary? tak się pyta psalmista Pański. I my się tak dzisiaj pytać mamy Pana! Bo liczne dary boże spadły na nas w ubiegłym roku!

Ile to nieszczęść odwrócił od nas Pan, chociaż mógł nas niemi dotknąć za winy nasze?

Rozglądnijmy się po świecie. — Nad jedną krainą ukazał się Anioł wojny — Miecz ognisty w jego ręku — w oczach ogień! Tam cierpienie i ból. Patrz! Tu wyrywają syna jedynaka matce wdowie — i każą mu iść na śmierć niechybną. — Ona stoi biedna pod bramą izby rekrutacyjnej. Na nic się nie zdały Jej łzy. Oderwali Jej połowicę duszy.

Koło drogi stoi kobieta z niemowlęciem na ręku. — Obok przechodzi szereg żołnierzy. Idą w świat daleki —

a między nimi On — jej mąż — a kobieta się odwraca — bo nie może patrzeć, bo jej serce pęka z bolu — tylko dziecię się słodko uśmiecha ku migotliwym zbrojom. Złamał Anioł śmierci serca matki — żony — zostawił je sierotami, ale On nie czuły idzie dalej. Tam zapalił miasto — Ucieka już z niego, kto żyw! — Uciekają starcy na kulach — i padają odrazu, biegną matki brzemienne i uciec nie mogąc padają pod razami rozjuszonego żołdaka! — A w mieście zostały trupy i palą się wespół z majątkiem mieszkańców. — Anioł woiny zniszczył całe szmaty ziemi. — I na tem Mu mało. — On zdeprawował dusze! Idź na pobojowisko. — Tam leżą trupy z pokaleczonemi, zeszpeconemi twarzami. — Liche światło księżyca oświeca ten cmentarz ludzkiej wściekłości. — I widzisz, jak wśród trupów czołgają się nędznicy i odzierają ich z mienia. — Ludzie, czy szakale?... Ówdzie rozłożył się na noc żołnierz w kościele. Na szyi Chrystusa bladego powiesił ładownicę z nabojami, a sam orgje wyprawia. — A On, co przyszedł na ziemię, by miłość głosić, boleśnie patrzy na to, jak ludzkość ciągle na wzór zwierząt krew własną przelewa! Oto co sprawił w jednej krainie Anioł wojny!

Ówdzie przeszedł przez ziemię biały Anioł śmierci. Zaraza szerzy się po krainie. — Lud śnie, jak muchy. Opuszczone ludzkie siedliska. — Urodzajne pola leżą odłogiem — nie warto ich uprawiać — kopalnie drogiego kruszcu przez nikogo nie strzeżone — nikt kruszcu nie rusza, bo życia niepewny. — Matka patrzy obojętnie na śmierć swego ostatniego dziecięcia, dzieci nie płaczą śmierci rodziców — Pustka i przerażenie! — nawet zwierz i ptak ucieka z tej krainy — tylko sęp i kruk, mając żeru poddostatkiem, zaglądają do pustych zagród ludzkich i szarpią ludzkie wnętrzności. A Anioł śmierci blady, nigdy niesyty, idzie dalej i dalej i wciąż kosi a kosi — .... Ówdzie głód zawitał i męczy ludzi, tam nędza zagląda do izby. — Nad stolikiem siedzi mały, wybladły chłop-

czyna — mała lampka z potłuczonym kloszem oświeca szczupłą twarzyczkę, podkrążone oczy i blade, przeźroczyste niemal skronie, pokryte siecią drobniutkich sinych żyłek. Uczy się. — Kiedy niekiedy podnosi znużone oczy i rzuca je w kąt, gdzie na łóżku leży młoda kobieta. Szybki nierówny oddech podnosi jej pierś zapadłą, na twarzy płoną gorące wypieki — włosy rozrzucone w nieładzie. Mijają godziny — późno już. Spojrzenia uczącego się dziecka coraz bardziej smutne. Wreszcie złożył książki, zsunął się z krzesełka i spytał cichutko: Może mamusi czego potrzeba?..... Zrozumiała kobieta tkliwe serce dziecka — załamała ręce, aż palce trzasnęły w stawach i ruchem strasznej rozpaczy rzuciła je nad głowę... Mnie nic... mnie nic, ale ty dziecię dziś jeszcze nic nie jadłeś! I coś niby jęk, niby łkanie wydarło się jej z piersi. A dziecko szepnęło cicho i słodko: Niech mamusia nie płacze, niech się mamusia uspokoi — ja wcale nie jestem głodny — ani troszeczkę. — Głos mu się złamał i uwiązł w boleśnie ściśniętem gardle — Podszedł do okna i patrzy..... może ktoś litościwy — może los dobry zaglądnie do ubogiej izdebki? — Patrzy w dal — patrzy smutny — z opartą czarną głową na ręce — a z pod schylonych powiek zaczęły padać łzy wielkie, gorzkie..... To nędza.

Patrz przyjacielu! Widziałeś tyle obrazków nędzy ludzkiej! widziałeś tyle strasznych uderzeń karzącej ręki bożej! A myśmy w świątyniach naszych śpiewali: od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie! I zachował nas Pan! Więc serce nabiera w siebie wdzięczności, jak lutnia tonów i uderzona młotkiem wspomnienia wydaje z siebie nutę wspaniałą, serdeczną: Dzięki ci Panie!

Ale nie tylko, że nas Pan zasłonił od nieszczęść! On nadto darami nas darzył. Nie chcę mówić o tych dobrach zwyczajnych, codziennych — ale wspomnę o tych nadzwyczajnych darach, jakieśmy w tym roku w dziedzinie duchownej odnieśli!

Nad całą krainą, ale szczególniej nad polską krainą zaświeciła Pani nieba...., Królowa ziemi i mórz! Okryta

łaską bożą.... nazwana gwiazdą ranną.... Dziewica.... Matka.... Panna.... najpiękniejsza z zórz, wszystkich zorza..... Stojąca..... na złotym sierpie miesiąca..... z gwiazdami u stóp.... z gwiazdami nad głową..... Pocieszycielka, Zbawczyni..... Królowa!

I powiał od tej Pani duch boży po ziemi..... a pod Jego tchnieniem, jak pod tchnieniem wiośnianego wiatru wstawały duchy chore, blade, złamane namiętnością, walką życia nabierały ochoty i siły do życia..... I powiał od tej Pani duch boży i oczyścił powietrze niezdrowe, które zatruwało krainę myśli..... Spłynął od tej świetlanej postaci płomień boży i przebił grubą warstwę brudu grzechowego w niejednem sercu... I kajały się dusze i jednały się z Panem .... I mieliśmy święto Marji.

To też, chociaż nie brakło krzyżyków — choć widzieliśmy, jak nieprzyjaciel wściekał się i plwał na nasze świętości, choć patrzaliśmy, jak bracia nasi za cudzą sprawę krew przelewali na dalekiej ziemi, toć mimo to czując, że to dla próby naszej i dla pokuty naszej było nam dane i za krzyż i za dary dzięki Ci składamy o Panie! Misericordias Domine in aeternum cantabo, — Miłosierdzie boże na wieki opowiadał będę!

III. Ofiara błagalna.

Św. Paweł powiada: We wszelkiej modlitwie i prośbie z dziękowaniem, niech żądania wasze będą u Boga oznajmione. Filip. 4. 6. Więc prosimy. A o cóż?

1) Dobre dziecię prosi o łaski dla matki swojej. A matką naszą — kościół. A on w potrzebie i niedoli.....

Nad oblubienicą Twoją ulituj się Panie! Stroisz Ją w cierniową koronę męki, okrywasz Ją purpurową szatą krwi. My Jej dzieci — nie o to Cię prosimy, byś Ją z klejnotu tego ogołocił, lecz byś Jej w tej cudownej koronie królować światu dozwolił.

2) Dla Ojczyzny naszej. O jakaż ona biedna i pod względem materjalnym i duchownym! Tysiące ludu opuszcza swe siedziby, a idzie do obcych szukać chleba i chło-

sty.... Więc chleba głodnej rzeszy daj Panie! Światła i ciepła..... dla ludu Twego daj Panie!

3) Dla całej ludzkości pokoju..... Srożą się wojny — człowiek powstaje na człowieka, jako zwierz dziki — Skutki to grzechu.... ale o Panie przebacz..... Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie!

4) A dla nas tu obecnych Boże! Spojrzyj na tych, co już nad grobem stoją..... jutro, pojutrze staną przed trybunałem Twoim..... Bądź im miłościw, daj im czas pokuty..... Tam ugina się mąż pod ciężarem obowiązku. — Troski życia przygniatają duszę jego — i myśli złowrogie chodzą po głowie jego. — Panie! daj im pokój tym pracownikom Twoim. Ówdzie matka zgina się nad kolebką dziecka — tam czuwa przy łóżku śmiertelnej swej dzieciny — trzecia chyli się złamana pod płaczącą wierzbą na grobie swego syna. — Zmiłuj się nad nimi Panie i ulżyj im!

Spójrz też na młódź naszą. Ona taka biedna, ta liczna czeladka, pochylona nad książką, z której czerpie wiedzę, lub nad warsztatem, który jej chleb daje! Serca jej gorące i miękkie jak wosk. Ale czarna ręka, ręka zbrodnicza, nieuchwytna omotała te serca, jak pająk swą zdobycz. I wpuszcza w te miękkie dusze ślinę jadowitą, miasto miłości, sieje tam nienawiść, miasto szlachetności, podłość, miasto uczciwości, zbrodnicze instynkty. Panie! Panie! to pociecha, to nadzieja nasza — więc nie daj im ginąć marnie, nie pozwól się im psować! I wszystkich od starca do dziecięcia weźmij nas w swą opiekę.

Za chwilkę wsiadamy w łódź i puszczamy się w dalszą drogę życia. Kto z nas na najbliższej stacji wysiędzie, nie wiemy. To pewna, że ten bezpiecznie żegluje, któremu dobra gwiazda przyświeca. O jakąż gwiazdę prosić nam Pana?! Jedna.... Gwiazda zaranna..... Ta niech nam przyświeca! A więc w Imię Boże! wsiadamy w łódź życia, a hasłem naszem Marja!

Szumcie pola.... wody.... lasy
szumcie..
Dzwońcie harfy, cytry.... gęśle
dzwońcie.
Zakołysz się łanie cały
Uroczystym szumem zbóż!
Dzwony jutrzniane.....
Dzwony nieszporne.....
Bijcie!
Niech głos wasz — nieuśmierzony
Niczem — hymn chwały
Gra.....
Dzwony!
Ave Marja!
Amen.

31 grudnia 1904.

FRANCISCAN FATHERS · ORD. MIN. CONV.
ALTOONA, N. Y.